

ANTONI LANGE

---

**W czwartym  
wymiarze**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

ANTONI LANGE

# W czwartym wymiarze

## Babunia

Pierwsza połowa października była owego roku tak ciepła, że w naszym ogrodzie wszystkie niemal drzewa: jabłunki, wiśnie, kasztany, bzy — od strony południowej, wystawionej na mocniejsze działanie słońca, zajaśniały drobnymi liśćmi żywej, świeżej, jaskrawo zielonej barwy i pokryły się nowym młodocianym białoróżowym kwieciem. Raz jeszcze zakwitły sasanki, konwalie, prymulki i niezabudki, a w ptaszarni słychać było, niby na wiosnę, gęganie gęsi, gdakanie kur i kwakanie kaczek, złudzonych żarem październikowych promieni, co w nich budził niby nowo-wiosenne tęsknoty miłosne.

Oglądaliśmy te cuda, podnieceni szczególnym fenomenem, i nie tyle dziwiły nas nasze własne kostiumy letnie o tak późnej porze, ile ta nowa wiosna, to odrodzenie świata roślinnego, ten rozkwit młodocianych kwiatów w październiku. Byliśmy tak wzruszeni tym widokiem, że zamilkliśmy zupełnie i tylko moja żona, osoba zawsze przytomna, czuwała nad inną kategorią zjawisk; — oczy jej były utkwione raczej w stronę werandy naszego domu, niż w stronę cudów natury, i w pewnej chwili powiedziała:

— Proszę państwa na czarną kawę!

Jakoż, posłuszni temu głosowi, mechanicznie ruszyliśmy ku werandzie, gdzie już Roch na stolikach porozstawiał przybory do poobiedniej czarnej kawy.

Sąsiad nasz, p. Feliks, który lubił aluzje polityczne, powiedział wówczas:

— To wszystko robota księcia Światopełka-Mirskiego. Powywracał kalendarz do góry nogami, z jesieni zrobił wiosnę i z tego, broń Boże, wyjdzie jakaś bolesna konstytucja!

Zasiedliśmy dokoła paru stolików na werandzie, a moja żona z p. Elżbietą zaczęły rozlewać kawę w filiżanki.

Jedna z pań, która już nieco *frisait la quarantaine*<sup>1</sup>, z melancholią patrząc na białą pianę, powstającą w kawie z topniejącego cukru, mówiła jakby do siebie:

— Gdyby to w życiu człowieka choćby na chwilę powtórzyć się mogła taka druga kwiecista wiosna!

Ale pani Emilia, mniej więcej tych samych lat osoba, zaprotestowała:

— O, ale nie z jednej strony tylko, jak na tych jabłunkach! Taka trocha mi nie wystarczy! Chciałabym się odmłodzić w całości — i to naraz<sup>2</sup>, z dziś na jutro — w pełni! Wczoraj lat sześćdziesiąt — jutro dwadzieścia, nie! ośmnaście.

— Co też tym kobietom do głowy przychodzi — rzekł mąż pani Emilii. — To naruszałyby przecież logikę i ekonomię natury!

— A cóż mnie obchodzi logika natury...

— Powiedz, logika w ogóle... — odparł ze śmiechem mąż Emilii, przyzwyczajony do fantastyczności swej połowicy.

— A bo i prawda!

— Stoję po stronie p. Emilii — zauważył doktor M., który z sąsiedniego miasta czasami przyjeżdżał do nas na winta<sup>3</sup>. — Nie idzie mi tu oczywiście o walkę z logiką...

— Chwała Bogu — zawołał jeden z panów. — Kochany doktorze, jesteś znakomitym lekarzem, ale też lubisz rzeczy ekscentryczne i w średnich wiekach na pewno byłbyś

<sup>1</sup>*frisait la quarantaine* (fr.) — zbliżała się do czterdziestki. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*wint* — gra karciana. [przypis edytorski]

sławnym czarownikiem.

— Bardzo bym pragnął. Marzeniem moim byłoby to samo, nad czym pracowali alchemicy: — eliksir młodości! Zapewne usłyszę znów ten sam zarzut, że się to nie zgadza z ekonomią natury. Ale na to odpowiem: czyliż my znamy całkowicie logikę i ekonomię natury, jej zamiary, jej istotę, jej możliwości? Zapewne codzienne doświadczenie uczy nas, że człowiek mniej więcej w 60–80 roku życia umiera jako starzec, ale nie zdaje mi się to *conditio sine qua non*<sup>4</sup>. Rozmaite mogłyby być sposoby rodzenia się, umierania i odradzania. Może są planety, na których istota ludzka trwa w długoletniej młodości i zagasa w pełni uśmiechów i rozkoszy. Może są światy, na których człowiek, doszedłszy do pewnego wieku, na nowo się odmładza, jak to widzimy u roślin. I na ziemi człowiek niekoniecznie musiał umierać tak wcześnie, jak to dziś widzimy — i niekoniecznie w stanie takiego kalectwa i choroby, jak to dziś widzimy. Dawne podania mówią nam o ludziach, co żyli po kilkaset lat, otoczeni kołem praprawnuków i prapraprawnuków.

Na wyspach Polinezji istnieje piękna legenda o pochodzeniu śmierci. Dawniej ludzie wcale nie umierali, ale, doszedłszy do lat pięćdziesięciu, na nowo odzyskiwali młodość i znów się rozwijali do kresu i znów się odmładzali *ad infinitum*<sup>5</sup>. Owóż zdarzyło się, że pewna kobieta, odmłodzona w ten sposób, chciała czule powitać swego syna. Ale ten jej powiedział:

— Ty nie jesteś moją matką. Moja matka była to siwa, czcigodna staruszka, a ty jesteś młodą dziewczyną.

Wówczas owa niepoznana matka w żalości zawołała:

— O Boże, raczej niech będę starą jak przedtem, niż żeby mnie mój syn miał nie poznawać!

Natychmiast Bóg ją wysłuchał — i na nowo była starą kobietą jak przedtem, a syn w radości ucałował jej ręce i nogi. I od tego czasu ludzie przestali się odradzać i zaczęli umierać.

— O Boże, jaka to szkoda! — westchnęła mimo woli pani Emilia, patrząc na kwieciami obsypany ogród.

— Istotnie można by powiedzieć, że tym razem miłość macierzyńska źle się zastąpiła ludzkości. Zdaje się jednak, że nie wszystkie osobniki podległy tej klątwie. Bywa mianowicie u niektórych osób, że te w bardzo późnym wieku odzyskują całkowitą młodość. Niepodobna<sup>6</sup> wyjaśnić, w jakich warunkach odrodzenie to następuje, gdyż medycyna, która skrzętnie notuje takie wypadki, zna ich dotychczas bardzo niewiele i nic określonego powiedzieć o nich nie może. Po prostu konstatuje fakt i zaznacza jego objawy. Zdarzyło się, że właśnie byłem świadkiem jednego z tych niezmiernie rzadkich u ludzi faktów; szczegółowo też opisałem go w rocznikach Akademii paryskiej, dodałem nadto fotografie, które przy okazji państwu pokażę. Za moich młodych lat, jako student drugiego roku medycyny, bywałem u Stankiewiczów, w Podobłoczcu, w okolicach Płocka. Przyjaźniłem się tam z Janem Kowalskim, który mieszkał w sąsiedztwie; kochał się w pannie Zofii Stankiewiczównie, dzisiejszej swojej żonie; ja zaś kochałem jego siostrę, ale nie ożeniłem się z nią, gdyż wykazałem najosobliwszą *inconstance*<sup>7</sup> wobec p. Jadwigi. Niewątpliwie p. Jadwiga była na mnie słusznie obrażona, ale stanąłem wobec tak wyjątkowego *coup de foudre*<sup>8</sup>, że czuję się zgoła niewinny. Nie będę opisywał domu Stankiewiczów, gdyż w tej chwili istnieje dla mnie tylko jedna osoba, mianowicie pani starsza, babka właściciela Podobłoczca, którą wszyscy nazywali „babunią”, choć w istocie była prababką. Miała ona lat dziewięćdziesiąt jeden, to znaczy trzystaście razy po siedem. Podkreślam to, gdyż muszę tu przypomnieć, że organizm ludzki co siedem lat całkowicie się odnawia; wszystkie jego komórki odradzają się, jak nowe rośliny. Oczywiście im wiek późniejszy, tym bardziej charakter komórek jest inny. U kobiety najpiękniejsze lata są trzy razy siedem, cztery razy siedem, pięć razy siedem, tj. dwadzieścia jeden, dwadzieścia osiem, trzydzieści pięć lat. Potem następuje jakby rozwój wsteczny: mikroby niszczące organizm, mnożą się kosztem mikrobów użytecznych. Oczywiście wiek 13×7 jest tak da-

Matka, Młodość, Starość

Śmierć, Zmartwychwstanie

<sup>4</sup>*conditio sine qua non* (łac.) — warunek konieczny. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*ad infinitum* (łac.) — w nieskończoność. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*inconstance* (fr.) — niestałość. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*coup de foudre* (fr.) — miłość od pierwszego wejrzenia. [przypis edytorski]

leki, że o jakimś odnowieniu realnym mowy tu być nie może; jednakże jest to pewien określony komplet organizmów tak bliski śmierci, że już przez to samo może się stać podatnym do zmartwychwstania.

Granica śmierci a życia jest i na wieki zapewne pozostanie dla nas tajemnicą. Tu jednak stoimy wobec faktu prawdziwego zmartwychwstania, które się ujawniło, zanim jeszcze śmierć dokonała swego dzieła.

Ale nie uprzedzajmy wypadków. W końcu r. 1890 na wakacje Bożego Narodzenia przyjechałem z Jankiem do Podobłocza, gdzie naraz mi się zdarzyło studium lekarskie, wprost niesłychane, a potem znów niemniej niesłychana czekała na mnie przygoda. Właśnie kiedy przybyłem do Podobłocza, doktor Korynthius, mój poprzednik w Zatoczynie, od dwóch dni już tu siedział, czuwając nad chorą babunią. Ucieszył się bardzo staruszek na mój widok, gdyż pomoc, choć początkującego medyka, była mu bardzo użyteczną.

Moment był tragiczny; wszyscy oczekiwali katastrofy. Babunia była śmiertelnie chora; całymi godzinami leżała uśpiona i nieprzytomna, zupełnie zeszywniała, po czym budziła się w konwulsjach. Doktor Korynthius nie był w stanie określić choroby; z początku sądził, że to drętwica, ale znów epileptyczne drgania chorej przeczyły temu przypuszczeniu. Już trzeci dzień mijał od chwili, gdy babunię trzeba było położyć do łóżka; było jej wciąż niby to gorzej, niby to lepiej; w ogóle stan dziwnie nieokreślony i niepodobna było oznaczyć, w jakim organie skoncentrowaną jest energia choroby. Już to zdawało się serce, już płuca, już przepona brzuszna jest zaatakowana, gdy oto nazajutrz straszny ból działał albo głowy, albo znowu cierpienie nerwu ocznego zbijało nas z drogi.

Staruszek doktor chwilami pytał mnie niespokojnie:

— I cóż o tym myślicie, panie kolego? Babunia nigdy w życiu nie chorowała. Było to wcielenie zdrowia, siły, równowagi ducha, tego spokoju psychicznego, który panuje nad ciałem. I oto naraz...

Prawdę mówiąc, nic nie myślałem. Ponieważ zajmowałem się wówczas tajemnicą śmierci, śledziłem bacznie przejawy umierania, gdyż oczywiście nie oczekiwałem na nic innego, jak na ostateczny rozkład tego egzemplarza ludzkiego.

Babunia zresztą, choć tak chora, mało co zmieniła się na twarzy — i spod niebieskiej kołdry wyglądała na białych poduszkach jej sympatyczna głowa, która do ostatka zachowała wielką czystość i szlachetność rysów, choć policzki miała pomarszczone. Poeta wyraziłby się, że zachowała niezatarte ślady piękności. Tego nie powiem, ile że nad łóżkiem babuni na ścianie wisiał w stare okragłe ramy oprawny portret jej z czasów, kiedy miała lat dziewiętnaście; był to portret cudnej dziewczyny w kostiumie z epoki Księstwa Warszawskiego. Nieznanego nazwiska, ale dobry malarz odtworzył jej bystre, ciemnoniebieskie oko, żywe i przenikające; usta jak wiśnie, w czarodziejski uśmiech zakłete — i bujne, złote, w całym znaczeniu tego słowa złote, bladozłote włosy, spięte w loki.

Z obrazu tego patrzyło na cię zjawisko nadziemskie, marzenie przedziwne, które jedną chwilę trwało na ziemi i minęło na wieki. Jednakże widok ten i wyobrażenie tej istoty jako żywej, miało w sobie coś rozrzewniającego. Dziś babunia była prawie bezzębna, głowę jej pokrywały kępki siwych, krótkich włosów; oczy półzagasłe patrzyły na świat dobrotliwie, ale niby czekając z rezygnacją wyroku losów. Uśmiech tylko pozostał zawsze miły i słodki, choć nie ten sam, co na portrecie; tamto był uśmiech nadziei, to zaś pożegnania. Babunia była osobą wzrostu drobnego, trzymała się zawsze prosto, gdyż sił żywotnych miała wiele i dopiero od kilku lat zarzuciła konną jazdę, w której niegdyś była mistrzynią.

Nigdy, chyba w dzieciństwie, nie chorowała, toteż nie dziw, że jej choroba wywołała ogólne przerażenie, zwłaszcza że babcia była przez wszystkich kochana.

Pierwszym objawem choroby było zemdlenie, trwające blisko dwanaście godzin: nie byłem jeszcze w Podobłoczku i wiem o tym od dra Korynthiusa. Doktor przyjechał w jakie trzy godziny po omdleniu chorej — i, chociaż stosował wszystkie środki w takich przypadkach wskazywane, nic nie mógł dopomóc chorej. Dopiero po pewnym czasie chora przebudziła się sama; była zupełnie przytomna, tylko miała dość silną gorączkę. — „Kostucha mi się kłania — mówiła półzartem. — Czas bo na mnie wielki”.

Doktor ją pocieszał, jak mógł, choć sam nie wierzył w szczęśliwy koniec tej sprawy; na drugi dzień chora wpadła w rodzaj parogodzinnej epilepsji, która ją strasznie zmęczyła, tak że blisko dobę całą była pogrążona we śnie głębokim i dziwnie spokojnym, ale się przebudziła w nader obfitych potach.

W tym właśnie czasie przyjechałem z Jankiem do Podobłocza i doktor zaprosił mnie na konferencję, z czego, oczywiście, jako młody medyk, byłem nadzwyczaj dumny. Doktor nie umiał dotąd nazwać choroby; ja zaś wysilałem całą swoją bardzo zaczątkową wiedzę, aby sobie przypomnieć zjawisko podobne: jednakże nic takiego dotychczas jeszcze nie widziałem.

Czuwałem nad babunią przez całą noc. Spała kamiennym snem, ale chwilami dziwny niepokój był w tym śnie kamiennym. Właściwie nie można było tego nazwać niepokojem; owszem, był to raczej stan przyjemny. Od czasu do czasu przez sen śpiewała dźwięcznym, nie swoim głosem jakieś stare, zapomniane pieśni; to znów wybuchała wielkim śmiechem, ale śmiech ten nie był to śmiech babuleńki, liczącej lat z górą dziewięćdziesiąt, owszem był to śmiech kobiety w sile wieku, zdrowej, tęgiej i energicznej. Pot z jej czoła lał się strumieniami.

Koło szóstej rano przyjechał doktor, ja zaś na chwilę spać się położyłem. O jedenastej znowu poszedłem do niej. Babunia była przytomniejsza; nie leżała w łóżku, ale siedziała w nim i, skoro tylko wszedłem, powiedziała do mnie na pół ze smutkiem, na pół ze zdumieniem:

— Michasiu, powiedz mi, co się ze mną dzieje? Nic nie rozumiem — i Korynthius nic nie wie.

— Patrz!

I, odsłoniwszy rękawy białego kaftanika, pokazała mi ramię, żółtawe, powiędłe, pomarszczone ramię staruszki. Owóż miejscami na tym ramieniu występowały plamy białe, niby kość słoniowa, twardej konsystencji — tak, żeśmy się obawiali jakiegoś ogólnego skostnienia czy stwardnienia organizmu.

Trzeba zaznaczyć, że tego dnia chora czuła się wcale<sup>9</sup> nieźle; owszem, przybytek sił był dość znaczny i apetyt wcale dobry.

Nazajutrz te białe plamy ukazały się na czole, na plecach, na nogach i w ogóle na całym ciele; natomiast włosy wszystkie powypadały z głowy, a na ich miejscu wyrósł drobny, białawy meszek, przy tym — *mirabile dictu*<sup>10</sup> — w dziąsłach ukazało się kilka białych świeżych zębów, jak u małego dziecka. Zmiana też nastąpiła w strunach głosowych; babunia już nie mówiła teraz drżącym głosem staruszki; słyszałeś, owszem, dźwięk metaliczny, głęboki sopran, świeży i melodyjny.

Ponieważ w owych czasach wraz z Jankiem uprawialiśmy fotografię amatorską i przywieźliśmy tu swe aparaty, nie zaniedbałem też sprawy pod tym względem i co kilka godzin robiłem zdjęcia, które później przesałem Akademii paryskiej.

Owóż w kilka dni potem żółta, pomarszczona, starcza skóra zupełnie znikła — i całe ciało babuni przybrało barwę białą kości słoniowej, barwę, co przedtem tylko w plamach była po nim rozsypana. Słowem ciało się wygładziło dokoła, ale nie było sztywne i odrętwiałe, jak tego oczekiwaliśmy; przeciwnie, stało się naraz giętkie, elastyczne i silne, a w ścięgnach nader sprężyste. Twarz i czoło wyrównały się i nabrały alabastrowej białości. Dodam, że już tego dnia poprzez ową białość alabastrową zaczęła przeświecać żywa barwa czerwono-różowa, a pulsa bić poczęły z niepospolitą a harmonijną szybkością. Zęby niemal wszystkie odrosły, białe i kształtne, jak podłużne perły; usta zaś nabrały barwy wiśniowo-malinowej, a grzybkowaty ich układ zniknął zupełnie; były to usta młodej osoby. Biały meszek na głowie w kilka dni się rozwinął w bujne, jedwabne, złociste włosy, a w oczach zaczął naraz błyszczeć żywy blask i ogień, pełny radości i uśmiechu, przenikający i głęboki.

Słowem staliśmy wobec niepojętego zjawiska i powoli budziło się w nas jego rozumienie, choć nie byliśmy w możności określić jego istoty. Nie — choroba naszej babuni — to nie była śmierć, to było odrodzenie, to było zmartwychwstanie. Było to całkowite przekształcenie komórek organizmu, który przeszedł trzynaście cykli po siedm lat, i w którym, dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności, mikroby życiodawcze unicestwiły całą złośliwą potęgę 37 miliardów mikrobów chorobotwórczych i śmiertcionośnych, unicestwiły, krótko mówiąc, tę całą bierną niemoc, która powoduje w naszym organizmie nędzę i chorobę, zwaną: starość. Słowem, choroba naszej babuni była to nowa młodość,

<sup>9</sup>wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*mirabile dictu* (łac.) — aż dziw powiedzieć. [przypis edytorski]

nowe życie...

Choroba babuni szła teraz *crescendo*<sup>11</sup>, jak cudowne zjawisko. Po kilku tygodniach, w sam dzień Bożego Narodzenia w naszych oczach po prostu babunia, licząca lat dziewięćdziesiąt i jeden, przemieniła się w młodą, czarującą, dziewiętnastoletnią pannę — tę samą, której portret z r. 1818 wisiał nad jej łóżkiem.

Niewątpliwie przez najbardziej tajemniczą, dotychczas niewytłumaczoną przemianę materii organicznej (czyż tylko organicznej? — zdaje mi się, że głównym czynnikiem była tu psychika, utajona energia duszy babuni, duszy pięknej, czystej, harmonijnej, panującej właśnie nad organizmem, owszem samodzielnie go kształtującej) — niewątpliwie przez ten cud babunia przestała istnieć.

To znaczy: przestała istnieć jako babunia, choć nią w rzeczywistości była dalej, a zamiast niej ukazała się nowa, czy też odnowiona istota, sama sobie matka czy też córka — przepiękna dziewica, panna Klementyna, która ciałem swoim miała teraz lat dziewiętnaście, ale której duch zachował wszystką mądrość i doświadczenie ubiegłych blisko stu lat życia, owszem podniecony był jeszcze tą nową wiosną i nowym odrodzeniem.

Trzeba zauważyć, że ani my, ani sama babunia tak od razu nie zrozumieliśmy dobrze tego nowego jej położenia na świecie.

Zwłaszcza babunia chwilowo zatraciła poczucie czasu — i mieszało się w niej naraż dwojakie zjawisko. Już to czuła się ona prababką całej gromady osób, zamieszkałych w Podobłoczku; już to znowu roiło się jej, że jest realnie tą dziewiętnastoletnią panną Klementyną ze starego portretu i że właśnie jest rok 1818.

— Michasiu — mówiła do mnie — dowiedz się, czy dzisiaj będzie na teatrze reduta<sup>12</sup>, bo właśnie pan Stanisław Okraszewski napisał śliczny wiersz, którym zaprasza mnie do angleza<sup>13</sup>. Ach, taki czuły i romansowy wiersz, że łyż się cisną do oczu. Pan Stanisław to pewnie dziś największy poeta, kawaler piękny i dzielny oficer... Dlaczego to Zuzia nie przychodzi? Posłałam ją do panny de Latour po suknię na dzisiejszy wieczór...

I naraz śmiać się zaczęła srebrzystym, szczerym śmiechem dziewczęcym.

— Cha, cha! Co za złudzenie! To przecież dawno miniona przeszłość. Wszystko mi się pomieszało! To zabawne! Jakież to rok mamy teraz?

— 189...

— Boże drogi, jak to czas płynie... Przecież ja mam lat osmdziesiąt...

Nawiasowo tu dodam, że babunia nigdy się nie chciała przyznać do swego wieku i poza liczbę 80 za nic w świecie nie wychodziła.

— Osmdziesiąt lat, a tymczasem czuję, że właśnie jestem młodą, jak Zosia lub Natalia. To przecie dziw! Nie mogę się polapać. Więc ja na nowo się urodziłam, na nowo życie rozpoczynam! Co za osobliwa choroba. Czy to się często zdarza?... Ach, co za rozkosz!

Tak szczebiotała, a ja z niepojętym zachwytem spoglądałem na nią. Nie widziałem nigdy takiego upojenia życiem, takiej eksplozji radości, jak w tej zmartwychwstałej i odrodzonej osobie, świeżej jak rozkwitła róża z lilią połączona.

— Babunia — rzekłem — jest odrodzona jak Feniks<sup>14</sup> — i mogę śmiało powiedzieć (tak mówiłem dalej, choć niezupełnie ściśle), że to zmartwychwstanie jest moim dziełem.

— Wdzięczną ci też będę do końca życia, ale proszę cię, nie nazywaj mnie babunią, bo to jakoś nie wypada tak tytułować młodą pannę...

— A więc — panno Klementyno.

— Tak, tak — rzekła z czarownym uśmiechem, pełnym szczególnej kokieterii, a przypatrując mi się przez chwilę bardzo uważnie, dodała:

— Ach, jak ty jesteś podobny do p. Stanisława Okraszewskiego, który się we mnie kochał w roku 1818.

— Gotów jestem naśladować pana Stanisława jak najgorliwiej — i tak samo jak on będę panią kochał — zawołałem pomimo woli, ale tak szczerze i tak głęboko, że naraż poczułem w sobie tę nową a niespodziewaną prawdę: kochałem tę zmartwychwstałą kobietę, kochałem samo to jej zmartwychwstanie.

<sup>11</sup>*crescendo* (wł., muz.) — coraz głośniejszy, tu: wzmacniając się. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*reduta* (daw.) — publiczny bal maskowy. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*anglez* — popularny w XVIII i XIX w. taniec pochodzący z Anglii. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*Feniks* — mityczny ptak, odradzający się w płomieniach. [przypis edytorski]

— Ach, jak to będzie ładnie! — klasnęła w ręce babunia, a potem w komicznym zakłopotaniu rzecze: — Tak, ale co na to powie moja wnuczka Helunia, co powiedzą jej córki, Zosia i Natalka?

— Nikt na to nic powiedzieć nie może.

I przypomniawszy sobie coś z podróży po Australii, które czytałem jeszcze w gimnazjum, dodałem:

— Na wyspach polinezyjskich, gdy mężczyzna przy ślubie wierność przysięga kobiecie, wygłasza taką formułę: „Ja jestem śmiertelny, tyś jest nieśmiertelna”. A któż jest bardziej nieśmiertelny, niż pani, babuniu... to jest, panno Klementyno!

— Ślicznie to powiedziałaś. Zupełnie jakby pan Stanisław. Czy naprawdę jestem nieśmiertelna? Nigdy nie umrę? nigdy?

— Tak myślę — tak wierzę...

— O mój Boże, za cóż takich łask zaznałam? Sama nie wiem — mówiła dalej, opuszczając oczy — sama nie wiem, czy mi wolno powiedzieć to, co chcę powiedzieć...

— Pani ma wyjątkowe stanowisko, wyjątkowe przywileje na ziemi. Śmiało niech pani mówi.

— Powiem ci, mój Michasiu, że nigdy serce moje nie płonęło tak gorąco jak dzisiaj... Kocham ciebie, jak nigdy nie kochałam nikogo... Gdybym miała tak naprawdę lat dziewiętnaście, nie wypadaloby mi tego mówić, ale przecież ty wiesz, że ja mam koło... no, mniejsza o to. Tobie zawdzięczam wszystko, bo moja młodość, moje życie jest twoim dziełem...

W tym duchu prowadziliśmy rozmowy z babunią, a to niemal nadprzyrodzone zjawisko rzuciło na mnie taki urok, że o wszystkim na świecie zapomniałem. I gdy pewnego wieczoru przyjechał do Podobłocza Janek ze swoją siostrą, Jadwigą — czułem, że stało się coś tragicznego w moim życiu — i nie tyle w moim, ile w życiu Jadwigi.

Nie, już nie kochałem siostry Janka. Zapewne było to z mojej strony źle i brzydko, że ją zdradziłem i porzuciłem — ale czyż by mnie nie uwolnił każdy sąd, każdy trybunał?

Klementyna — zjawa nadziemska — opanowała mą duszę. Jej przemiana była cudem i ona sama była cudem: jakże miałem nie ulec tej wyższej potędze? Czytałem w oczach Jadwigi niemy wyrzut, ale milczenie moje dało jej do poznania, że między nami wszystko skończone. Swoją drogą żal mi było serdecznie Jadwigi, cios jednakże był tak niespodziewany, że nikt by rady nie znalazł.

Natomiast miłość moja do Klementyny rosła z dnia na dzień; i ona sama też rozwijała się, kwitła, dojrzewała, promieniała do apoteozy. Przebóstwiona, nieśmiertelna istota ludzka.

Szczególnie zachwycająco wyglądała w noc sylwestrową. W Podobłoczcu był wielki wieczór taneczny. Ponieważ wieść o cudownej metamorfozie babuni rozeszła się szeroko i daleko, więc też gości zjechało się do nas bardzo wiele.

Istotnie Klementyna była królową balu. Nikt, jak ona, nie tańczył z takim wdziękiem walca, oberka, mazura. Nikt nie promieniał tak niepospolitą urodą, ani kostiumem ani dowcipem.

Jej błyszczące oko, różowe usta, jej złote włosy, jej postać wysmukła i wytworna — wszystko to w ową srebrną noc zimową wydawało się niby zjawisko ze snu nocy letniej. I ona — ona mnie kochała — i byłem szczęśliwy, bez miary szczęśliwy. Otwarcie mi powiedziała, że wtedy, w roku 1818 była bardzo głupia (*«Ah, si jeunesse savait<sup>15)</sup>»*) i że dopiero potem zrozumiała różne rzeczy (*«si vieillesse pouvait<sup>16)</sup>»*), i właśnie ona ten wyjątkowy stan osiągnęła.

Powiem wam tedy, żeśmy się potajemnie zaręczyli, o czym nikt nie wiedział; tylko Jadwiga, kierowana instynktem, odgadła nasz sekret. Byłem szczęśliwy i nie opuszczałem Podobłocza, choć należało wracać do Warszawy. Czekałem jednak okazji, aby wraz z Klementyną wyjechać do miasta i aby móc ją poślubić.

Było nam śpieszno. Chciałem szukać posady, opuścić szkołę lekarską. Oboje nie chcieliśmy czasu marnować.

A jednak się spóźniliśmy.

<sup>15)</sup>*Ah, si jeunesse savait* (fr.) — ach, gdyby młodość wiedziała. [przypis edytorski]

<sup>16)</sup>*si vieillesse pouvait* (fr.) — gdyby starość mogła. [przypis edytorski]

Blisko miesiąc byliśmy w niebie, w niebie cudów i marzeń. Ale nieszczęście czyha: dnia dwudziestego stycznia Klementyna po powrocie ze ślizgawki, pełna humoru i wesołości, zasiadła do podwieczorku. Ten cudowny powrót do życia i młodości oczywiście sprawił to, że babunia żyła w nadzwyczajnym podnieceniu. Jako lekarz powinien był przewidzieć, że nadmierna ekspansja energii życiowej — może tu do fatalnych doprowadzić wyników. Niestety, byłem zaślepiony i nieprzytomny.

Owego wieczoru właśnie Klementyna, wśród najweselszej rozmowy, naraz pochyliła głowę i niespodzianie zamilkła.

O zgrozo, zamilkła na wieki. Gdy się zbliżył, aby zbadać jej puls, poznałem straszliwą prawdę. Klementyna umarła od udaru sercowego, umarła z nadmiaru życia i radości.

Nie będę opowiadał o swojej rozpacz. Odrodzenie babuni był to cudowny, ale nie-trwały wyskok natury, promień słońca, wychodzący z mogiły. Może oboje, nie ceniąc i nie czcząc, jak przystoi, tego objawu siły boskiej, nadużyliśmy go niewłaściwie i zostaliśmy za to ukarani. Kwiaty jesienne rychło przemijają...

## Władca czasu

We czwartek, z powodu rekreacji popołudniowej — profesor Jan Kanty Szelest wrócił już koło godziny pierwszej do domu, gdzie mu stróż wręczył list oraz mały pakiecik, przyniesiony przez pocztyliona. Zarówno list, jak i pakiet datowany był z Indii i pochodził od Symforiona Larysza.

Larysz był to znany uczonec, który z górą rok temu udał się do Indii dla badań nad psychofizyką braminów<sup>17</sup> oraz innymi sprawami, związanymi z tym przedmiotem.

Larysz znany był głównie w świecie naukowym jako wynalazca nowego mikroskopu, zwanego metamikroskopem. Najdoskonalszy mikroskop nie powiększa przedmiotów więcej nad 1500 do 2000 razy. Ciało rozmiarów 0,0001 milimetra przybiera w nim wielkość 0,15 do 0,2 mm.

Metamikroskop Larysza zbudowany był w ten sposób, że za pomocą całego szeregu zwierciadełek wklęsłych i wypukłych, połączonych z mikroskopem ulepszonym, badane ciało odbijało się na ekranie w powiększeniu milionowym, czyli sięgało rozmiarów jednego metra.

Profesor Szelest studiował botanikę i badał tajemnice budowy roślin; interesowało go zwłaszcza krążenie soków, rozwijanie się komórek i zjawisko wzrastania. Uchwycić wzrastanie na gorącym uczynku, ujrzyć istotę wewnętrzną tego fenomenu, przeniknąć objawy, które z tym faktem się łączą — oto było marzenie Szelesta. Prof. Szelest z niezmiernym entuzjazmem powitał metamikroskop Larysza, ale ta konstrukcja nie rozwiązywała jeszcze trudności; dla celów, jakie sobie założył był Szelest, konieczne było opanowanie czasu; jak opanować czas? jak rozciągnąć moment w bezmiary? Słowem, jak uczynić dla kategorii czasu to, co dla kategorii przestrzeni robi mikroskop? Nad tymi zagadnieniami nieraz długie rozprawy toczył Szelest z Laryszem.

Larysz w sprawie istoty czasu miał swoje własne, choć niezupełnie rozjaśnione poglądy i liczył, że mu psychofizyka indyjska niektóre braki jego myśli uzupełni. Od dawna wybierał się do Indii — i, gdy wreszcie plan swój urzeczywistnił, zapowiedział, że w danym razie natychmiast go zawiadomi o wyniku swych poszukiwań. Toteż prof. Szelest żarliwie list pochwylił do rąk i otworzył pakiecik. W przesyłce była niewielka flaszczyka, zawierająca sto gramów czerwonego płynu, barwy soku wiśniowego. Na wierzchu miała białą kartkę w literach indyjskich, których Szelest nie umiał odczytać, oraz niżej w literach łacińskich: *anehaspati*.

Oto są słowa listu:

„Kochany Janie Kanty! Mogę ci nareszcie przesłać szczęśliwą wiadomość o naszej sprawie. Przypadek usłużył mi doskonale.

Czy pamiętasz naszego kolegę z Paryża, Indyjczyka Radżendra-Lalamitrę? Był to człowiek zarówno głęboko wtajemniczony we wszystkie dziedziny wiedzy europejskiej, jako też i w prastarą mądrość braminów. Nie da się zaprzeczyć, że o ile Europa w technice

<sup>17</sup>bramin — kapłan indyjski. [przypis edytorski]



doszła do wysokiej doskonałości, o tyle zaniedbała śledzenie tajemnic duszy ludzkiej. Nie dziw też, że co do znajomości zjawisk psychicznych, jesteśmy po prostu dziećmi wobec nieograniczonej, bezdennej wiedzy braminów w tym przedmiocie.

Przybywszy do miasta Hastinapury, szczęśliwie spotkałem się z Lalamitrą, który zresztą przeważnie oddał się sprawom politycznym. Dzięki niemu jednakże poznałem się z kilku braminami, jak Nisikanta, Czandraloka, Ramasita i innymi, ludźmi ze wszech miar godnymi najwyższego szacunku, zarówno dla swej cnoty, jako też mądrości. Ludzie ci zastanawiali się niemało nad istotą czasu. Jest to kategoria wcale<sup>18</sup> odmienna od przestrzeni, jakkolwiek ściśle z nią skoordynowana. Czas ma wartość nie tylko zewnętrzną, ale też i wewnętrzną. Jeżeli czytamy w księgach indyjskich, że ten a ten święty żył 10.000 lat — to znaczy tylko, że umiał on godzinę rozciągnąć na setki lat; dzięki potędze swego ducha pomnażał czas wedle woli i zwiększał po stokroć swoje życie, nadając mu niesłychaną intensywność. Podług mądrości indyjskiej dziś i wczoraj i jutro — jest to zawsze to samo. Minuta jedna, strawiona w najwyższej potędze ducha, znaczy tyle, co sto lat; na odwrót sto lat, przeżytych roślinnie albo mineralnie, znaczy tyleż, co jedna minuta. Rozciągliwość czasu zatem leży w naszej mocy, o czym wiedzą Hindowie i, o ile sobie przypominam, mówił nam Lalamitra, że nawet mają oni pewną tajemniczą roślinkę, która się zowie *panem czasu*, a która mechanicznie to czyni, do czego inni dochodzą wewnętrzną doskonałością. Bramini mianowicie mają dwie metody utrwalenia, przewyższenia potęgi czasu, panowania nad nim, wreszcie wprost wychodzenia poza więzy czasu.

Metoda pierwsza, wyższa — dostępna jest tylko tym, którzy osiągnęli największą dostojność ducha; dzięki długiej uprawie naszych sił duchowych czas na nasz rozkaz się zatrzymuje, cofa w najdalsze wczoraj lub płynie w nieznanne jutro; ściąga całe wieki w jedno mgnienie, lub przeciwnie jedną minutę rozciąga na długie stulecia; na koniec stosownie do naszej woli czas znika zupełnie, stajemy poza granicą wszelkiego postrzegania czasu, innymi słowy zdobywamy nieśmiertelność. Druga metoda, niższa — opiera się na podkładzie fizjologicznym, mianowicie na zażywcze pewnej jagody. Ta druga metoda, mówił mi Nisikanta, dla was, Europejczyków, istot gruboskórnych i mięsożernych — jest odpowiedniejsza, choć nietrwała; pierwszą dopiero za tysiąc lat zrozumiecie.

W towarzystwie kilku braminów wyruszyłem w góry Himalajskie, aby dostać tę roślinkę. Jest to trawka, zwana *anehaspati*, tj. pan, władca czasu; przypomina nieco naszą niepokalanekę czyli *agnus castus*, ma drobne jagódki pięknej barwy, jak *nertera depressa*. Smak miły — kwaskowaty. Trzy lub cztery jagody wystarczą dla wywołania skutku na 15–20 minut naszego czasu pospolitego, który zamienia się w setki i tysiące lat — prawie natychmiastowo.

Roślina ta jest bardzo rzadka; rośnie tylko na dwóch szczytach wysokich na 10–12.000 metrów, zwanych Tatravanta i Matravanta. Droga prowadzi tam piękna, lecz stroma i niebezpieczna. Jednakże moi przewodnicy bramini doprowadzili mnie szczęśliwie na szczyty, gdzie zebrałem sobie znakomity zapas *anehaspati*. Po powrocie do Hastinapury zażywałem kilkakrotnie tę roślinkę w postaci jagód i przekonałem się, że jej działanie jest wprost cudowne. Mechanicznie rozciągnąwszy czas, widzisz zjawisk 4–5 tysięcy razy więcej niż normalnie, albo raczej rozbierasz jedno zjawisko na 4–5 tysięcy oddzielnych momentów, przy czym całość przybiera kształty zupełnie nowe, niespodziewane, odmienne od naszej pospolitej spostrzegawczości.

Badania mikroskopowe przy pomocy *anehaspati* otwierają nam światy nieznanych dotychczas tajemnic. Przesyłam ci tę roślinkę w formie syropu, gdyż lękam się, aby jagody w tak długiej przeprawie nie zatraciły swej własności. Syrop jest trwały, choć oczywiście nie działa tak potężnie, jak świeża roślina. Bierz na jedno doświadczenie nie więcej, nad 10–12 kropeł, najlepiej w kieliszku dobrego wina burgundzkiego. Uprzedzam cię, że po zażyciu wpadniesz w jedno lub dwuminutowe omdlenie; potem jednak natychmiast, jakby z odnowioną duszą, możesz do badań przystąpić. Bądź zdrow i pisz mi do Hastinapury o wyniku swoich doświadczeń. Radzendra-Lalamitra przesyła ci serdeczne ukłony; również i moi mistrze-bramini, którzy cię znają z moich opowiadań. S. Larysz.”

Profesor Szelest był oszołomiony. Już czuł się panem czasu, już bez namysłu chciał wypić dziesięć kropeł nadesłanego mu płynu, ale się wstrzymał.

<sup>18</sup>wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

— Spokoju, spokoju! — powiedział sobie i przede wszystkim mikroskop przygotował, ekran nastawił. Potem zaczął wśród preparatów wybierać ten, który mu się zdawał najwłaściwszy. Miał tam różne pleśnie i grzybki, w parafinie utrwalone; miał bakcyle, mikrokoki, spirochety; miał *Laboulentiales*, niewidzialne mchy, kwitnące na ciele żuków wodnych itd. Miał wreszcie porost barwy złoto-zielonawej, który sam odkrył na kwiatach fuksji, a który od imienia kobiety umiłowanej niegdyś i utraconej zbyt szybko — nazwał *Vandamaria Szelesti*.

Ten więc porost wybrał nasz profesor do badań. W odpowiednie miejsce mikroskopu włożył szkiełko z preparatem, nastawił zwierciadełka i rzucił na ekran.

Zapisał stopy<sup>19</sup> w laboratorium i natychmiast ujrzał na płótnie obraz, który nie wiadomo dlaczego wydawał mu się dzisiaj zamglony. Obraz ten rozmiarów prawie jednego metra ukazywał się jako nagromadzenie wodnisto-zielonych kulek ze złotawymi jąderkami; szkliste soki toczyły się z energią poprzez komórki, błyskając tęczo; potem nastawała ciemność.

Profesor nastawił aparat fotograficzny i zjął obraz<sup>20</sup>. Dopiero wówczas zaczął się przygotowywać do nowej, nieznaney pracy. Wziął nowy preparat *Vandamarii* — i umieścił go w mikroskopie. W uroczystym nastroju ducha wypił 12 kropel płynu, z Indii przysłanego — i czekał na wrażenie. W pierwszej chwili nie czuł żadnej zmiany, ale wnet pociemniało mu w oczach i zdawało mu się, jakby zapadał w sen pod chloroformem. Był jednak dość przytomny, aby śledzić stan swego ducha; czuł, że jakiś fluid nowy się w nim rozwija; niby to był on, ten sam co poprzednio, a przecież inny.

Szelest nazwał później ten fluid: *multiplicator temporis*<sup>21</sup>. Patrząc dokoła — czuł raczej niż widział, że świat znieruchomiał; chwilę nasz badacz znajdował się w bezwzględnej ciemności i znieświadczeniu.

Naraz<sup>22</sup> się zbudził, bardziej ześrodkowany w duchu niż kiedykolwiek. Czuł w sobie jakby nową potęgę, powiedzmy — bardzo natężone poczucie nowego, czwartego wymiaru — czasu.

Spojrzał na zegarek: była godzina 2 minut 12 sekund 37 tercji 5, co szybko zapisał.

Na ekranie miał przed sobą obraz ten sam, co przedtem, ale wnet mgła, przesłaniająca jego tajniki, rozwiała się i szczegóły wydobywały się wciąż wyraziściej.

To, co uważał za komórkową plazmę, była to jakby zielonawo-srebrna mgławica, niezmiernie szybko wirująca dookoła osi. Naraz mgławica ta zapłonęła purpurowo i rozpadła się na kilkanaście kulek mniejszych i większych; jedna z nich, centralna, miała rozmiary pomarańczy katańskiej, barwę złoto-pąsową i w ciemnym laboratorium nawet rzuciła rodzaj promieni. Inne — mniej świetne, ale jaskrawe kulki, z odcieniem zielonym — zaczęły krążyć dookoła tej wielkiej kuli czerwonej, każda po swoim kole albo raczej po elipsie.

Światło tych kulek bladło powoli i gasło, gdy pomarańcza wciąż świeciła. Krążąc, owe kulki zwracały się raz jedną, raz drugą stroną ku pomarańczy i gdy z jednej strony były oświetlone, z drugiej tonęły w ciemności. Jedna zwłaszcza kulka, najzieleńsza, zwróciła uwagę Szelesta.

Nakręcił odpowiednie zwierciadełko mikroskopu tak, że wszystkie kulki wraz z pomarańczą zniknęły i pozostała tylko jedna, którą Szelest nazwał *Mea*, tj. moja; zajmowała ona cały ekran. Błękitnawa, jakby eteryczna błonka otaczała całą sferę Mei. Kula ta krążyła nieustannie dookoła swej osi i raz była świetlana, jakby złota, raz znowu zielonawoszarą. Im bliżej się profesor przyglądał ruchom na tej kuli, tym wyraźniej widział olbrzymie przewroty na jej powierzchni; od czasu do czasu z jej wnętrza buchały jakieś dymy i ogniki, to znowu płyn bezbarwny, niby wodospad, walił z błonki, otaczającej kulę.

Na tej powierzchni Szelest rozróżnił dwojakie pokrycie: twardsze, zielonawo-brunatne, które nazwał „łędem”, i błękitnawo-płynne, które nazwał „wodą”. Naraz z błony zewnętrznej zaczął padać białuchny proszek, niby mąka, a to, co nasz uczony nazwał wodą, przybrało postać szkła. Wybuchy ogniowe ucichły, a to, co Szelest określił jako ziemię i morze — na pewien czas się ustaliło.

<sup>19</sup>stopy — zasłony. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>zjąć obraz (daw.) — zrobić zdjęcie, sfotografować. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*multiplicator temporis* (łac.) — pomnażacz czasu. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

Jakby w natchnieniu Szelest wynalazł sobie metodę liczenia obrotów tej kuli i obliczył, że od chwili, gdy ją ujrzał po raz pierwszy w blaskach wielkiej pomarańczy, minęło cztery tysiące lat; od chwili zaś, gdy ujrzał mgławicę *Vandamarii*, lat siedem tysięcy.

Mea była ostatecznie sformowana. Szkło na nowo przybrało postać płynną, a biały proszek zniknął i kula zaczęła się pokrywać mchem zielonym, porostami cudnych kształtów, a w przezroczystym płynie (morzu) ukazały się kolorowe istoty, niewątpliwie żywe, podobne do bakcyliów i wrotek. Inne zaczęły biegać w mroku mchów i paproci, a niektóre latały po powietrzu. Nie mógł oczywiście profesor inaczej nazwać tych tworów, jak florą i fauną Mei.

Tu Szelest uderzył w pewien sztyfcik mikroskopu, a znakomita część kuli zniknęła; pozostał tylko jej szmat powiększony do rozmiarów metra. Szmat pozornie był nieruchomy. Ujrzał wtedy profesor niby krajobraz, w którym można było odróżnić (mówiąc po ziemsku) brzeg morza, skały, lasy, puszcze. Tysiące żywych infuzoriów krążyło po tych przestworzach, pożerając się, walcząc ze sobą, mnożąc się, rosnąc i umierając. Pokolenia mijają za pokoleniami, lata i wieki płynęły, a świat ten się rozwijał coraz barwniejszy i coraz pełniejszy zjawisk nowych.

Śród mieszkańców Mei ukazał się twór, podobny do jaszczurki, który zaczął naraz chodzić na dwóch tylnych nogach, a przednich używał do walki z innymi. Ten kangur osobliwy (*Baccillus bipes Szelesti*) był różnych barw: czerwony, żółty, czarny, biały, niebieski. Szelest zauważył, że ten Przecinek, skaczący jak pchła, a przednimi łapami wyrrywający z ziemi mchy i paprocie, walczył ze wszystkimi tworami w wodzie, w lasach i w powietrzu. Nadto zaś jaszczurki owe łączyły się ze sobą, stosownie do koloru — i prowadziły zażarte wojny.

Biała gromada pożerała czarną, niebieska czerwoną itd. Bakcyle te jednak z niesłychaną energią pracowały, tworząc niby mrowiska. Wydobywszy jakieś świecące blaszki, zaczęły rąbać lasy i skały, budować pryzmatyczne, gliniane domki (niby termity); w łupinach puszczały się na morze.

Niedługo też — w wielu miejscowościach — zmieniła się postać Mei; lasy poznikały, a na wyрубach ukazała się sztucznie hodowana śnieć. Mrowiska otaczano jakby obwarowaniem. Jaszczurki te, jak wiemy, nie żyły ze sobą w zgodzie i na wzór tego, jak mrówka opanowała mszycę, tutaj gromada biała utrzymywała w stanie mszyc — gromadę czarną; podobnie gromada czerwona — niebieską. Naraz gromada biała wyruszyła wielką masą przeciw czerwonej — i straszna wojna, trwająca długie lata — zawrzała między nimi. Tysiące ginęło, już to białych, już czerwonych; wreszcie czerwoni upadli do stanowiska czarnych, a niebiescy zajęli miejsca czerwonych w dawnym kraju. I oto znów czerwoni i czarni gromadzili się na jakieś potajemne zebrania — i naraz czerwoni i czarni wyruszyli przeciw białym i niebieskim, i straszną między nimi rzeź sprawili. Teraz zapanowali czarni i czerwoni jako mrówki, a biali i niebiescy służyli im za mszyce.

Był zaś pośród białych jeden ze świecącą złotą główką i ten krążył od białych do czerwonych i niebieskich i coś im przekładał... (Niestety, choć rzeczą pewną jest, że owe istoty miały własną mowę — nie masz mikrofonu, co by ją nam utrwalił i zakomunikował!) Z drżenia atmosfery widoczne było, że bakcyle krzyczą oburzone; niektórzy tylko, różnej barwy, stanęli przy złotogłowym, ale pozostała gromada, zbrojna w świecące szpileczki, rzuciła się przeciw nim oraz ich przywódcy — i w mgnieniu oka ich rozsiekli, a złotą główkę odciążwszy, wbili ją na długą szpilkę i tak obnosili po mieście.

Obraz ten nappełnił melancholią serce Szelesta. Płakał niemal nad tą piękną złotą główką jakiegoś bakcyli najwyższego typu, którego zamordowali barbarzyńcy. Nie chciał już widzieć tej grozy.

Odwrócił sztyfcik i znów wywołał na ekranie całą kulę Mei. Zauważył na niej prawidłowe linie, które w pierwszej chwili porównał do kanałów na Marsie. Tu i ówdzie szły metalowe druciki, po których się toczyły puzderka<sup>23</sup> na kółeczkach. Po morzach płynęły liczne łupinki z jaszczurkami różnych barw. Liczba mrowisk znacznie się powiększyła, ale w wielu miejscach było dużo białego proszku. Zwłaszcza koło biegunów znaczne przestrzenie były pokryte niby mączką i szkłem. Z tych stron jaszczurki coraz tłumniej zmierzały do równika. Jakoż kwitnące niedawno lasy znikały, mrowiska padały w ruinę,

<sup>23</sup>puzderko — pudełko. [przypis edytorski]

a wśród bakcyliów trwała coraz sroższa walka o byt. Tysiące tworów ginęło w śniegach i lodach, a zwłaszcza pyszne władcy owego globu.

Światło dawniej tak promienne, które na Meę padało z wielkiej pomarańczy, było coraz bledsze, a gdy kula odwróciła się na osi — była niemal zupełnie czarna. Momentalnie czas obliczył Szelest; minęło lat trzydzieści tysięcy...

Poruszył znów w sposób właściwy jedno zwierciadełko i znowu ujrzał obraz pierwotny z wielką pomarańczą w środku; ale nie była już ona pąsowa, jak przedtem (tj. 30.000 lat temu); miała odcień blado-żółty, który stopniowo przechodził w białoszary, węglanobury i na koniec w zgoła czarny. Noc zapanowała w tym świecie.

Z przerażeniem też widział Szelest, że krążenie kulek dokoła czarnej kuli środkowej — trwało jeszcze pewien czas, a potem ustało — i naraz wszystkie runęły w otchłań, wałąc się jedne na drugie. Ciemność zaległa ekran i niewątpliwie profesor miał prawo sądzić, że w mikroskopie coś się zepsuło i że obraz zniknął skutkiem pęknięcia szkiełek. Ale naraz — po czterech tysiącach lat — w samym środku ekranu błysło srebrne oczko — które, zdaje się, na nowo rozpałiło ogień wewnętrzny tych zwałonych na siebie słońc i planet — i wrychle białozłota, gęsta, płynna masa zaczęła się toczyć wokoło.

Rzekłbyś, *palingeneza*<sup>24</sup> światów zmarłych.

Siedemdziesiąt dwa tysiące lat przeminęło. Nowy okres bytu się rozpoczął.

Szelest był oczarowany, gotowy modlić się do Brahmy za łaskę, którą obdarzył Larysza.

Jednakże w tej samej chwili, kiedy się zaczynało odrodzenie kosmosu, co zniknął w straszliwej katastrofie, widok cały zbladł i zamarł i Szelest ujrzał na ekranie zwykły, powiększony obraz Vandamarii; splot okrągłych komórek z jąderkami świecącymi, napełnionych sokiem blado-zielonym.

*Anehaspati* działać przestało.

Szelest spojrział na zegarek: była godzina 2 minut 32 sekund 51 tercji 38.

Cały ten olbrzymi, na 72.000 lat obliczony przewrót — powstanie i zagłada potężnego systemu globów — trwał 20 minut, 14 sekund i 33 tercje.

## Kometa

Rzecz zdumiewająca, że choć od ostatniego zjawienia się komety Halleya w roku 1910 minęło z górą lat sześćdziesiąt, to jednak nikt tego nie zauważył — i wszyscy traktują rzecz tak, jakby owych 64 lat nigdy nie było. Posiadam jednakże niezbity dowód, że te 64 lata były; że mianowicie planeta nasza przeszła okres 1910–1878, a potem znów 1878–1910. W ten sposób czas, ubiegły wstecz i z powrotem, całkowicie się wyrównał, co da się bardzo łatwo wykazać matematycznie.

Ten szczególny fenomen w dziejach kosmicznych nie miał, niestety, żadnego wpływu na historię człowieka. Po prostu tylko wszystko się potoczyło po linii odwrotnej, jak np. odwrócony film w kinematografie. Przeszłość pozostała niezmieniona — i jakby jakiś fatum czuwało nad nami — wszystko odbyło się zupełnie tak samo jak poprzednio.

Nie wątpię, że i wielu innych ludzi mogło zauważyć to zjawisko; nigdzie jednak nie znalazłem o nim wzmianki.

Ja jeden mogę stwierdzić notorycznie, że tak było. Nie mówię, że ten przewrót odbył się dla mnie, ale ja z niego w pewien sposób skorzystałem.

Żadną też miarą nie mogę się zgodzić na teorię profesora Kessingtona z Glasgow, który w poprzednim 1909 roku, przed kometa jeszcze ogłosił swoje poglądy w „Astronomical Review of G. R. S. of S”. Píše on mianowicie, że kometa wcale nie istnieje; że w pewnym układzie słońc i planet formuje się splot mgieł eterycznych międzyglobowych, które się łączą w nieokreślony a długotrwały obłok świetlny szczególnej formy, zwany kometa; obłok ten jakiś czas krąży w przestworzach, a potem rozwiany znika; przy tym układ taki eterów co pewien okres czasu się powtarza i tak samo powtarza się zjawienie tego świetlnego obłoku.

<sup>24</sup>*palingeneza* — odradzanie się. [przypis edytorski]

Blanchard z Paryża ostrą polemikę rozpoczął z Kessingtonem. Dowodził on realności komety i na zasadzie analizy spektralnej wykazał w jej ogonie obecność cyjanku potasu, zapowiadając całej ludzkości śmierć z otrucia.

Nic podobnego, jak wiemy, się nie wydarzyło, ale również fałszywa jest teoria Kessingtona. Kometa jest niewątpliwie ciałem realnym; ogon zaś jej, choć się składa z materii nieskończenie rozrzedzonej, to jednak posiada znakomitą sprężystość, jakby kauczuku, w stosunku do atmosfery ziemskiej, która jest niby drugą piłką z kauczuku. Zetknięcie się dwóch takich ciał niewątpliwie pewien efekt wywołać musi. Przy niesłychanej szybkości ruchu komety — uderzenie jej o Ziemię nie ma bynajmniej charakteru katastrofy; jest to uderzenie nadzwyczajnej siły, ale bardzo łagodne; skutkiem tego rezultat uderzenia jest prawie nieodczuwalny, ale trwa bardzo długo. W danym razie 64 lata.

Dlatego też owego czasu, dnia 18 maja 1910 roku — mieszkańcy planety, prócz lekkiego strachu, nic nie odczuli. Natomiast w kilka dni potem (nie od razu) i dalej przez całe lat 32 ludzkość była szczególnie zdziwiona osobliwym charakterem biegu wypadków, jakie się potoczyły na naszej planecie.

Cała sprawa polegała na tym, że kometa, uderzywszy w atmosferę Ziemi — pchnęła ją w kierunku odwrotnym jej zwykłemu biegowi. Orbita Ziemi, zamiast naprzód, poszła wstecz i wszystko się niejako na Ziemi odwróciło. Rodzaj ludzki jest z natury swej bierny, toteż po kilku miesiącach zdumienia wszyscy nawykli do tej odwrotnej kolei zjawisk.

Najgodniejszą uwagi rzeczą była w tym okresie nie tyle zmiana kierunku w obiegu Ziemi, ile odwrócenie czasu. Mianowicie czas zaczął płynąć wstecz, zamiast naprzód, od jutra ku wczoraj, wydobywając z powrotem, niby klisze fotograficzne, zjawiska utrwalone w przestworzach zamarłej przeszłości.

Po długich dyskusjach astronomowie dopiero w następnym 1909 r. ogłosili kalendarz, który się zaczynał od 31 grudnia, kończył na 1 stycznia. Wszystkie też fenomeny z czasem związane zaczęły się poruszać po linii odwrotnej. Naprzód był zachód słońca, a potem wschód; naprzód były żniwa, potem zasiewy; naprzód śmierć, potem życie; naprzód dzieci, potem małżeństwo. Zmartwychwstanie stało się prawem ogólnym, starcy odzyskiwali młodość i dzieciństwo, żony powracały do panieństwa, a dzieci znikwały w łonie matek, przechodząc do niebytu. Kto był w więzieniu, mówił:

— Mam za trzy lata popełnić taką a taką zbrodnię. — Wczoraj znaczyło jutro, jutro znaczyło wczoraj.

Wiosna powoli zniknęła, zaczęły się śniegi i mrozy i w miesiącu marcu-lutym mieliśmy dość ostrą zimę. A jednocześnie mój wierzyciel, z którym już w maju uregulowałem rachunek, pokazał się na nowo, żądając zwrotu całej sumy wraz z procentami. W marcu też przyniesiono nam z lombardu futra, które istotnie były nam przydatne. Styczeń roku 1910 upamiętnił mi się doskonale; wracaliśmy z cmentarza wraz z całym konduktem pogrzebowym, a gdy byłem w domu, wniesiono mi do pokoju trumnę, którą otwarto — po czym z niej wyjęto zwłoki mojej teściowej. Położono ją na łóżku, a po kilku dniach otworzyła oczy; z początku była osłabiona, ale wkrótce nabrała sił i znowu słyszałem jej miły głosik: — Ach, ty nędzniku przewrotny i rozpustny, zgubiłeś moją córkę, życie jej zламаłeś itp. Pocziwa Marynia dopiero ją mitygować zaczęła, zwracając uwagę na to, jak nasz półroczny Jaś ciągle maleje; jakoż w końcu listopada 1909 doszedł on do minimalnych rozmiarów i pewnego dnia zniknął w łonie matki. To samo stało się po roku (1908) z Olesiem, a w 1907 okazało się, że nie tylko teściowej, ale i żony nie mam wcale. Spotkałem się raz z Marynią na ulicy; na nowo była panną, a ja dopiero jej narzeczonym. Jej mama była dla mnie bardzo słodka. Natomiast brat mojej żony, który w poprzednim 1907 roku wrócił z zesłania z Ziemi Jakuckiej — na nowo się tam znalazł i aż do roku 1905 tam przebywał.

Nie mogę tu oczywiście wykładać historii powszechnej wstecz. Przypominam sobie jednak wielki ruch 1905 roku i dzień 30 października, w którym ogłoszono konstytucję.

Tymczasem już nazajutrz, chwała Bogu, konstytucji nie było i żyliśmy w *ancien régime*<sup>25</sup>, kiedy to spokojnie chodziło się do Filharmonii i grywało się w winta<sup>26</sup>, a intendtura<sup>27</sup> robiła świetne interesa.

<sup>25</sup>*ancien régime* (fr.) — dawny ustrój. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*wint* — daw. gra karciana. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*intendtura* (daw.) — służby zaopatrzeniowe wojska. [przypis edytorski]

Pewnego dnia roznosiciele gazet wołali na ulicach: Cuszima! Innego zaś dnia: Bitwa pod Jalu! itd.

W tym właśnie czasie ze mną zaszły fakty następujące: żony swojej Marii zupełnie nie znałem, a posada, którą miałem w zarządzie kopalni węgla — była nie moja. Stary Breyer żył i siedział przy moim biurku, a ja z ostatnią trzyrublowką w kieszeni błądziłem po Warszawie, rozmyślając nad swoim zerwaniem z Jadzią. Pewnego dnia byłem w parku, gdzie pod starym klonem zakopałem w ziemi małą skrzyneczkę z medalionem (dar Jadwigi!), dłużkiem wyryłem datę: dnia 15 maja 1900 roku, nadto porobiłem na skrzynce, sam nie wiem dlaczego, pewne znaki magiczne, aby skrzynki tej ani czas, ani przestrzeń nie pochłonęły. Naraz ukazała się Jadzia, czyniąc mi srogie zarzuty o jakąś Emilkę i płacząc gorzko, zerwała ze mną na amen. Ale nazajutrz znów się z nią widziałem, byliśmy jak najlepiej: sielanka cała rozwinęła się prześlicznie, aż pewnego razu Jadzia zniknęła i nawet o niej nie wiedziałem.

Tu zaznaczę, że w poprzednim czasie, jeszcze nawet w r. 1910 nieraz przypominałem sobie ten moment i żalowałem zerwania. Bolała mnie ta niedopita czara. Powtórzenie było identyczne z dawnym przebiegiem faktów, ale w odwrotnym kierunku. Właśnie przeszedłem z IV kursu prawa na III, a potem na II i I, aż pewnego dnia znalazłem się w gimnazjum, przechodząc ściśle z klas wyższych do niższych, aż na koniec z chwałą doszedłem do klasy wstępnej.

Byłem wtedy niezmiernie szczęśliwy, gdyż znowu znalazłem się w domu rodziców, kochany, pieszczony i próżny trosk. Na Boże Narodzenie dostałem ślicznego konia, a w kilka lat później chodziłem z niańką do ogrodu, w szkockich majtkach. Pewnego dnia przestałem mówić i umiałem tylko bełkotać: mama-tata! zapomniałem sztuki chodzenia, nosili mnie na rękach itd.

Pomimo tak szczególnego zniechęlenia, pamiętałem doskonale wszystko, co działo się przedtem, choć większość ludzi całkowicie o tym zapomniała. Nastąpił jednak i dla mnie ostateczny moment nieświadomości i mroku. Pewnego dnia zniknąłem ze świata: po prostu nie byłem! Jak długo nie byłem — określić trudno. Czas mego niebytu nie istnieje dla mnie. Zdaje się jednak, że długo to nie trwało.

Tu małe wyjaśnienie: piłka uderzona leci w danym określonym kierunku, ale po jakimś czasie znów na ziemię spada, co się tłumaczy prawem ciężenia. Podobnie Ziemia, pchnięta po orbicie odwrotnej, krążyła jakiś okres lat wstecz, aż pewnego dnia wróciła do normalnego biegu. Czas powrócił również do swej normy. O ile dane moje sięgają, przeżyłem wstecz lat 32; potem nastąpił mrok niebytu, i znów się ukazałem na świecie. Był rok 1878, gdy nastąpiło moje powtórne urodzenie.

Długi czas nie mogłem tego zrozumieć i połapać się w analogiach mego pierwszego i drugiego pobytu na ziemi. Była pewna rozkoszna monotonia w tym powtórzeniu, które mnie wielce zdumiewało, gdym zrozumiał tajemnicę.

Ciągle marzyło mi się, aby rozwinąć żywot swój w edycji poprawnej, doskonalszej niż poprzednia, ale na próżno: fatum jest nad nami, i musimy prawie bezwzględnie powtarzać sami siebie. Przy każdym zdarzeniu mówiłem sobie: to już było, to już znam, to już widziałem. I ta niańka, co mi bajki opowiadała, i ten koń drewniany i ta bakalarnia<sup>28</sup>, do której mnie posyłano — wszystko to znałem — i owszem, powiem, że miło jest żyć po raz drugi; szkoda tylko, że się to zdarza bardzo rzadko. Tak przeszedłem znów gimnazjum i znów byłem w szkole prawa, i znów spotkałem się z Jadwigą.

Od pierwszej chwili, gdym się spotkał z Jadwigą, coś mnie tknęło: niewątpliwie znałiśmy się w poprzednim żywocie i niewątpliwie było między nami coś serdecznego. Nic dziwnego też, że w jednej chwili czuliśmy się jak starzy znajomi. Zacząłem też jej przypominać pewne fakty z naszego poprzedniego życia, ale Jadwiga mało pamiętała. Wszystko to, co mówiłem, traktowała jako fantazję, choć bez wątpienia — mówiła — coś się w niej budzi powoli, jakieś wspomnienie, ale było to raczej wspomnienie snów i rojeń sennych, niż rzeczywistości. Dopiero po kilku tygodniach zaczęła sobie ten sen uświadamiać: ja podsuwałem jej obrazy, które musiała w tym śnie oglądać.

Klaskała w ręce, płakała i śmiała się z podziwu, gdym jej własne jej sny opowiadał; nasze dziecinne radości i smutki — nasze pierwsze pocałunki — i klótnie, zwłaszcza historie

<sup>28</sup>bakalarnia (daw.) — szkoła. [przypis edytorski]

z powodu jakiejś Emilki — i potem zerwanie. Jadzia była zawstydzona tym widzeniem sennym i opowiadała dalsze swoje, jak nazywała, sny. Zerwawszy ze mną, zapoznała się z jakimś starszym panem, który się z nią ożenił; był dość zamożny, ale ona szczęścia w tym związku nie znalazła i zawsze żalowała, że tak nagle mnie porzuciła. Ale szczęściem — dodała — był to sen. Nigdy z tobą nie zrywałam; zawsze byłam twoja.

Ucałowałam ją w usta i w szyję, gdy nagle ujrzałam na jej piersi medalionik, a w medalioniku był jej własny portrecik z lat dziecięcych. Byłam dziwnie poruszony: ja znam ten medalionik; taki sam, może ten sam — ona mi niegdyś dała na pamiątkę. Czy przypominasz sobie o tym? Ale właśnie ja taki sam medalion zakopałam w parku zamiejskim, pod starym klonem. Jeżeli ten medalion jeszcze tam jest, to znaczy, że wszystkie moje przypuszczenia się potwierdzają.

— Pójdźmy do parku — rzekłam — musimy zbadać, czy ta metalowa skrzyneczka jeszcze się tam mieści.

Rzeczywiście nie była to złuda: dzięki magii moich uczuć i moich zaklęć — skrzyneczka z medalionem — przedmiot materialny — przeważył niematerialną potęgę kołowrotu czasu i do dziś przetrwał nienaruszony.

Inne przedmioty znikają stopniowo, przechodząc w jakiś cień niebytu razem z zamierającym metaczasem. Tak np. próżno szukałam kalendarzy lub gazet ówczesnych; czas je pochłaniał w szczególny sposób, jakby to naddatkowe tworzenie rzeczy wiązało się z naddatkowym czasem i jakby razem z zanikiem tego okresu ziemi rozpadało się w nicosć wszystko to, co było stworzone w tym okresie z materii. Moja nowa miłość z Jadwigą przypadła na czas, kiedy miałem lat 22, tj. około 1900 r. Zauważyłem, że w bibliotece publicznej wszystkie dzienniki i kalendarze od r. 1900 do 1878 zniknęły bez śladu, jakby rozwiane w niebycie. Były natomiast jeszcze te, które dotyczyły lat 1910–1905, ale i te kolejno znikają — tak, że gdyśmy teraz idąc w odwrotnym do poprzedniego kierunku, doszli do lat 1905–1910, wszystko to, co mogłoby świadczyć o potężnym przewrocie kosmicznym — niby mgła nierealna pryskało i znikalo.

Jedyny (zdaje mi się) dowód niezaprzeczony rzeczywistości tego okresu stanowi ten medalion, wykopany z ziemi pod klonem w starym parku. Ze łzami w oczach całowała Jadwiga ten medalion, świadectwo naszego poprzedniego żywota i naszej poprzedniej miłości.

Zrozumiała teraz wszystko: to nie były sny, to była dawna przedistnieniowa rzeczywistość nasza; to była nasza lekkomyślność, co nam kazała zerwać z sobą i nie dopełnić naszego szczęścia. Teraz już byliśmy jak jasnovidzący; już rozumieliśmy, co powinniśmy. Powinniśmy teraz do dna wypić niedopitą czarę. O słodka godzino cudu! Jakże szczęśliwi, wniebowzięci byliśmy w tym drugim żywocie! Jakąż głęboką mądrość wykazywały serca nasze, bogate doświadczeniem ubiegłych okresów!

Oboje też — ona i ja — staliśmy się po prostu fenomenem kosmicznym dla stwierdzenia wielkiego przewrotu globu naszego. Otrzymałam od niej drugi medalion, który razem z pierwszym (w skrzynce) chowam na pamiątkę.

Sądzę, że byłby to najpiękniejszy dar dla jakiego muzeum.

Swoją drogą po kilku latach rozeszliśmy się z Jadwigą — zresztą w najlepszej przyjaźni. Wyszła za jakiegoś zamożnego pana. Ja zaś ożeniłem się z Marią, osobą niezmiernych zalet serca i duszy, bardzo przystojną i zamożną — i byłbym z nią absolutnie szczęśliwy, gdyby nie moja najdroższa teściowa, która aż do śmierci (w styczniu 1910 roku) mieszkała u mnie. Mamy dwoje dzieci; Oleś umie już chodzić i mówić, a Janek zjawił się na świecie powtórnie po 64 latach niebytu.

Słowem, wszystko wróciło do normy — i wszelkie ślady tego kolosalnego przewrotu znikły bezwzględnie, tak że nowsi rachmistrze nawet jednej minuty nie mogą doliczyć do zwykłego wymiaru czasów.

Matematycznie mają rację, jeżeli bowiem dodamy

$$1878 - 1910 = -32, \text{ a } 1910 - 1878 = +32, \text{ to } -32 + 32 = 0 \text{ (zero).}$$

Ścisłe biorąc, przewrotu nie było.

Ale ten medalion — te dwa medaliony! I któż może lekceważyć naiwne podarki, jakie między sobą wymieniają zakochani?

W tych medalionach mieści się niezbity dowód opisanych przeze mnie faktów. Nie sądzę, abym ja jeden był pod tym względem uprzywilejowany; niewątpliwie i inni z ludzi

owoczesnych — ludzi z okresu komety — mają po temu dowody. Pożądanym jest, aby i oni się odezwali.

## Sen

Redakcja „Absolutu” ogłosiła pewnego razu ankietę o snach.

Szło mianowicie o zbadanie, czy istnieje jakiegokolwiek terytorialne, masowe prawo analogii widzeń sennych — czy też jest to dziedzina bezwzględnie osobista.

W odezwie do publiczności umieszczono prośbę, aby zechciała pilnie śledzić swoje sny — między dniem 10 a 20 września — i aby je w możliwie dokładnym opisie przesłała, oznaczając przy tym płeć, wiek, zajęcie itd.

Redakcja liczyła co najmniej na półtora tysiąca odpowiedzi. Tymczasem, jak to najczęściej bywa u nas, gdzie ogół traktuje ankiety bardzo apatycznie, nie otrzymano listów więcej nad trzydzieści parę, przy czym większość pochodziła od różnych figlarzy, z których ten i ów opisywał swoje wielce niecenzuralne przygody z Lolotą, Szarlotą, Pepitą itd. Niektórzy opowiadali rzeczy bardzo znane: latanie po powietrzu, ucisk zmory itd., co wszystko wynika z powodów czysto mechanicznych i nie jest ani socjalne<sup>29</sup>, ani osobiste. Kilka starych panien opisało rojenia o swoich dawnych straconych zachodach miłości; inni podróże po Chinach i Indiach, albo znów echa przeczytanych książek.

Ostatecznie można ankietę uważać za chybioną. Zgromadzony materiał nie pozwalał osądzić, czy istotnie ludność, zamieszkująca pewne terytorium, ma w swoich widzeniach sennych pewną linię wspólną, czy ulega pewnym prawom socjologicznym — czy też jest to dziedzina anarchicznej dowolności.

Jeżeli jednak niektórzy uczeni z fenomenu snów wyprowadzają całą niemal mitologię, pierwotne pojęcia o duszy, o jej wędrówkach i nieśmiertelności — to prawo masowe widzeń sennych jest wielce prawdopodobne.

Redakcja „Absolutu” nie traci nadziei, że gdy za parę lat podejmie tę samą ankietę, uzyska większą liczbę odpowiedzi na ten ważny problemat psychologii narodowej.

Otrzymałiśmy — pomimo wszystko — parę listów ciekawych — i owszem, jak się okazało, są ludzie, którzy widzenia senna niejako kultywują. Czasami zdarza się nawet, że ci, co życie rzeczywiste mają szare i jałowe, we śnie rozwijają niezmierne bogactwo niespodziewanych, barwnych obrazów. To wewnętrzne życie duszy, choć nie związane ściśle z zagadnieniem pierwotnym ankiety, ma swoją osobliwą wartość — i redakcja „Absolutu” nie wahała się tych listów publikować. Korzystając z pozwolenia redakcji, ogłaszamy też niektóre referaty.

Oto co pisze pan Józef N.

...Płeć: męska.

Wiek: lat czterdzieści sześć.

Zawód: nieokreślony; właściwie jestem wykolejeńcem: próbowałem nauczycielstwa, gospodarki rolnej, agentury handlowej; służyłem w konspiracjach, robiłem dzwonki elektryczne, kapsułki dla aptekarzy itd. Skończyłem ostatecznie na dziennikarstwie. Pracuję w pismach codziennych A. B. C. Płacą mi bardzo mało. Jestem nikomu nieznany. Stanowię tzw. siłę użyteczną. Ściągam różne — mądre i głupie — rzeczy z gazet zagranicznych. Nikomu nie zazdroszczę, do nikogo nie mam pretensji — z nikim też się nie zbliżam.

Z kobietami dawno zerwałem — albo raczej one ze mną, o ile można w tej sprawie wykryć pierwszeństwo. Żyję niemal bezwzględnie sam, tylko w jednej małej kawiarni spotykam się od czasu do czasu z kilku znajomymi. Zginąłbym niewątpliwie z nudów, wlokąc życie bezbarwne i beznadziejne, gdyby nie to, że odkryłem w sobie jeden cudowny talent.

Umiem spać!

Talent bardzo rzadki — i nie wiem, czy znajdzie się na świecie siedmiu braci śpiących, ale śpiących umiejętnie, mądrze, artystycznie... Talent ten rozwijałem w sobie długo, starannie i systematycznie. Sen — to moje realne życie: śpiąc, mam świadomość snu; żyjąc, nie mam świadomości życia. Co noc przeżywam nadzwyczajną, bezładną, fantastyczną,

<sup>29</sup>socjalny — tu: społeczny. [przypis edytorski]



ale bardzo interesującą historię. Moment przebudzenia — to dla mnie moment zgrozy; nowe zejście w rzeczywistość, której z głębi serca nienawidzę.

Długo pracowałem nad sobą, zanim osiągnąłem ciągłość widzeń. Najważniejszą sprawą było tu dla mnie zwalczanie przestachu. Dawniej, gdy jeszcze mnie interesował świat zewnętrzny — ile razy w widzeniu groziło mi niebezpieczeństwo, natychmiast się budziłem. Była to w istocie ucieczka, na jawie w takim wypadku byłbym hańbą okryty; z drugiej strony uchodzić z niebezpiecznych krain widmowych w jeszcze niebezpieczniejszy świat okropnej jawy — jest to niedorzeczność. Postanowiłem tę trwogę we śnie przewyciężyć: nie uciekać, nie budzić się ze snu, ale dalej trwać w tej wizji, która chwilami bywa groźna, ale gdy trwogę zwyciężysz, jeszcze większe cuda zobaczysz.

Miałem świadomość snu — i w pewnych okazjach mówiłem sam do siebie: to sen — tu ani śmierć, ani życie nie jest rzeczywiście rzeczywistym; tu nic ci nie grozi, oprócz przebudzenia: żyjesz w wieczności — wiekuiście umarły.

W nocy z d. 10 na 11 września r. b. miałem sen następujący:

Śniło mi się, że byłem na jakimś bulwarze, który zdobiły całe szeregi klonów, topól i kasztanów. Niby to było miasto, niby ogród. Po ulicach krążyło niewiele osób, a godzina była przede zmierzchem. Uwagę moją zwróciła pewna młoda osoba, najwyżej lat dwudziestu, powierzchowności tak ujmującej, że oczu nie mogłem od niej oderwać, i nieznamoma też uśmiechała się do mnie tak słodko, że czułem — zbliża się moment mojego szczęścia: to jest właśnie ta, której szukałem na ziemi — i jużem chciał jej powiedzieć słowo ostateczne, gdy zaczęła mnie niepokoić pewna szczególna okoliczność: dziewczyna, kształtna, ślicznie zbudowana, w popielatej skromnej sukni szła jak sarenka na drobnych nóżkach, nęcąca i świetlana, ale ręce jakoś tajemniczo ukrywała pod niebieskim fartuszkim. Pomyślałem więc sobie, aby ręce pokazała, i, posłuszna mojej myśli, natychmiast ręce wyjęła: na ten widok zdrętwiałem z przerażenia i zimny dreszcz mnie przeniknął. Ta prześliczna dziewczyna o twarzy Madonny miała po siedem, osiem, nie! po jedenaście palców, dziwacznie umocowanych, u każdej ręki. Dziewczyna spostrzegła mój niepokój. — Ach, ty mnie opuścisz! — mówiła żałośnie. Jakoż ja, pełny niezgłębionego smutku, poszedłem dalej, bo mnie ta potworność zraziła. Dziewczyna pod drzewem padła rozplakana.

Zastanawiałem się jeszcze nad tym dziwem, gdy ujrzałem naprzeciw siebie kobietę kolosalną, prawdziwą kariatydę o twarzy bogiń egipskich. Brylantową gwiazdę miała na czole i nosiła purpurową, grecką, rozwartą u boku — suknię. Posuwała się z wolna — z wolna, jak przystoi bogini. Czułem się wobec niej maleńki, ale mnie czarował jej ogrom i chciałem hołd jej złożyć. Uśmiechała się do mnie życzliwie i padłem przed nią na kolana. Naraz<sup>30</sup> jej grecka suknia od wiatru uchyliła się nieco, odsłaniając jej białe ciało, ale znów ze zgrozą ujrzałem straszną tajemnicę: ta kobieta wcale nie miała nóg, był to olbrzymi tors, oparty na stopach, którymi z trudem poruszała.

— Co za potwór! — pomyślałem i raz jeszcze uciekłem.

Nie, chyba bóg miłości, królujący w marzeniach sennych, nie łaskaw dziś na mnie. Tymczasem nowa zjawiała się na mej drodze istota; była to kobieta średniego wzrostu, w sukni jaskrawo żółtej, cerę mająca barwy cygar hawańskich *colorado maduro*.

— Ach, na koniec widzę ciebie — zawołała. — Kocham ciebie, Arionie.

(N. B. We śnie tracę swoje imię realne — Józef — i nazywam się Arion).

— Czy ci nie wstyd myśleć o takich rzeczach — odparłem, nie bez awersji patrząc na tego koczkodana. — Lepiej byś się czegoś nauczyła.

— Ale owszem — rzekła na to hawanna — ja umiem geometrię. — I ujęła mnie za rękę.

Nie, nie wytrzymam takich okropnych widzeń! Zacząłem znowu uciekać bulwarem (tylko się nie obudź — mówiłem sobie). Domów było tu niewiele. Naraz ujrzałem wrota, niby sklepu jakiegoś; otworzyłem je, wpadłem do izby, pośpiesznie zamknąłem. Była to pracownia rzeźbiarska, w której siedział młody człowiek, zapewne artysta — przed cudownym posągami z białego marmuru: była to postać taneczniczki na paluszkach lewej nogi oparta, prawą niemal poziomo w tył przesunęła, sama z lekka pochylona. Grecką fletnię trzymała w ręku. Dzieło było skończone, ale wynik pracy był ten, że artysta sie-

<sup>30</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

dział martwy jak posąg z dżutem w ręku, a marmurowa tanecznicą żywo się poruszała i, grając na fletni, wzywała mnie ku sobie.

— Kochanku mój — wołała.

— Galatea! — krzyknąłem. — Kocham cię — kocham na wieki! O, jakżem szczęśliwy.

Istotnie byłem szczęśliwy — znalazłem swoją boginię! Ale była we mnie trwoga, że okropna Indianka może się zjawić i zatruć mi tę godzinę cudu:

— Uciekajmy — zawołała Galatea, i już tę nogę, co była oparta o piedestał, podnosiła, jakby zawieszona w powietrzu — gdy naraz otwarły się drzwi pracowni i wpadła megiera: głowę pokryła swoją żółtą suknią, a na brunatnych nogach skakała jak małpa. W ręku miała siekiereę i wołała:

— Ja rozwałę twoje szczęście!

I na drobne kawałki rozbiła marmurową dziewicę.

— Po co mi ta geometria! — ryknąłem z rozpacz, aż się rzeźbiarz martwy przebudził.

— Galatea — wołał — Galatea! — i wyrwawszy z rąk wiedźmy siekiereę — odrąbał jej głowę, potem sobie samemu, wreszcie i mnie chciał podobnie uraczyć, ale tu — wyznając nie bez wstydu — wziąłem nogi za pas i umknąłem.

(Nie była to ucieczka ze snu w rzeczywistość, ale tylko z pracowni, gdzie zginęła biała tanecznicą!)

Znalazłem się sam na pięknej, obszernej łące, zarosłej bujną trawą i pokrytej barwistym kwieciami. Zapach siana unosił się w powietrzu, jakby łąkę świeżo skoszono. Piękna ta miejscowość leżała nad dość szeroką rzeką; po drugiej stronie rzeki stał mój dom, wiedziałem o tym i chciałem się tam dostać. Most łączył oba brzegi, ale przejście przez most było bardzo ciężkie, gdyż mniej więcej co pięćdziesiąt kroków stały tam na straży jakieś groźne zwierzęta: u wejścia dwa bure niedźwiedzie, dalej wielkie psy o oczach jak filiżanki, dwa nosorożce z rozdziawioną mordą, dwa ziejące ogniem smoki. Jeden z tych strażników stał zawsze po prawej stronie mostu, drugi po lewej.

W niemalej trwodze ruszyłem naprzód, bo innej drogi nie było. Chciałem udać, że mnie wcale nie ma, i tak się jakoś prześlizgnąć, aby mnie te bestie nie spostrzegły. Jakoż niedźwiedzie tylko coś węszyły — i, obwąchawszy, przepuściły mnie swobodnie, ale psy z okropnym ujadaniem rzuciły się na mnie, jakby mnie chciały poszarpać; — zimny pot lał mi się z czoła, a koniec mostu był tak daleko — tak daleko! Ze łzami w oczach biegłem naprzód, aż się znalazłem na linii nosorożców; te bez litości porwały mnie na rogi i rzuciły powietrzem aż pomiędzy dwa ogniste jaszczury. Smoki naraz zaczęły mnie zalewać swoim ogniem i spaliłbym się na popiół, gdyby nie to, że strumienie stawały się coraz chłodniejsze, aż na koniec zmieniły się w bardzo przyjemny prysznic zimnej wody, jakbym był w Nowym Mieście albo Nałęczowie.

Był to koniec mostu; szczęśliwie przeminąłem wszystkie potwory i wydostałem się na drugi brzeg rzeki. Przez jakieś ogrody, ścieżki, zagajniki — trafiłem wreszcie do domu. Byłem niezmiernie znużony i położyłem się do łóżka. Chwilę tak drzemałem, gdy naraz zapukano do drzwi.

— *Entrez*<sup>31</sup>!

Wszedł listonosz. Miał w ręku list o pięciu czerwonych pieczęciach; widać pieniądze dla mnie. Było mi dziwnie nieprzyjemnie.

— Nie przyjmę tych pieniędzy — rzekłem do listonosza. — Pieniądze we śnie oznaczają goliznę na jawie. (Jak widzicie, miałem we śnie szczególnie skojarzenia świadomości). Wyjdź pan.

— Nie wyjdę. Muszę panu ten list oddać.

— Nie przyjmę, rozumiesz pan, Innocenty ósmy! (tak go nazwałem, sam nie wiem, dlaczego).

— Musisz przyjąć ten list, psia duszo!

— Cóż to za sposób mówienia? Ręce i nogi ci połamię.

— No, no, spróbuj tylko — rzekł listonosz i wyjął długi nóż, z rodzaju tych, jakich używają Apasze, ale ja porwałem go za kołnierz i strąciłem ze schodów; sam zaś wyskoczyłem przez okno — i zacząłem pędzić bez celu — wprost przed siebie.

<sup>31</sup>*entrez* (fr.) — proszę wejść! [przypis edytorski]

Byłem na placu San Marco w Wenecji. Dzwony były w kościołach Santa Maria del Salute, San Giovanni e Paolo, San Giorgio Maggiore, a ja myślałem sobie:

— Ucieknę na Campanillę.

Jakoż szybkim krokiem pobiegłem ku dzwonnicy, a potem po schodach śpieszyłem coraz wyżej a wyżej na górę. Czułem jednak za sobą pogoń: ścigał mnie listonosz, a wraz z nim dwaj żołnierze, ci sami (poznałem ich od razu), którzy mnie w przeszłym roku prowadzili na Pawiak.

— *Ach, ty sukinsyn* — wołali — *prymiesz al nie prymiesz bumagu*<sup>32</sup>?

— Nie — nie!

I uchodziłem coraz wyżej, a gdyśmy już byli na szczycie, wśród dźwięku dzwonów, żołnierze *prykladami* potrzaskali moją osobę, a listonosz im rzecze:

— A teraz go na dół.

Jakoż strącili mnie ze szczytu Campanilli, a ja spadałem — spadałem bez końca. Ciemność straszliwa zapanowała dokoła — i zaczęło grzmieć; pioruny były nieustannie, a w końcu zahuczał głos, potężniejszy od wszystkich piorunów.

Karając plemię ludzkie zbrodniami zatrute,  
Bóg wyrzuci tę ziemię, jak on swą redutę<sup>33</sup>.

Potem wszystko ucichło i w nieprzeniknionej czerności leżałem, nieprzytomny i umarły.

Po jakimś czasie pewna świadomość zaświtała we mnie. Byłem trupem — to wiedziałem doskonale — i moja śmierć kojarzyła się z pewną samowiedzą.

Znajdowałem się w obszernej, słabo oświetlonej sali. Zupełnie obnażony, leżałem na podłużnym, dosyć wąskim stole. Stołów podobnych było kilkanaście, a na każdym podobnie obnażony człowiek. Po sali krążyli młodzi ludzie i szeptali coś po łacinie: *sartorius, glutus, bulbacavernosus, cricothyrioïdius, stylo-pharyngius, duodenum, jejunoileum*.

Byli to studenci medycyny, a sala ta — to oczywiście prosektorium. Jeden mówił, pokazując na mnie:

— Najpierw pokrajemy *tego!* Egzemplarz niezły.

Leżałem w milczeniu, ale skoro tylko studenci wyszli, podniosłem głowę i zacząłem rozglądać się dokoła. Naraz usłyszałem głos, który mnie przeniósł w lata młodzieńcze.

— Ale ten, co mnie będzie krajał — to bardzo przystojny chłopiec!

— Marylka! — zawołałem w stronę, skąd głos dochodził — a ty co tu robisz?

— To samo, co i ty! Będą się na mnie uczyć anatomii.

— A zawsze jesteś kokietka i lekkomyślna! Już ci się ten studencik spodobał.

Marylka była to moja pierwsza miłość; kochałem się w niej, będąc jeszcze w gimnazjum; ona też była pensjonarką, ale że to była zawsze dziewczucha trochę szelma, więc nagryzłem się niemało z jej powodu. I teraz już się spodobał jej ten student.

— Nic się nie zmieniłaś — powiedziałem jej na pół z wyrzutem.

Ale ona śmiała się ze mnie.

— A boś ty mnie nie zdradzał? Patrz, tu są twoje wszystkie... Julia — Krysia — Wanda — Janina — Natalka — Leonka...

Jakoż istotnie były one tu wszystkie. Znalazłem się naraz w najśłodszym towarzystwie kobiet, które w rozmaity sposób wiązały się z moim życiem.

Wszystkie leżały na stołach prosektorium, tak jak ja — i wszystkie, jak ja, w pełnym obnażeniu.

Wstaliśmy ze swoich stołów i zaczęliśmy wspominać dawne czasy; Krysia boczyła się nieco na Leonkę, że niby jedną opuściłem dla drugiej, a Marylka nieustannie wybuchała śmiechem. Brak sukien istotnie powiększał tylko poufność zebrania. Osobliwa rzecz, nikomu z nas nie przyszło na myśl, że moglibyśmy uciec. Z rezygnacją oczekiwaliśmy na nóż anatomów.

<sup>32</sup>*prymiesz al nie prymiesz bumagu* (znieksz. ros.) — przyjmiesz papier czy go nie przyjmiesz? [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*Karając plemię ludzkie zbrodniami zatrute, Bóg wyrzuci tę ziemię, jak on swą redutę* — zniekształcone zakończenie *Reduty Ordon* A. Mickiewicza. [przypis edytorski]

Wkrótce usłyszeliśmy zbliżające się kroki studentów — i zanim ci weszli do sali — my, umarli, śpiesznie powróciliśmy na swoje miejsca. Pozamykaliśmy oczy i leżeliśmy nieruchomo.

Jeden ze studentów zbliżył się do mnie — i wpakował mi nóż w serce, potem zaczął mnie krajać wzdłuż i w poprzek. O, jakże mnie to bolało! jakże się wiłem kurczowo! Ale milczałem, jak przystoi umarłemu (tylko się nie budź! — mówiłem do siebie).

— Gotowy! — rzekł wreszcie student, a mnie znów ogarnęły ciemności.

Złożono mnie na jakimś wozie. Leżałem bardzo niewygodnie na dwóch poprzecznych ławkach — z próżnią pośrodku. Wóz podskakiwał i ja podskakiwałem. Wkrótce stało się jasno, byłem na szerokiej drodze: zacząłem się przyglądać swemu karawanowi. Była to furka tatrzańska, ale bez płótna na wierzchu. Leżałem na wznak i widziałem niebo. Woźnica, którym był sam Don Pedro, infant hiszpański, jechał powoli, krok za krokiem, aż mnie dręczyła ta niemrawość. No, ale tak się jedzie na cmentarz.

— I nie wiem, co się stanie z Marylką i z tą całą geometrią!

Naraz usłyszałem za sobą głosy: to moi znajomi z kawiarni Miki szli za moim pogrzebem.

— Szkoda chłopca — mówił Andrzej — posiekali go na drobne kawałki.

— Bardzo dobrze z nim zrobili — stentorem<sup>34</sup> odparł Franciszek.

— Zawsze jesteś nieludzki — oburzył się Edward.

— Może być, ale jeżeli dla podniesienia ludzkości trzeba będzie wyróżnić dziesięć tysięcy takich jak on — to wyróżniemy ich z czystym sumieniem. Bo cóż on miał za związek z rzeczywistością? Żył tylko snem, a czyż sen jest w jakimkolwiek stosunku z produkcją? W żadnym. Arion stał poza wszelką produkcją. Był to człowiek nierealny, jego życie było nierealne — i jego śmierć jest nierealna.

— Rzeczywiście — pomyślałem sobie — moja śmierć wcale nie jest realna, ale dlaczego ten walkoń Don Pedro tak powoli mnie wiezie na cmentarz?

Natychmiast się podniosłem i kilka razy dałem infantowi po karku.

— Cóż to, psia mać, Najjaśniejszy Panie, jedziesz tak powoli? Pędź galopem.

— Jak ta sobie chcecie, panoczku. Polecę jak aeroplan. (Tak odpowiedział Don Pedro, ale właściwie był to Pietrek z Jaworowa).

I natychmiast polecieliśmy z najwyższą szybkością. W parę minut byliśmy na szczycie Giewontu, potem wskoczyliśmy na Łomnicę, z Łomnicy na Murań, z Murania na Zawrat, z Zawratu na Polski Grzebień.

— No, dosyć już, dosyć! Gdzież ten cmentarz?

Ale nie było ani cmentarza, ani furki, ani Don Pedra. Widocznie mi się gdzieś zatracił.

Leżałem na placu Świętego Aleksandra, w pobliżu ulicy Książęcej; a koło mnie stał listonosz i rzecze:

— Czegóż pan uciekał? To wcale nie pieniądze. To z magistratu *powiastka*.

— A widzisz? — usłyszałem naraz z dwóch stron, a mówiły to owa Indianka w żółtej sukni i marmurowa Galatea, która stała nade mną uśmiechnięta, z lewą nogą poziomo w tył wygiętą.

— No, to dajcież tę *powiastkę*.

Po czym list otworzyłem i czytałem takie zawiadomienie:

— Za numerem XY. Józef N. winien był za przetrzymanie paszportu zagranicznego Rubli 120 — sto dwadzieścia, który to dług zostaje umorzony, gdyż sumy powyższej żadną miarą wyegzekwować od wyżej oznaczonego Józefa N. — niepodobna, albowiem on nic nie posiada i nie ma nadziei, żeby kiedykolwiek cokolwiek posiadał.

Było to świadectwo ubóstwa, które we śnie jest dobrym znakiem. Jednakże zaledwiem to odczytał, gdy zarówno czarna jak biała dama — śmiać się zaczęły ze mnie do rozpuku, a Indianka język mi pokazała.

— Nie ma nic — i nie ma nadziei, aby kiedykolwiek cokolwiek...

— Ale owszem, ja mam dwadzieścia groszy — odparłem, pokazując dwie srebrne dziesiąteczki.

— To ci starczy ledwie na czarną kawę! Do widzenia.

<sup>34</sup>stentorem — donośnym i poważnym głosem (od imienia Stentora, jednego z bohaterów *Iliady* Homera). [przypis edytorski]

To rzekłszy, poszły sobie precz: Galatea, skacząc na jednej nodze, a wiedźma, *colorado maduro*, fikając koziolki — tak, że raz widać było jej brunatne nogi, raz jej żółtą spódnicę.

Zostałem sam jeden — i tylko dwaj żołnierze, wymierzywszy we mnie karabiny, mówili:

— Wstań, sukin syn, i chodź z nami.

— Znowu mnie aresztowali — powiedziałem sobie — ale za co?

— *Nie twoje dzieło, a tam razbierut*<sup>35</sup>.

Poszedłem z nimi, ale żołnierze zaprowadzili mnie tylko do Miki i wydali rozkaz:

— Idź na czarną kawę!

Tak więc z rozkazu władzy wyższej poszedłem na czarną kawę. U Miki byli właśnie zebrani moi znajomi: Andrzej, Edward, Stasiek, Jan, Franciszek. Był też pan Antoni, który w ogóle rzadko do nas przychodził.

Na Franka boczyłem się nieco.

— Cóżes to ty gadał tam, na moim pogrzebie? że ja to nic, że niby trzeba mnie zarznąć?

— W każdym razie jesteś poza wszelką produkcją. Rozumiesz? Ale tu nie o to idzie. Posłuchaj, co opowiada pan Antoni. Ważna sprawa.

Jakoż istotnie wszyscy otoczyli pana Antoniego, a ten z uroczystym grobowym wyrazem twarzy mówił:

— Moi panowie, straszliwą prawdę muszę wam powiedzieć. Zawsze byłem trochę cynik, ale dzisiaj sumienie mnie dręczy. Zamordowałem swoją babkę, a teraz idę się oddać w ręce policji.

Byliśmy wzruszeni zarówno tragicznym wyznaniem p. Antoniego, jak i jego heroizmem — i postanowiliśmy wszyscy towarzyszyć mu do komisariatu policji.

P. Antoni miał minę tak zdecydowaną, że widać było na jego twarzy wielkie pragnienie pokuty. Szliśmy teraz ulica Chłodną do cyrku<sup>36</sup>, gdy postać p. Antoniego, który pewnym krokiem szedł między nami, zaczęła się jakoś zacierać, niewyraźnić, stawała się mglistą, eteryczną, przezroczystą i niewidzialną... I gdyśmy stanęli u wrót cyrku — pan Antoni rozplynął się jak mgła i zniknął bez śladu. Nie było go wcale!

— Rozpuścił się w kwasie policyjnym — rzekł pan Stanisław, chemik z zawodu.

— To nie ma żadnego związku ze sprawą produkcji — zdecydował Franek. — Wracajmy do Miki na kawę.

Powróciliśmy zatem do kawiarni. Tu jednak czekały mnie nowe przykrości: przy jednym ze stolików siedziała owa panienska, co miała po jedenaście palców u każdej ręki — i spoglądała na mnie okiem pełnym żalu. Byłem bardzo zmieszany — i udawałem, że jej nie widzę, gdy naraz jakiś nieznajomy jegomość zjawił się przy mnie: stał naprzeciw mego krzesła, ręce trzymał w kieszeni i, patrząc na mnie, pękał — jak to mówią, ze śmiechu.

— Ależ bój się Boga — rzecze — przecież Maraksudi to fabryka papierosów.

Z przerażeniem patrzyłem na tego człowieka, zacząłem drzeć całym ciałem z trwogi, zacząłem szcząkać zębami i zimny pot wystąpił mi na czoło.

— Maraksudi — fabryka papierosów! — zawołałem wylękniony — i naraz się przebudziłem...

\*

— Maraksudi — fabryka papierosów! — szeptałem na jawie.

Wygnany zostałem z krainy snów. Ale po przebudzeniu jeszcze byłem przepełniony zgrozą!

Koniec końców ostrzeżenie co do imienia Maraksudi zapamiętałem, a potem, oprzytomniawszy, zacząłem sobie opowiadać całe widzenie senne od początku.

Muszę teraz dać małe wyjaśnienie. Wśród rozmaitych moich rozprawek z pism zagranicznych było coś o pisarzach arabskich, gdzie wspomniany był autor z IX wieku Masudi. Od czterech miesięcy artykuł był złożony i leżał w drukarni. Redakcja, zapewne z powodu nieaktualności tematu, trzymała tę rzecz w odwodzie. Owóż, robiąc korektę, z jakichś nieokreślonych przyczyn — zacząłem się baczniej przyglądać temu imieniu Masudi. Wydało

<sup>35</sup>*Nie twoje dzieło, a tam razbierut* (ros.) — nie twoja sprawa, a tam to sprawdzą. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*cyrkul* — komisariat policji w zaborze rosyjskim. [przypis edytorski]

mi się ono jakoś za mało arabskie; Masudi uważałem za błąd i naraz mi się przywidziało, że nazwisko to brzmiało inaczej. Ale jak? Próbowałem na rozmaite sposoby i nareszcie stało mi się jasno, imię to było Maraksudi — i takem skorygowałem. Potem zapomniałem o tym zupełnie, jak o wielu innych rzeczach.

Minęły cztery miesiące — i oto naraz we śnie najniespodziewaniej ostrzegł mnie jakiś nieznajomy.

Nazajutrz rano, skoro tylko wyszedłem na miasto, postanowiłem rzecz zbadać — i chodziłem od trafiki<sup>37</sup> do trafiki.

— Proszę mi dać papierosów z fabryki Maraksudi.

— Nie ma — nie ma! — odpowiadano mi wszędzie. Nikt nie znał tej fabryki i już zacząłem drwić sam ze siebie, że wierzę nieznajomemu panu, którego widziałem we śnie. Naraz na pewnym sklepie ujrzałem napis:

Skład główny wyrobów tabaczknych fabryki  
I. N. Maraksudi w Symferopolu

— Jest!

Kupiłem paczkę tych papierosów i zacząłem się im przyglądać. Były to papierosy zupełnie te same, które paliliśmy tajemnie, jako uczniowie II i III klasy.

Tyle lat minęło, zapomniałem o nich zupełnie; zapomniałem o tym bardziej jeszcze, niż o moim artykule, gdy oto we śnie przez jakąś cerebrację<sup>38</sup> nieświadomą zostałem ostrzeżony.

Naturalnie artykuł poprawiłem.

Taki był mój sen i jego wynik w życiu realnym. Dodam tu, że wszystko opowiedziałem dosłownie tak, jak mi widzenia senne pokazały — i że od siebie nie dodałem ani też nie ująłem ani jednego słowa.

Taki sam opis mego snu posłałem towarzystwu *Morpheus, Societé anonyme pour explication des rêves*<sup>39</sup> w Paryżu. Zanim otrzymam odpowiedź, zaznaczę tu, że nie sądzę, aby ktokolwiek w powyższym śnie szukał jakiegoś sensu moralnego albo jakiejś symboliki nauczającej. Marzenie ulega wyłącznie prawom marzenia.

\*

Na tym się kończy relacja p. Józefa N. W przyszłości podamy inne referaty naszych łaskawych korespondentów.

## Eksperyment

Nieraz kobieta w rozdrażnieniu woła do swego męża: — To wszystko przez ciebie! To twoja wina! — i bardzo często jest przy tym niesprawiedliwa.

Jednakże pani Irena Klonowska miała bezwarunkowo słuszność, czyniąc Janowi najsurowsze wyrzuty w tym rodzaju.

Istotnie, mąż jej popełnił błąd nie do darowania, można by nawet powiedzieć zbrodnię, gdyż kto kiedykolwiek słyszał, aby na własnym nowo narodzonym dziecku robić niebezpieczne doświadczenia, niby *in anima vili*<sup>40</sup>?

Niewątpliwie długoletnie badania naukowe, jakim się oddawał p. Jan Klonowski, wysuszyły w pewnym znaczeniu jego serce, tak że gotów był wszystko poświęcić dla tej — jak mówiła Irena — „przeklętej nauki”.

P. Jan zajmował się hipnotyzmem i tak pochłonięty był swoimi studiami, że po prostu człowiek, jako taki, dla niego nie istniał: gdyby stanął przed nim Platon czy Napoleon, patrzyłby on na niego przede wszystkim z tego stanowiska, czy „osobnik” jest „podatny”

<sup>37</sup>trafika — sklep z wyrobami tytoniowymi. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>cerebracja (daw.) — aktywność mózgu. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*Societé anonyme pour explication des rêves* (fr.) — Anonimowe towarzystwo na rzecz wyjaśniania snów. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*in anima vili* (łac.) — na dzikim zwierzęciu. [przypis edytorski]

czy „niepodatny”. Jeżeli niepodatny — to dla p. Jana po prostu nie istnieje. O ile zaś podatny — proszę usiąść, spokojnie i nieruchomo siedzieć, patrzeć w jeden punkt, w to świecące szkiełko, myśli zjednoczyć... Raz — dwa! raz — dwa! p. Jan robi pasy<sup>41</sup>, po czym, palcami przebiegając, jakby piasek sypał w oczy osobie siedzącej na fotelu, wprowadza ją w sen hipnotyczny. W takim razie nawet Platon albo Napoleon byłby mu przydatny.

Bądź co bądź, w swojej sztuce p. Jan doszedł do najwyższej doskonałości. Jednym spojrzaniem umiał wprowadzać „dobre” medium w stan głębokiej katalepsji<sup>42</sup> i był wtedy panem jej myśli i woli. Właściwie jednak nie szło mu o to; raczej przeciwnie: dążył on do wyzwolenia jednostki uspięonej nie tylko od jej własnej osobowości, ale też od swojej własnej woli; chciał mianowicie dowiedzieć się przede wszystkim, czym jest dusza ludzka, wyzwolona całkowicie od materii, jak i od własnej i cudzej psychiki. Medium nie narzucał swoich myśli, swoich pragnień, swoich pytań.

Osoba uspięona stawała się *tabula rasa*<sup>43</sup>; ale p. Jan te osobę uspięoną wprowadzał w stan energii samoczynnej i obnażywszy ją tylko ze wszystkiej przypadkowości, pozostawiał jej całą samodzielność i żądał od niej tylko: ujawnij się! ukaż, z jakiej przybywasz płaszczyzny duchów! bądź tym, czym jesteś!

Sumę tej wiedzy, niezależnej od czasu i przestrzeni, a którą zdobył od tych dusz, w katalepsji pogrążonych, p. Jan rozwinął w pewien system absolutu duchowego. Toteż jego studia były głośnie w całym świecie naukowym.

Ale zagadnienie, które już od dawna najbardziej niepokoiło p. Jana, było takie: Z jakich krain na ziemię przybywa dusza dziecięca? Istota bezwzględnie czysta, niesplamiona żadnym interesem, nieświadoma bezwzględnie, to znaczy wszechwiedząca — istota owa w chwili, gdy właśnie na ziemię przybywa, jest-że tu czymś całkowicie nowym, bez poczucia wczoraj ani jutra, czy też przeciwnie, przynosi już na ziemię jakąś pamięć innego bytu?

Jeżeli więc świeżo narodzone dziecko wprowadzić w stan katalepsji, cóż ono nam powie? Ależ dziecko nie umie mówić! Nic to nie znaczy: życie wiony fluidycznej, stanowiącej esencję astralnego pierwiastku człowieka, jest tak natężone, że przez wolę magnetyzera maleńkie medium w jednej chwili będzie mogło opanować mowę ludzką. Tu jest jedyny wypadek, gdzie badaczowi wolno użyć swej potęgi sugiestyjnej w całej pełni i zaludnić całym bogactwem najbardziej oderwanych pojęć i słów — fluidyczny mózg danego medium.

Czy jednak taki eksperyment nie zaszkodzi zdrowiu dziecka? Był to punkt, nad którym długo się zastanawiał nasz uczony; zdecydował jednak, że ponieważ w stanie lunatyizmu można całkowicie uniezależnić duszę od ciała — i ciało od duszy, zatem żadnej szkody taki eksperyment nie uczyni organizmowi.

Trzeba dodać, że p. Jan, chociaż w ogóle wtajemniczał swoją żonę w sprawy hipnotyzmu, o tej jednej myśli nigdy jej nie wspominał, lękając się instynktownie, że kobieta zaprotestuje przeciw takiemu straszliwemu doświadczeniu. Zwierzył się tylko z tym jednemu z przyjaciół, lekarzowi, który dane zagadnienie traktował dość ironicznie.

— Jak sądzisz — mówił p. Jan — co za tajemnice odkryłyby nam taka świeżo zjawiona dusza, gdyby się zapytać: skąd przychodzisz?

— A nuż by — odparł lekarz — dusza odpowiedziała na to zgoła cynicznie i trywialnie?

— Nie sądzę — odpowiedział na to p. Jan z najwyższą powagą. — Tylko kłopot jest taki: nie mam dziecka własnego, a o cudze do takich doświadczeń trudno.

— Jak to, chciałbyś własne dziecko...?

— A jakże inaczej?

— No, to widzę, Pan Bóg dobrze zrobił, nie dając ci dziecka...

Klonowscy, choć już czwarty rok byli po ślubie, nie doczekali się dotychczas potomstwa. Dopiero w piątym roku narodziło im się dziecko, chłopiec, który potem wyrósł na ładne stworzenie, ale w pierwszej chwili swego pobytu na naszej planecie wyglądał nieco poczwarnie; był czerwony jak burak, pomarszczony, o twarzy pokrzywionej żałością: słowem mało nęcący.

<sup>41</sup>pas (z fr.) — tu: ruch, gest. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>katalepsja — odrętwienie. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>tabula rasa (lac.) — czysta tablica, tu: dusza a. umysł bez zapisanych w nim doświadczeń. [przypis edytorski]

Matka bardzo cierpiała, wydając go na świat — i przez cztery noce bezsenne była bliską śmierci. Na koniec usłyszała krzyk nowo narodzonej istoty — i wkrótce o wszystkich cierpieniach zapomniała, uszczęśliwiona widokiem dziecka. Skoro tylko dziecko należycie obmyto i oporzędzono, skoro je nakarmiła po raz pierwszy — w słodkim ukojeniu usnęła, rozmarzona i pełna szczęśliwości.

Spała tak pięć godzin. Nawet akuszerka<sup>44</sup> znajdowała się przez ten czas w innym po-koju.

Cóż zrobił p. Jan? Nie bez wyrzutów sumienia — opowiadał sam to wszystko, co zaszło od chwili, kiedy matka usnęła. Jak wyżeł, mówiąc po prostu, czyhał na tę chwilę — i, nazwijmy rzecz po imieniu, *ukradł* własne dziecko — i, okrywszy je jakimś pledem, potajemnie zaniósł do swego gabinetu, przy czym drzwi zamknął na klucz. Pokój był niezbyt obszerny, miał szyby fioletowe, osłonięte bladożółtą firanką; mebli było tu niewiele: parę foteli, stolik trójnożny, małeńka szafka, zawierająca jakichś trzydzieści parę tomów książek z dziedziny hipnozy oraz przedmioty rozmaite, używane przy eksperymentach. Było ledwie po południu, gdy p. Jan, z drżeniem i niepokojem (bądź co bądź — własne dziecko) posadził małe, czerwone niedołążne stworzenie na fotelu — i rozpoczął swoje czarnoksiężskie praktyki.

Spojrzenie jego na małą bezimienną i pozbawioną woli istotę podziało jak piorun; dziecko zeszytywniało, usnęło i zapadło naraz w stan najgłębszej katalepsji.

Wówczas hipnotyzer rzekł:

— Słuchaj, duszo nieznana, co do ciebie mówię, a przede wszystkim witaj mi, gościu nasz, na tej ziemi — oto hołd ci składam, wielka i święta tajemnico. Czy rozumiesz mowę moją? Jeżeli jej nie rozumiesz, ześrodkuj całą swą energię i stań się istotą mówiącą...

Z natężeniem najwyższym wolę swoją zogniskował w medium. Przyglądał się twarzy uśpionego. Nie było to już dziecko, był to raczej młodzieniec nadanielskiej piękności; było w tej twarzy coś niezmiernie; z jego oczu przeglądała taka głębia mądrości, że p. Jan zadrżał z trwogi i szacunku zarazem. Czekał z niepokojem.

Medium otworzyło naraz usta, cudownie pąsowe — i zaczęło wydawać jakieś dźwięki. Były to dźwięki niezrozumiałe, ale niezmiernie śpiewne, jakiś język nieznaną, raczej muzyka przedziwna, kołysząca do upojenia. Jednocześnie z tą muzyką — dokoła medium — zaczęły błyskać światła wielobarwne, naprzód iskry, potem smugi, potem cała gama kolorów; medium spoczywało w aureoli barw, które zarazem rozlewały dokoła zapach aromatyczny; przy czym barwy nabierały powoli plastyki i zmieniały się w cudowne, złote, czerwone, lazurowe kwiaty dziwnych, niewidzianych nigdy na ziemi kształtów.

Hipnotyzer był olśniony, chociaż nic tego zjawiska nie rozumiał.

— Duchu z nieznaných sfer! Jeżeli możesz, wytłumacz mi te cuda!

Melodia cichła powoli i wydawała się coraz dalsza i dalsza, zaś kwiaty barwne błakły i mglały na powietrzu; aromaty zniknęły. Na koniec wszystko umilkło i zniknęło: w gabinecie stało się, rzekłbyś, ciemno i głucho. Na fotelu leżało uśpione dziecko o twarzy młodzieńca, ale pierwotna jego piękność zniknęła; owszem, rysy medium były teraz surowe i ostre, jakby przechodziły rodzaj męki. P. Jan lękał się, żeby samemu z roli hipnotyzera nie przejść do stanu medium, znajdował się wobec zjawisk tak niespodziewanych, że lada chwila — czuł — jego władza rozkazodawcza osłabnie. Więc zaczął teraz niejako sam siebie hipnotyzować, aby nie ulec przemocy tego nieznanego ducha. Opanował siebie.

— Raz jeszcze pytam ciebie: skąd jesteś i kto jesteś? Czy rozumiesz moją mowę?

— Rozumiem — odparł uśpiony nieco chropowatym, sztywnym, jakby obcym językiem — ale dopiero z wolna przeniknąłem tajemnicę tego straszliwego zgrzytu i rżenia, które się u was nazywa mową ludzką. Przemawiałem do ciebie naszym językiem — powiązaniem melodii, barwy i aromatu, ale wiem, że go nie mogłeś zrozumieć. Nakazałem mi wielki wysiłek, który mnie męczy, bo mi duszno w tym powietrzu waszej planety. Otom zniżył się do was i przemawiam waszym sposobem.

— Dzięki ci, istoto niepojęta — i przebac, żem cię udręczył, ale chcę poznać tajemnicę, jaka się kryje w twoim zjawieniu. Kto jesteś i skąd przybywasz?

Język

<sup>44</sup>akuszerka — położna. [przypis edytorski]



— Przybywam z tej krainy, gdzie i ty jesteś — z nieskończoności, bo i ty, choć w innym punkcie — w nieskończoności przebywasz.

— Ale... z jakiego punktu nieskończoności?

— Jestem z dalekich niebios, z tej sfery, po której krąży sześćset sześćdziesiąt sześć drobnych planet — jedynych planet, rzeczywiście zamieszkanym przez ludzi.

— Jak to jedynych? A Mars, Merkury, Wenus, a nasza Ziemia?

— Ziemia? To, co wy nazywacie ziemią — my nazywamy piekłem i tu za nasze grzechy bywamy strącani, a staje się to w formie narodzin ziemskich. Niejeden z tych tworów dwunożnych a bezskrzydłych, które wy nazywacie ludźmi, jest wygnańcem z Raju. Takim wygnańcem jestem ja!

— Jak to z Raju?

— Ze sfery naszych planet. One to stanowią ów Raj utracony, o którym mówią wasze księgi święte. Wiem o tym od istot, które po śmierci na waszej Ziemi do nas przybywały. Ja mieszkałem dotychczas na gwiazdzie Cerery, ale za grzechy moje zostałem tu do was, do piekła, zesłany... Tak właśnie z naszych Edenów na Ziemię został wygnany Adam i odtąd już na wieki pozostało tu jego potomstwo.

— Duchu przedziwny! Skąd masz tyle wiadomości o Ziemi? Dlaczego nazywasz ją piekłem? Jakie grzechy popełniłeś? jaki jest wasz raj? jak wy tam żyjecie? czy macie stosunki z innymi planetami waszej sfery?

Tysiące pytań jeszcze miał na języku hipnotyzer, ale wczas się spostrzegł, że postępuje wbrew metodzie własnej; jednakże sytuacja była tak wyjątkowa (i niebezpieczna dla p. Jana, gdyż nieustannie przypominał sobie o żonie, akuszerce i dziecku!), że mimo woli chciał w jednym słowie zawrzeć jak najwięcej myśli.

— O, za wiele zgrzytu naraz! Za wiele twego szczerku i jęku! Jeżeli nie możesz śpiewać melodyjnie — to powoli skanduj sylaby.

— Wybacz, sam o tym pomyślałem. Nie gniewaj się na mnie. Skąd wiesz tyle o Ziemi?

— Wiele, wiele przybywa do nas dusz, które były u was — tak jak na ziemi są ludzie, co bywali na naszych planetach. Ale kto na ziemią spływa, ten nie pamięta przeszłości, chyba w pierwszym momencie żywota, kiedy jego dusza tylko przez pół<sup>45</sup> jest na ziemi; przeciwnie, u nas każdy duch wszystkie swoje dawne wcielenia pamięta. Pobyt na ziemi — to dla nich niby sen przykry: deszcz i szaruga wieczna, nieustanna męcząca walka o byt — i krótkie sekundy wytchnienia. Na ziemi człowiek skazany jest na grzech, drapieżność i męczarnię. Od tych duchów wiemy wszystko o ziemi; owszem, dzięki naszej umiejętności sięgania do treści rzeczy wiemy nawet więcej. Wy jesteście w stanie widzieć tylko pewien drobny zakres rzeczy i warunków, my w każdej chwili, jeżeli trzeba, dostrzegamy cały wszechświat. My krążymy po środkowym kole systemu planetarnego; nie jesteśmy ani tak ciężko z materii zbudowani, jak mieszkańcy Ziemi albo Marsa, ani tak odśrodkowo-gazowi, jak ludzie z Jowisza, Urana, Neptuna. My właśnie sami w sobie przewyciężyliśmy materię i stanęliśmy nad nią. Na ziemi dusza jest w więzieniu ciała; u nas ciało jest pod władzą bezwzględną duszy. Dlatego to, co wy na ziemi nazywacie zmysłami, czyli zacieśnienie mocy wrażliwej, u nas właśnie jest wyzwolone. Widzimy i słyszymy daleko więcej i dalej, niż wy, a nasze nerwy zastępują wszystkie wasze przyrządy elektryczne...

— Mów jeszcze, mów jeszcze! Jakie to są wasze światy? Czy planety wasze komunikują się ze sobą?

— Nasze światy to wielka liczba drobnych planet, trzy i cztery razy mniejszych od Ziemi, ale mieszkańcy ich znajdują się w ciągłym związku ze sobą czy to osobiście, czy przez telepatię. Jeżeli wolę mamy po temu, oblatujemy bezmiary, bo nasza organizacja<sup>46</sup> jest taka, że możemy istnieć bez atmosfery, a nawet bez pożywienia. Jeżeli więc między jedną planetą a drugą powietrze jest bardzo rozrzedzone — przebywamy je bez trudności.

— Na skrzydłach, czy na maszynach?

— Bynajmniej. Wola własna służy nam za skrzydła.

— Znasz i inne planety?

<sup>45</sup>przez pół (daw.) — w połowie. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>organizacja — tu: budowa organizmu. [przypis edytorski]

— Znam Palladę, Junonę, Westę, Amfitrytę, Penelopę, Helenę i wiele innych, nieznanych przez was.

— Ile masz lat?

— Nie wiem, jestem nieśmiertelny — albo, ściślej mówiąc, żyję na naszych planetach dwadzieścia ziemskich stuleci. Nie dziw się, że posiadam tyle wiedzy. Nasze istnienie to wieczne poznawanie, to jedyna funkcja naszego bytu.

— Ależ Adam...

— Są u nas rzeczy niepoznawalne — rzeczy zakazane. Ludzie z ziemi opowiadali mi o miłości waszej cielesnej, a niektórzy mieli o niej tak słodkie wspomnienia, że wielce żalowali utraconego piekła. Te właśnie opowieści o słodyczach miłości rozbudziły we mnie pożądania osobliwe, pod których mocą ciało zaczęło we mnie przeważać nad duchem. Za ten grzech ciekawości zostałem z Raju wygnany, aby poznać tajemnice cielesności.

— A jakże wy się rodzicie? Jak umieracie? Czym żyjecie?

— Rodzimy się w ten sposób, że każda dusza, czy to nasza własna, czy z innych przybywająca planet, wybiera sobie ten lub ów kwiat — a u nas kwitną precudowne i bardzo inteligentne kwiaty — i w jego aromatach się pomieszcza. W kielichu tego kwiatu przybiera kształt, mniej więcej podobny do formy ziemskiego człowieka, ale raczej wyanielony i doskonalszy. Rzekłbyś, jest to metamorfoza kwiatu w postać ludzką. Zdaje mi się, że pochodzenie od kwiatów głównie odróżnia nas od was, bo wy pochodzicie od zwierząt. W takiej postaci żyjemy długie stulecia i — można rzec — jesteśmy nieśmiertelni. Nie odczuwamy nigdy tej konieczności, która się u was nazywa głodem. Żywimy się powietrzem, echem, promieniami słońca. Dlatego nie ma u nas walki o byt, nie ma tej okropnej tragedii starć, wojen, zabójstw, nędzy; nie ma u nas walki, przeciwieństw, załamań. Istotą naszej planety i naszej psychiki jest powszechna jedność. Mamy wszyscy jedną, barwną, melodyjną, pachnącą mowę. Mamy jednego Boga, z którym obcujemy nieustannie, choć pełni jego tajemnicy nigdy — wiemy o tym — nie będziemy w możności ogarnąć.

— Jakież to Bóg? Mów mi o Bogu, duchu czysty! — ze drżeniem pytał badacz, rozmodlony już niemal wobec swego medium.

— O tym mówić nie mogę. Wy, synowie ziemi, żyjecie w sprzecznościach. Nasz Bóg — jest poza wszelką sprzecznością — jest utożsamieniem wszystkich przeciwieństw, jest absolutem. Nie zrozumiesz mojej mowy, zwłaszcza jeżeli w waszym ludzkim języku mam mówić. Boga można wypowiedzieć tylko w języku nadludzkim.

— A więc mi powiedz, jak umieracie? Bo jeżeliś zstąpił na ziemię, to musiałeś umrzeć na swojej planecie.

— Umarłem. Ten, który ma umrzeć, zwołuje przyjaciół na ostatnią biesiadę i wśród rozmowy o rzeczach nieskończonych odczuwa naraz<sup>47</sup> niepojętą słodycz. Istność jego, rzekłbyś, w mrok przedziwny pełen światła słonecznego przechodzi. W żarze tego stanu umierający, niby w sennej półświadomości, rozplywa się w mgłę, maleje do rozmiarów niewidzialnych i, jak np. ja, znajduje się naraz w otoczeniu nowym, w kolisku ciemnym, gdzie powoli dochodzi do niewyraźnej świadomości swego nowego bytu. Na koniec zjawilem się na ziemi jako istota żywa, w życiu normalnym bezwiedna i pozbawiona pamięci o życiu poprzednim. Moment rozproszenia mego ciała Cererowego, był to właśnie moment mego poczęcia na ziemi. Czasami w łonie błyskała mi myśl, że za karę jestem skazany na to więzienie, ale były to chwile tylko; w istocie byłem jakimś ślimakiem, czy kijanką, która żyje tylko, by się odżywiać. Dla mnie te narodziny ziemskie — to upadek. Słusznie też byłem ukarany za swój grzech ciekawości. Dziś — przed godziną — skoro tylko znalazłem się na ziemi, zrozumiałem w jednym momencie całą groźbę waszego piekła — i krzyknąłem z wielkiej rozpaczy po utraconym raju, ale natychmiast zapomniałem o wszystkim.

— A jakże u was przejawia się miłość? Czy są u was mężczyźni i kobiety — czy wy jesteście androginy<sup>48</sup>?

— Owszem, płęć u nas bywa dwoista, ale u nas przeważa związek dusz nad związkiem ciał. Połączenie harmonijne dwojga barw, dwojga zapachów, dwojga melodii naszych istot — daje pocałunek dusz, tak ogarniający naszą istotę, że nasza jaźń się podwaja. Częst-

<sup>47</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>androgin — obojnak, istota dwupłciowa. [przypis edytorski]

ka tych elementów oddziela się od nas i szuka swojego kwiatu. Muszę dodać, że takie pocałunki dusz mogą tylko w takim razie się urzeczywistnić, jeżeli istnieje realne powinowactwo, symfonia barw, zapachów i melodii. Bez symfonii związek jest niemożliwy. Toteż u nas każdy długo, długo szuka swego uzupełnienia, aż na koniec przy wielkim napięciu woli na pewno odnajdzie tę bratnią duszę. Tak płynie u nas życie w słońcu i wiośnie...

— Jakież są pory roku?

— Wiekuista wiosna panuje u nas. My nie znamy śniegów, ani burzy, ani potopów. Nie nosimy ubrania, nie budujemy domów, nie znamy własności, ani bogactwa, ani nędzy. Życie nasze — to myśl, kontemplacja, marzenie. Co dzień opowiadamy sobie nasze sny i widzenia, a twórczość swoją realizuje każdy z nas w samym sobie. Ciało nasze, jak ci już mówiłem, jest jakby silna bateria elektryczna. Wszystkie wasze wynalazki u nas są jakby naturalnie nam dane — w nerwach. Dlatego możemy rozmawiać na odległość; oczy nasze są jak teleskopy. Śmierć u nas, to właściwie rozproszenie elektryczności wewnętrznej, a to rozproszenie — to najczęściej wynik grzechu.

Coraz nowa fala pytań budziła się w myśli pana Jana. Już go chciał zapytać, jaki tam ustrój społeczny, jaki rząd, jaki parlament, jakie stronnictwa polityczne, jak tam stoi kwestia żydowska, gdy naraz doszły go straszne krzyki z sąsiednich pokojów.

P. Jan poczuł się nagle jak zbrodniarz, schwytany na gorącym uczynku. Lęk ogarnął go straszny i jednocześnie poczuł nadzwyczajne osłabienie swojej siły hipnotyzerskiej. Był niespokojny, zdenerwowany, wytrącony z równowagi. W tej samej chwili medium zaczęło na nowo belkotać swoim językiem, lecz melodia była groźna, jak burza, a barwy dookoła medium krążyły ciemne, czarne, purpurowe; twarz medium dziwnie się zmieniła; była to bolesna, pomarszczona twarz starca, a muzyka jego mowy zmieniła się z burzliwego pomruku w jęk bolesny, a potem w zwyczajny płacz małego dziecka.

Zapukano do drzwi.

— Panie, panie!

Pan Jan oprzytomniał. Spojrzał na zegarek, była blisko piąta. Opanował nerwy, Instyktownie wytyczył wzrok i przeprowadziwszy *pasy* — obudził medium.

Konwulsyjny płacz niemowlęcia dał się słyszeć w pokoju. Pan Jan otworzył drzwi. Stała w nich akuszerka.

— Co też pan wyrabia, na miłość Boską? Tak że pan się politycznie zachowuje. Upoważniam pana, że pani mało co spazmów nie dostała. Zabiera pan dziecko, a pan się tyle na tym zna, co kura na pieprzu. Już to szkoda, że pan gdzie nie pojechał we światy. Przed rodzonym ojcem trzeba pilnować dziecka. Biedne maleństwo. Nic nie jadło, a tu matce wzbiera. Jeszcze gorączki dostanie. Też z panem chryja<sup>49</sup> taka!

Pan Jan pokornie słuchał baby i oddał dziecko, które, jak się okazało — było mocno przeziębione i chorowało blisko trzy miesiące, w ciągłym niebezpieczeństwie między życiem a śmiercią.

Na koniec jednak zdrowy organizm — jak mówił doktor — zwyciężył.

Mimo woli pan Jan zdradził się kiedyś przed żoną, jakie to doświadczenie zrobił ze swym synem i jakie zyskał od niego rewelacje.

Pani Irena — osoba nadzwyczaj łagodna — wybuchła gniewem i przemówiła do swego męża słowami, jakich on zapewne nigdy nie słyszał dotychczas. Pan Jan niby to uznawał słuszność pretensji żoninych, ale z drugiej strony tak odsłonić tajemnicę bytu, jak to jemu się udało, chyba nikt dotychczas nie uczynił.

— O mało mi dziecka nie zabił! — mówiła pani Irena przez lat dwadzieścia w różnych okazjach.

Istotnie, dziecko było wątłe, słabowite, chorowite i wymagało nieustannej pieczy i uwagi, co, nie bez słuszności, matka przypisywała niebezpiecznemu doświadczeniu, jakie z biednym Józkiem uczynił ojciec.

Pan Jan jednakże był bardzo dumny ze swojego doświadczenia i długi czas jego sprawozdanie miało wielki rozgłos w europejskim świecie uczonym. Jednakże niejaki Dr Wagner z Lipska wykazał, że te wszystkie rzekome rewelacje nowo narodzonego znajdują

<sup>49</sup> *chryja* — awantura. [przypis edytorski]

się w książce pewnego mistyka z wieku XII, nazwiskiem Angelo Mandragora de Catacumba pt. *Misteria coelestia*. Dzieło to pan Jan istotnie znał i czytał w młodości. Owóż w doświadczeniu z Józiem pan Jan zapomniał o swojej zwykłej metodzie i zamiast nakazać uszponemu: „mów, co wiesz!” — sam mu dawał zapytania i sam pewnie odpowiedzi mu podsuwał; czynił to nieświadomie, gdyż rzecz pewna, że treść książki bezwzględnie zapomniał. Ale znowu z drugiej strony faktem jest, że Józio z nim mówił i to naprzód jakimś nadziemskim językiem, a potem dopiero ludzkim... A może i to było złudzenie... Może właściwie to on sam, pan Jan — był zahipnotyzowany.

Wątpliwości go dręczyły. Rozwój Józia ojciec pilnie śledził, przypuszczając, że będzie to jakiś wyjątkowy geniusz. Okazało się jednak, że był to chłopiec przeciętny, mało ciekawy do nauki, dość apatyczny, ale natomiast bardzo kochliwy. Wcześniej rozwinął się w nim zmysł erotyczny, ale, niestety, Józio w tym kierunku doznał samych zawodów i rozczarowań i jeżeli powróci na swoją planetę — to już pewno nie będzie ciekawy miłości ziemskiej.

## Amor i Faun

### I

Amor<sup>50</sup> i Faun<sup>51</sup>, te dwa bóstwa grecko-rzymskie, to dwa odmienne symbole energii uczuciowej człowieka. Zazwyczaj obaj ci bogowie razem panują na świecie, ale już to jeden, już drugi zyskuje przewagę nad rodzajem ludzkim: rzadko kiedy nadchodzi wielki Renesans równowagi obu bóstw, gdy zjednoczone bujają po ziemi jako jeden jedyny, pełny pogardy i w bezmiarach zagłębiony Amor-Faun. W zwykłych czasach każde się błąka oddzielnie po swoich dziedzinach — a i okresowo panowanie ich się zmienia.

Nie będziemy sięgać w daleką przeszłość, ani zaglądnijemy do Hezjodowej<sup>52</sup> *Teogonii*. Bogowie greccy żyją zawsze i zamierzamy tu rzucić okiem na ich czyny tylko w najbliższych dwóch stuleciach, w w. XVIII i w. XIX. Są to dwa okresy, których istotę różnie by można oznaczyć, ale jeżeli chcemy je określić ze stanowiska ludzko-uczuciowego, to wiek XVIII nazwiemy wiekiem Amora, wiek XIX wiekiem Fauna.

Spójrzmy na obrazy malarzy XVIII w., czytajmy pieśni poetów tego czasu, a znajdziemy, że główną postacią ich twórczości, głównym wyrazem siły ich sentymentu jest Amor-Kupido, mały, pucolowaty, nagi chłopczyna, z łukiem w ręku i kołczanem strzał na plecach, złośliwy, psotny, figlarny, kapryśny, swawolny syn Afrodyty<sup>53</sup>.

Jest to potworek groźny czasami, ale w istocie filuterny<sup>54</sup> sam przez się i filuternie traktowany przez swoje ofiary. Zadaje on rzekomo męczarnie, ale te męczarnie rychło wynagradza rozkosz; we łzach, które wywołuje, jest pewien uśmiech i każdy, do którego Amorek się zbliża, wie, że miły ten bożek zada mu trochę cierpień, ale od tych cierpień serce nie pęknie i że tym słodsza będzie godzina cudu.

Jest to lekki, dobrze wychowany diablik z najlepszego towarzystwa; umie się tajemniczo wciskać do gaików, gdzie płynie bystra woda; do gęstych parków, gdzie kieretnie ukrywają tajemnicze uściski kochanków; do salonów, gdzie pudrowani panowie i pudrowane damy dowcipnie igrają słówkami. Amorek nie lubi tragedii, a jeżeli wywołuje pojedynek, to dla czegoż pojedynek ma być smutny? Ludzie powinni dla Kupidyna żyć wesoło i umierać wesoło. Amorek bowiem, błąkający się po Luwrze, po Wersalu, po Trianon, na dworze Ludwika XV i Ludwika XVI, jest dziecięciem najweselszego stulecia, jakie znamy w historii ludzkiej, dziecięciem wieku XVIII...

Był on i w XVI i w XVII stuleciu, przebrany w suknie pasterskie, a chwałę jego opiewali Montemayor, Honoriusz d'Urfé i Sennazaro, ale dopiero wiek XVIII był rzeczywistym panowaniem Amora.

Wiek to był, który nie dbał o jutro i mówił: Po nas choć potop!

<sup>50</sup>Amor (mit. rzym.) — bóg miłości, syn Wenus i Marsa, przedstawiony jako skrzydlaty chłopczyk z łukiem. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Faun (mit. rzym.) — bóg płodności. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Hezjod — gr. poeta epicki, ur. między 850 a 700 p.n.e., autor m. in. *Teogonii* (poematu o pochodzeniu bogów) oraz *Prac i dni*. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>Afrodyta (mit. gr.) — bogini miłości. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>filuterny — figlarny, prowokujący. [przypis edytorski]

Wiek to był, który w zjawisku życia cenił przede wszystkim życie samo i każdą minutę umiał wyzyskać dla rozkoszy: pocałunki, uśmiechy, szepty miłosne towarzyszyły mu do końca; wszędzie przynosił on swoją lekkość, swobodę, prostotę, swoją jednolitość, pewność siebie, swoją jasność i logikę. Albowiem Amorek XVIII w. to przede wszystkim dziecię jasnej, czystej, logicznej umysłowości tego czasu; Amor ten, to dialektyk, sofista, libertyn: to brat duchowy Voltaire'a, Helwecjusza, Holbacha, *Encyklopedii*; to drwiący sceptyk, na tyle jeszcze pełny sił i pełny krwi, że nie łamią go ani drwiny, ani sceptycyzm; on sam w sobie na serio nie wierzy, wie, że jest kłamstwem, ale dobrze mu z tym i wcale nie chce być innym. Owszem, ta niewiara w samego siebie, zamiast dlań być źródłem jakiegoś tragizmu, nadaje mu przeciwnie dobroduszny uśmiech pobłażliwości dla grzeszników miłych i tajemniczych, dla zawodów, zdrad i nieśmiałości, odlotów i zmian i fałszów: dlatego jeżeli rozkosze, którymi Amor darzył swoich wybrańców, były nieprzebrane, to cierpienia, jakie zadawał, nie były ani zbyt długie, ani zbyt okrutne. A prace jego były liczne; Amor wszystkie rzemiosła uprawiał: był on kowalem i kolorystą, i puszkarzem<sup>55</sup>, i łuczniakiem, i kwiaciarzem, i zaklinaczem: umiał zamraczać rozum, wróżyć przyszłość, budzić zapomnienie, albo, co gorsza, wspomnienie, umiał oczy oślepić, a również rozwijać dar jasnowidzenia. Lekarz to był znamienity: wskrzeszał półumarłych, budził do mocy osłabionych; czasem krew puszczał jak cyrulik<sup>56</sup>, że byłś blady jak nieboszczyk, ale częściej tyle ci krwi wlewał w żyły, a krew tak była gorąca, żeś szukał ochłody w cieniu jakichś migotliwych, figlarnych źrenic, w sercu jakiejś damy tkliwej, oddanej, niezbyt męcząco wzajemnej i niezbyt męcząco wiernej.

Był to bożek wszechwładny, z pozoru okrutny, nieubłagany, ale w istocie gotowy do wszelkich układów; toteż był zawsze jakby żartobliwie uśmiechnięty, różany wieniec nosił na głowie, a już to wygadany był niepospolicie. Żaden gracz tak nie rzucał słowami: retor był nadzwyczajny, a niespodzianki jego przemówień nigdy nie raziły, bo czarem ich była nie nowość wrażenia, ale właśnie jego dawność nieskończona; on był na ziemi *ante Agamemnona*<sup>57</sup> i cała rozkosz tych dusz XVIII w. polegała na tym, że pieśń Erosa to pieśń, która niezmiennie jednakowo brzmi od tysiącleci. Retor to był doskonały: nie darmo żył w stuleciu, kiedy za mądrość starczyła *une langue bien faite*<sup>58</sup>.

Toteż brakło mu tego, czego również brakło owemu stuleciu, przynajmniej zewnętrznie: brakło mu poczucia nieskończoności; nigdy on nie umiał wyjść poza salony, poza Wersal, poza ziemię. Matka natura wyobrażała mu się jako poczciwa dusza, która nikogo nie krzywdzi i każdemu stworzeniu daje ziarna, ile trzeba; która człowieka rodzi dobrym i miłościwym i tylko brzydkie ludzkie prawa naruszają tę przyrodzoną dobroć człowieka. Człowiek zaś sam to maszyna kunsztowna, ale bardzo prosta, w której zmysły i wrażenia grają rolę kółek i transmisji. Filozofią tego czasu był miły sensualizm, redukujący wszystkie zjawiska ducha ludzkiego do dwóch przeciwieństw: rozkoszy i cierpienia.

Taki był Amor XVIII w., duch wesoły, jasny, zrównoważony, ludzi i bogów darzący rozkoszą.

Ale obok sceptyków i encyklopedii, obok tych, w skończoności zamkniętych, wiek XVIII miał drugi szereg myślicieli, którzy pracowali w ukryciu, w tajemne stowarzyszenia powiązani; dziedzice hieratycznych, tradycji wieków umarłych, szukali oni nawiązania zagadek bytu i nieskończoności na innej drodze, na drodze mistyki.

Illuminaci, Różokrzyżowcy, nowi Templariusze, Kabaliści, Fabre d'Olivet, Saint Martin, Saint Simon, Fourier, Mesmer, zamącali śmiech ironiczny Voltaire'ów i Diderotów.

Żyli oni całą duszą w nieskończoności, a ta jasna i przezroczysta myśl XVIII wieku była dla nich myślą powierzchowną i płytką. Tu była granica panowania Amora.

Jednakże mężowie ci byli zbyt daleko od swojego czasu, ale już dzwoniła nuta miększa w pieśniach Amora, *tendresse*<sup>59</sup> pasterzy, co się schodzili „pod umówionym jaworem”; już płynęły po świecie mgły osjaniczne<sup>60</sup> melancholii, nadchodzące z dalekiej Szkocji;

<sup>55</sup>puszkarz (z węg.) — artylerzysta a. konstruktor armat. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>cyrulik (daw.) — fryzjer, wykonujący też proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*ante Agamemnona* (łac.) — przed Agamemnonem. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*une langue bien faite* (fr.) — układna mowa, dobrze skonstruowana wypowiedź. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*tendresse* (fr.) — czułość. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>osjaniczny — podobny w charakterze do *Pieśni Osjana*, poematu Jamesa Macphersona fałszywie przedstawianego jako tłumaczenie pieśni gaelickich. [przypis edytorski]

już się załamywał uśmiech ironiczny rozkosznego syna Cyprydy<sup>61</sup>. Na twarzach Charyt<sup>62</sup> i Driad<sup>63</sup> bladł rumieniec. Rodziła się tęsknota, uczucie niewysłowione, pełne jasnowidzeń jakiejś nowej *origo rerum*<sup>64</sup>.

Nowym głosem przemówiła natura; odezwało się serce. Zjawił się Jan Jakub<sup>65</sup>, ojciec uczuciowości XIX w. i tego nastroju, który później nazwano romantycznym. On też był ojcem Werterów i Gustawów, którzy w uczuciach swoich nie kierowali się wskazaniami figlarnego Amora-Kupidyna, ale przeczuwali w miłości jakąś tajemnicę tragiczną i nierozwiązaną.

Rousseau wzywał: powróćmy do natury! Nie przeczuwał, jakie huragany zawiera w sobie to wezwanie. Ale burza nadeszła: gromadziła się wiekami i naraz<sup>66</sup> wybuchła.

Wobec wesoło tańczącego Wersalu: wobec pań i panów strojnych, wypudrowanych, rozbawionych; opanowanych jakimś dziwnym szaleństwem igraszek, ale widzących i myślących jasno i logicznie, w granicach skończoności i encyklopedii — zjawiła się nagle i niespodziewanie gromada ludzi dzikich i wściekłych, żywiol rozhukany i nieocuglony, który dotąd zamknięty w klubach<sup>67</sup> niewoli i poddaństwa, naraz zapragnął powrotu do natury, powrotu do lasów pierwotnych, a żądza ta nazywała się swobodą.

Piękne damy i piękni panowie ze zgrozą patrzyli na tę nacierającą tłuszcę sił żywiołowych, które szerzyły wkoło pożary i zgłiszcza, układały nowe formuły życia i rozpoczynały nową epokę świata.

Gilotyna zgrzytała nieustannie: najpiękniejsze głowy tego czasu ścięto, najmiłsze uśmiechy, najśodsze spojrzenia, najczterwieńsze usta — zamarły pod nożem katowskim. Rewolucja huczała rozpętana i zwycięska. *Mater triumphalis*<sup>68</sup>.

W tej rzezi ogromnej zginął też i ów rozkoszny, pełny wesela, miły synek Afrodyty. W rewolucji francuskiej zginął Amor, a jeżeli czasem jeszcze się odzywał, to głos jego był jakąś pieśnią zagrobową. Nie mógł też on się odrodzić w wielkiej epopei napoleońskiej, bo tu wśród huku armat, wśród krwi i ognia bitw, tylko dorywcza *Venus Vulgiva*<sup>69</sup> hulala sobie po żołniersku z gruba i bez subtelności.

Im dalej też płyniemy w XIX stulecie, tym bardziej znika nam świetlane dziecię Cyprydy, a zamiast niego coraz potężniejszym władcą poezji staje się inny wielki bóg starożytności, Pan czyli Faun.

## II

Powiadają, że w II stuleciu po Narodzeniu Chrystusa — na brzegach Grecji i Sycylii — i na całym Morzu Śródziemnym zabrzmiał jednego ranka wielki — przerażający okrzyk: Umarł Pan!

Śmiało rzec można, że w rewolucji francuskiej Pan się odrodził.

Bo ową tłuszcę dziką i pełną entuzjazmu, ową bachanalię<sup>70</sup> ideału i rozlewu krwi, jaką była rewolucja — prowadził nie kto inny, jeno<sup>71</sup> odrodzony Pan, bóg lasów i pól, bóg pierwotnej, elementarnej swobody istot ludzkich. On to z dusz człowieczych zerwał pęta, wzywając je, by powróciły do lasu, do natury, do stanu pierwotności, jako niepokalana potęga żywiołowa.

Pavana indyjski, Pan grecki, rzymski Faun zmartwychwstał na mogile Amora — i wygnął go precz ze strzyżonych ogrodów Wersalu i z leśnych zacisz i z ksiąg poetów.

<sup>61</sup>Cypryda — przydomek Afrodyty, bogini miłości, urodzonej z morskiej piany u wybrzeży Cypru. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>Charyty (mit. gr.) — Gracje, boginie wdzięku i radości. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>Driady (mit. gr.) — nimfy drzew. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>origo rerum (łac.) — pochodzenie rzeczy. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>Jan Jakub — Jean Jacques Rousseau. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>kluba (daw.) — narzędzie tortur. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>mater triumphalis (łac.) — matka triumfalna. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>Venus Vulgiva (łac.) — Wenus włócząca się tu i ówdzie, przydomek bogini jako patronki nierządnic. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>bachanalia — ekstatyczne święta na cześć Bachusa, rzym. boga wina. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Stare, barbarzyńskie bogi ludów północnych, Odyny<sup>72</sup> i Perkuny<sup>73</sup>, odezwały się na nowo głosem ostrym i surowym, gdyż ich razila miarowa i wesoła mowa Erosa. — Przemówiły ponure Nomy skandynawskie, a Faun czuł raczej z nimi pobratymstwo bliższe, niż z pogodnym niebem Olimpu. W treści Fauna była północ dusz greckich.

Odtąd w pieśniach Shelleya i Keatsa, aż po dni Mallarmé'go i Regniera, w muzyce Beethowena, w obrazach Böcklina, Stucka, Malczewskiego — nie Amor ale Faun jest głównym bóstwem ziemi.

Na koniec zjawia się Fryderyk Nietzsche, który w godzinie *delirium* sam siebie uważa za wcielenie Dionizosa, za króla i władcę Faunów i wszelkiego Faunizmu. Kult Dionizosa i ducha Dionizyjskiego chce on postawić ponad wszelkim kultem ludzkim, a jest to w głębi swojej i nade wszystko kult tragizmu.

Odrodzony Faun iście zmartwychwstał w strasliwej godzinie rzezi i pożarów; on kochał tę rzeź i upojony był krwią i zniszczeniem, gdyż kąpał się we własnej krwi, jakby roił, że z tego samokrwawienia nowy świat się narodzi. Ale kiedy ucichły rzezie, kiedy wywalczone zostało prawo powrotu do Edenu — Faun czuł się nieskończenie smutny, bo krwi popłynęło zbyt wiele, a jeden grzech bolał go najwięcej: oto, że zabił Amora — i szukał jego zwłok — i nie mógł odnaleźć czarownego pacholęcia. A przy tym Faun celu swego nie osiągnął: zburzył stare zamki dawnych kasztelanów, ale nie mógł już powrócić do ciemnych głębi puszczy, gdyż lasy wyrąbano i zniszczono; tam, gdzie dawniej szumiały bory, o których marzył Faun odrodzony, dziś stały większe i mniejsze miasta, huczały maszyny, wzbijały się ku górze kominy fabryczne, a na miejscu dawnych piękności i filigranowych domków *rokoko* — wznosiły się brzydkie, brudne, ceglane gmachy i wewnątrz nich płonął wiekuisty ogień w ogromnych piecach żelaznych, a czarne grube dymy mroczyły niebo, co dotąd było zawsze czyste i błękitne; jeżeli zaś się ściemniało, to od chmur potężnych, od wichrów i burz, nie od pyłu węglowego.

Na nowo uwięzione cyklopy przerabiała w tych ponurych budynkach — żelazo i nici.

Ten świat, który swoją potęgą do życia powołał Faun — nie był jego światem. Czarno ubrani panowie — zjawiali się wszędzie tam, gdzie on przeczuwał szerokie wolne przestrzenie, zielone szumiące gaje lub mchem porośnięte skały, w których łonie były dogodne dla faunów pieczary. Nimfy też przerażone coraz głębiej poza mury miast uciekały, ale miasto ścigało je wszędzie. Lokomotywy przeraźliwym świstem napępiały ich uszy, nawykłe do świergotu ptaków i melodii drzew — i oto Faun, co wylał tyle krwi, aby uzyskać swobodę błądzenia po swobodnych puszczech — uchodził wciąż dalej tam, dokąd uchodziły nimfy.

Policja, administracja, biurokracyzm, regularna praca fabryczna, dzwonem kilkakrotnym co dzień ogłaszana — wszystkie te grozy coraz potężniej raziły w zakłete siedliska Faunów, o których w czasie udręki roi każda dusza, zgnębiona niewolą życia nowoczesnego.

Bezgraniczna melancholia opanowała serce Fauna; czuł, że jego królestwo nie tylko nie nadeszło, ale owszem coraz dalej odpływa i coraz bardziej się uniemożliwia. Toteż nieraz w samotne ogniste wieczory Faun marzy o tym, czy by nie należało błagalnie prosić bogów, wołając do nich: Wskrzeście Amora!

Bo chciałby się Faun od Amora nauczyć, jakim sposobem umiał on być szczęśliwy i różowo barwić sny człowiecze, gdy w nim — w tym nowym bogu dni późnych — jest wiekuista posępność — i żal rzeczy spełnionych, że się spełniły, i rzeczy niespełnionych, że się nie spełniły. Ale Amor jeszcze nie zmartwychwstał, a Faun, zbuntowany przeciw bogom i przeciw naturze, przeciw ludziom i przeciw sobie — wlecze po zniszczonych lasach swoją otchłanną żądzę nieskończoności. Ze śmiercią Amora, który kochał linie zamknięte, określoność i skończoność, zjawy<sup>74</sup> proste i wyraźne, świat jasny i widzialny — Faun wywołał w duszach ludzkich bezgraniczną żądzę bezgraniczności, upiorową furię niezgłębionych tajników, chaos wiekuistych sprzeczności wewnętrznych, pragnienie rzeczy o kształtach nieokreślonych, rzeczy, których nigdy nie było i nie będzie, tęsknotę, co świdruje i szarpie i targa; słowem, nienawiść bezwzględna rzeczywistości.

Dusza Fauna — to sen o śnie, sen posępny i niespokojny.

<sup>72</sup>*Odin* — najwyższy bóg mitologii skandynawskiej, bóg mądrości, poezji i magii. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*Perkun* — słowiański i litewski bóg pioruna. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*zjawy* — tu: zjawiska. [przypis edytorski]

Nie motyl i nie gołąb mu towarzyszy, ale wąż, który mu serce przegryza jadem. Amor żądał tak niewiele, że mógł otrzymać wszystko, czego pragnął, dlatego, choć czasami się smucił, kaprysił, żalił, płakał — były to żale, smutki, kaprysy, w których istocie tkwiła żartobliwość; nietrudno było go zaspokoić.

Faun się nie żali, nie kaprysi, nie płacze; on wyje, on przeklina, on wije się w spazmach, a jego melancholia graniczy z furią; jego ironia jest dzieckiem piekiel, — a jego pożądanie to wizja bachanalii kosmicznej, w której duchy planet padają sobie w objęcia, aby przez całą wieczność toczyć się w nieskończoności.

Faun jest bezbrzeżnie smutny — bo wie, że nigdy zaspokojoną nie będzie jego niewygasa i wulkaniczna żądza; pożąda on wszystkiego, bo to uczucie, co mu trawi serce — jest wszystkim i esencją wszystkiego.

Być może, że Faun nie potrafi nazwać określonym imieniem, czym jest to jego wielkie i przerażające go samego uczucie, ale wie, że w nim miłość przerasta sama siebie — i, nie będąc Kupidynem — Faun jest więcej niż samą Miłością...

Dlatego rodzi się w nim straszne poczucie, że nie ma w nim miłości — a syczący wąż melancholii jadem swoim zatruwa nikle gołębio-motyle uczucie, które w nim się czasami odzywa kwiląco — i budzi pragnienie jakiegoś sielskiego dzieciństwa, bez tych burz wiekuistych, co nieustannie w nim huczą, niszcząc jedno marzenie po drugim, jedno pragnienie po drugim, jeden sen po drugim. Wszystko się załamuje, pryska, rozwiewa.

A przecież Faun czuje się bliższym pierwotnego Edenu miłości i bliższym wszelkiej zagadki bytu, niż kto bądź. On sam pośród żywiołów krąży jako żywioł; krąży śród natury jako jej wcielenie, jej zjawa wyodrębniona, samoistna i pełna...

Ale dlatego właśnie jakieś bezimienne niewidzialne żywiołaki pól i łąk, gajów i jezior, marzeń i snów, pożądań i rozczarowań — wirują nieustannie w nim i walczą z nim i rozdzierają jego wnętrze na bolesne strzępy, że, będąc sam miłością, chce się wyrwać z miłości; będąc naturą — chce wyjść poza naturę; będąc marzeniem — chce wyjść poza marzenie; będąc naraz grzechem i świętością, chce się wyrwać poza grzech i świętość. Faun szuka samego siebie i chce stanąć ponad sobą; chce zerwać ze siebie wszystko, co mu narzuciła przypadkowość, i zmienić się w punkt bezprzestrzenny, w którym się przełamuje tajemnica bytu. W jego furiach miłosnych jest taki wybuch pragnień, jakby przerastających samą istotę miłości; jest w nich tyle mistyki i nadczłowieczeństwa, tyle anielstwa i szataństwa, tyle niewoli i żądzy wyzwolenia, tyle niewcielonych i niezjednoczonych przeciwieństw: że Faun dopiero teraz odczuwa swoją prawdę i swoje kłamstwo — teraz dopiero pojmuje, czym jest — i w strasliwym, męczeńskim niemal, rozlewającym się w bezmiary krzyku — ogłasza światu swoją sprzeczność istotną:

— Jestem i nie jestem. Istnieję wszędzie i nigdzie, zawsze i nigdy. Nie znam ani czasu, ani przestrzeni, nie znam ani ciała, ani ducha, ani zła, ni dobra, ani smutku, ni wesela, ani życia, ni śmierci... Nie znam, co jest dziś ani wczoraj, ani co jest tu lub tam, ani co jest ja lub nie ja. Żyjący jest umarłym. Przyszłość jest przeszłością. Nicość jest nieskończonością. Z nicości wszystko powstaje. Jestem bogiem, a bóg jest mną. Wszystko jest we mnie — i ja we wszystkim. Utajone drga we mnie wszystko, co było, i wszystko, co będzie. Jestem i nie jestem. Jestem ja i nie-ja. Żyjący i umarły. Umierający wiecznie i wiecznie zmartwychwstający. Rozpłyniony w eterach poza teraźniejszością — wczoraj i jutro, wszędzie i zawsze... Jestem wiekuista przemiana, wiekuiste zaprzeczenie samego siebie, wiekuiste stawanie się, które się nigdy nie zatrzyma. Męczarnia moja, że duszy mówię: zatrzymaj się, a ona nie wie, gdzie jej kres; męczarnia moja, że nie mogę pogodzić sprzeczności; że nie mam granicy własnej, że dusza moja zlewa się z duszą wszystkich i wszystkiego; że nieustannie burzę, com zbudował, że rozwalam ołtarze bogów, których czciłem — i że zabijam wszystko, com ukochał!

Tak się żalił Faun w głuchym na pól zrąbanym lesie dębowym: ptaki przerażone zamilkły, a zadumane łanie z melancholią patrzyły wielkimi oczami na boga natury przesuconego.

Tysiące nimf, tysiące Driad i Nereid — otoczyły monarchę puszczy i wołały:

— Czemu się żalisz, o nieśmiertelny, o wszechjedyny, wszechczujący! Nerwie i mózgu i serce świata! Ty, w którym jest koniec i początek, w którym jest wszystka prawda i wszystka miłość, wszystko życie i wszystko unicestwienie; w którym pana czuje każdy listek mchu i każda paproć, każdy kamień i każde tchnienie zefiru, każdy oddech i pocału-



nek, każdy uścisk i każde poczęcie! Faunie, mów, czego się żalisz? Oto masz nas tysiące na skinienie, a każda cię obdzieli najgorętszym uściskiem, każda ci odda najwyższą świętość swego grzechu i najwyższy grzech swej świętości!

Ale Faun znał je wszystkie — i widział w ich oczach zawsze jeno cząstkę tego, czego pożywał, a nigdy nie widział tej nieskończoności, którą przeczuwał — gdzieś — daleko — gdzie bądź... Bo w nich drgała tylko znikoma struna bytu — coś, co przemija, co się zmienia, coś — co jest i nie jest razem. Sam on był zmieniający się wciąż, jak potok, przez który coraz nowe płyną fale, a przeto szukał rzeczy niezmiennych i wiekuistych. I Faun — wdziękami tylu cudnych rusałczanych postaci okrążony — szukał zawsze tej jednej i jedynej, która była nieobecna, a która błąkała się po ziemi, nie wiadomo gdzie...

Jednakże nimfy umiały otumaniać Fauna. Wiedziały, że natura, niegdyś przerażona grzechem swego okrucieństwa — jęła się sama przed sobą spowiadać — i, aby złagodzić byt swoim tworum — wywołała czarowny, upajający owoc — winne grono. Nimfy ze złotych i czarnych pereł wina musiały sączyć trunek zaklęty, którym Faun upojony, jakby upojony wodą letejską<sup>75</sup>, zapominał o wszystkim, co go na jawie dręczyło.

Sen cudowny opanowywał boga: ambrozja przenosiła go w inne światy, nadawała odmienne barwy jego jasnowidzeniom. W *delirium* bóg lasów tańczył i radował się bytem i oddawał się wszelkim rozkoszom nieprzytomności, a nimfy otoczyły go kołem i w lubieżnych skokach rzucały mu się w objęcia — i całowały go nieskończonym wielkim pocałunkiem, co jak eter ożywczy dawał mu złudzenie urzeczywistnień niepojętych. Faun był szczęśliwy, a dokoła nimfy oszalałe, upojone winem i rozkoszą — uderzając miarowo białymi nogami w miękkie puszyste trawniki leśne, wołały: *Evoé Bacche!*

Ale straszne było przebudzenie z upojen. Żalostniej jeszcze bóg odczuwał cierpienie swego bytu: gdyż nic go uchronić nie mogło od pamięci.

Faun jest wobec Amora, jak melancholia wobec radości; jak jesień wobec wiosny; jako noc księżycowa wobec jutrzeńki; toteż Faun tęskni za Amorem — jak my tęsknimy za naszym wiekiem dziecinnym, ale nie wrócą lata dziecinne, ani zmartwychwstanie Manmatha.

Tajemnica Fauna jest wielka: że miłość jest tragedią, że jest to przeraźliwe misterium, które się staje coraz bardziej niezgłębionym, im głębiej oko sięga w jego treść utajoną. Ona jest zaprzeczeniem samej siebie — i z wolna staje się niby złowrogim Anty-Erosem i Hyper-Erosem; przerasta sama siebie — i jakżeby chciała pochłonąć sama wszystkie pierwiastki bytu. Faun — w tym uczuciu bezgranicznym, bezforemnym, bezkresnym — chce wszystko zjednoczyć, chce rozplątać wszystkie najsurowsze zagadnienia człowieczego anielstwa — poprzez najgłębsze piekło szałów i upojen zmysłowych.

Faun — to ów *furiis agitatus amor*<sup>76</sup> starożytnych: pragnienie wieczne nowych wzruszeń, głód niepodobieństw<sup>77</sup>, rozpacz niebiańskich pokus, ukochanie męczarni, ekstaza ascetyczna w obłędach rozkoszy, zwątpienie, co ją przegryza w jej najgłębszych tajniach, zwątpienie o zwątpieniu, w godzinie powitań gorycz pożegnania, piekło i spazm pocałunków bez końca...

Od dnia krwawej łuny, w której naraz wybuchnął — Faun idzie za nami, straszny i nieubłagany, jako wielki bóg sprzeczności. On jest tym prawem boskim, prawem natury, prawem namiętności, przeciw któremu stanęło prawo ludzkie, społeczne, prawo uległości; on jest tym pożądaniem istotnej swobody, przeciw której stanęła skrupowana w każdym ruchu kultura; on jest bojowniczym, poszukującym siebie duchem osoby ludzkiej — wobec gromady, co go zalewa swą jednoforemną, a zarazem on jest wcieleniem bezimiennej postaci bóstwa wszechistnienia — jest *Pantheosem*<sup>78</sup>.

Jest to bóg nierównowagi, w której wirują nieskończone byty. Jest to pożądanie szałów i upojen coraz nowych, coraz odmiennych, coraz wyższych... Jest to niepokój wiekuisty — powołujący ducha coraz wyżej i coraz dalej od rzeczywistości codziennej... Przeto dzieci Fauna są wiecznie z siebie niezadowolone, a każde uczucie, jakie w ich sercu się obudzi — widzi się im nie tym uczuciem, jakie w nich płonąć powinno... Na szalejącym morzu

<sup>75</sup>woda letejska (mit. gr.) — woda rzeki Lete, płynącej w Hadesie i sprowadzającej zapomnienie. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*furiis agitatus amor* (łac.) — miłość wzbudzająca furie. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*niepodobieństwo* (daw.) — coś nieprawdopodobnego a. niemożliwego. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*Pantheos* (gr.) — Wszech-Bóg. [przypis edytorski]

Pokusa

Miłość, Prawo

wędruje łódź bez wiosła, co zda się nigdy nie dopłynie do żadnej przystani.

I to jest może najwyższa melodia ducha Fauna; żyje on bez początku i końca, bez przyczyny i celu, jak wszystko, co jest w bycie największe i najdoskonalsze, jak natura, jak wieczność i nieskończoność, jak bóstwo.

## Almanzor

Poeta pewien, błędny rycerz ideału, samotnik i pielgrzym, który młodzieńcze swe lata przepędził na wzgórzach Antylibanu — opowiadał mi dziwną powieść, zasłyszaną tam niegdyś w noc miesięczną<sup>79</sup>. Gdyby dziś, błądząc nocami po kawiarniach Paryża, poeta ów spotkał się z tą powieścią, którą poniekąd zapożyczyłem od niego — niechaj przyjmie ode mnie pozdrowienie.

\*

Stary strzelec z pokolenia Druzów<sup>80</sup> rzecze:

— *Bilsm-illachir-rachmanir-rachim!* Był niegdyś w VII stuleciu hedżiry<sup>81</sup>, w Szirrawazie, kalif<sup>82</sup> Almanzor, słońce Lewantu<sup>83</sup>. Poznał on wszystkie tajemnice mądrości ludzkiej, a każdy wiersz Koranu umiał na pamięć, jak idzie oraz wstecz — i niejeden z dala przybyły derwisz<sup>84</sup> uczoneści jego wydziwić się nie mógł. W gwiazdach też czytać umiał, jak najlepszy astrologus, a zarazem był to znakomity wojownik, który potęgą swego miecza zholdował niemało gjaurów<sup>85</sup> i pogan i czcicieli ognia; dwanaście narodów składało mu haracz bogaty — złoto, kość słoniową, pachnidła, zboże, bydło, tkaniny — a każdy naród przywoził mu nadto corocznie najpiękniejszą dziewicę swoją do haremu. Więcej niż tysiąc kobiet — białych i czarnych, brązowych, oliwkowych i żółtych miał kalif nasz do rozkoszy. Muzyka i śpiew nieustanny, ucztę i igrzyska zapełniały jego życie.

Mógł tedy być szczęśliwym Almanzor, pan mądrości, pan miecza, pan złota, pan wiela<sup>86</sup> narodów, pan najpiękniejszych niewiast. A przecież nie był szczęśliwy.

Duszę jego pożerała straszna, niczym niezaspokojona nuda, taka sama, jaką odczuwał niegdyś wielki król Salomon. Nicość wyglądała mu z każdej rzeczy, której zapragnął, którą zamarzył, którą widział w żywe oczy. Jakiś czas rozweselało go młode czarne pacholę, dziwnie piękne przy swej barwie hebanu, niby małe szatanię w purpurowych szatach. Z głębi Afryki przywieźli kupcy to dziecko, co się błąkało po puszczy, nie wiedząc, kto mu był ojcem i matką. Trzydzieści lat miał dziś Hannibal i zawsze pełny był wesołości, żwawy jak kozłatko, o głębokich, czarnych ognistych oczach. Mądry też był nad wiek i w pisaniu liter arabskich, czy to początkowych, czy środkowych, czy tych, co stoją na końcu słowa — mistrz nad mistrze.

Toteż kalif Almanzor chciał go uczynić swym kaligrafem.

Jakiś czas Hannibal wyborną krotochwilą<sup>87</sup> zabawiał monarchę, ale i to się skończyło. Almanzor jakby zapadł w nieruchomość, godzinami całymi siadywał na balkonie, zapałtrony w dale — i, kurząc długi cybuch — milczał, jak ten, co wszystką nadzieję utracił. A gdy myślał przebiegał swoje życie minione, nie mógł zrozumieć, dlaczego jemu właśnie przypada w udziale wszystka świetność i chwała, i potęga, i rozkosz żywota, gdy tylu innych ludzi żyje w poniżeniu.

Nie dlatego rzecz tę rozważał, aby miał się nad nieszczęściem litować, aby się wyrzec swojej potęgi i skarbów, lecz nie mógł w duchu swoim ogarnąć tego pytania: co jest los? dlaczego los dowolnie wybiera jednych, a drugich strąca w nizinę?

Pytanie było bezbożne, albowiem Allah jest twórcą losów, a przeznaczenie każde

Nuda

Dziecko

Los

Pycha

<sup>79</sup>miesięczny (daw.) — księżycowy. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>Druzowie — bliskowschodnia synkretyczna wspólnota religijna. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>hedżira a. hidżra — opuszczenie Mekki przez zwolenników Mahometa oraz przez niego samego w 622 roku, uznawane za początek ery muzułmańskiej. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>kalif — tytuł muzułmańskiego przywódcy świeckiego i duchownego. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>Lewant — wschodnie wybrzeże Morza Śródziemnego. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>derwisz — muzułmański pielgrzym. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>gjaur — niewierny, nie-muzułmanin. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>wielu — dziś popr.: wielu. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>krotochwila (daw.) — żart. [przypis edytorski]

spełnić się musi, jak było zapisane. Owóz niepokoiło Almanzora, dlaczego Allah takie a nie inne losy wyznacza ludziom, i chciał się wdrzeć w jego tajemnice. Czy człowiek potężny jak on — nie może stać się jakby Allachem — czy sam nie może rozdawać przeznaczenia? Prawda, on to czyni, ale nie tak czyni, jakby chciał: czyni to zawsze z pewnym rozmysłem, rachubą, planem, w którym nie masz ani konieczności niecofnionej, ani też szalonej gry przypadku. Właśnie chciałby on być panem losów ludzkich, ale czynić to bezwzględnie, jako przystoi monarsze, panującemu nad licznymi narodami.

Cóż tedy jest los? Dlaczego przeznaczenie nie dało mu nigdy troski i dlaczego tym brakiem troski dusza jego tak złamana, gdy tylu ludzi żali się na nieustanny ciężar trosk i cierpienia? Los czyli<sup>88</sup> nie przychodzi ku nam mimo naszej woli? czy nie jest to jakaś potęga szydercza, która tak nami rzuca, jak gracz, co się zabawia kośćmi? Czy człowiek nie mógłby wobec innych ludzi być taką samą — niespodziewaną i nieuchronną potęgą? Rzucać im przeznaczenia, których treścią byłby czysty przypadek? Bo czyż przeznaczenie nie jest przypadkiem, a przypadek nie jestże przeznaczeniem?

Tak rozmyślał Almanzor, siedząc na balkonie swego pałacu, a pałac zajmował wielki obszar po siedemset i dwadzieścia kroków z każdej strony świata; na szczycie pałacu wzdłuż dachu szła na cztery strony rozsnuta — balustrada z marmuru rzeźbionego w koronkę, tworząc balkon nieprzerwany, skąd Almanzor mógł oglądać wschód i zachód, północ i południe nieba.

Jeden, najmilszy kalifowi balkon był niby oderwany od świata i dawał widok na piękny ogród, pełny róż i granatów, zaludniony stadami łabędzi na jeziorze i saren oswojonych w gęstwinach; za ogrodem zaś rozpoczynała się głęboka czarna puszcza. Drugi balkon zwrócony był ku morzu, po którym się toczyły mnogie okręty, przywożące towary z dalekich krańców ziemi.

Trzeci balkon otwierał oczom monarchy widok babieńca<sup>89</sup>, w którym tysiąc kobiet od dawna za królem próżno tęskniło.

Z czwartego balkonu mógł widzieć rynek miejski i ulice pełne ludzi; tu szlachetni rycerze i ciury<sup>90</sup> obozowe, bogaci kupcy, łachmanami pokryci drażnicy<sup>91</sup> i półnaczy Murzyni mieszały się ze sobą.

Od strony ogrodu samotny siedział Almanzor — i, kurząc tytuń w wielkim cybuchu, a sącząc czarny płyn kawy z białej chińskiej filiżanki — spoglądał na czysty błękit nieba, po którym słońce zniżało się ku zachodowi — i na daleką, czarną, głucho szumiącą puszcę za ogrodem.

Nie patrzył nawet, jak się koło niego zabawiał Hannibal. A właśnie pacholę na różnobarwnych papierach pisało słowa coraz inne — i tę śliczną kaligrafię, papier zwinąwszy, rzucało w ogród. Więc na jednym papierku był znak dobry, na drugim imię Iblisa<sup>92</sup>, na trzecim imiona aniołów, diwów i czarowników. Tak pacholę niemało tych papierków rzuciło w ogród, a wnet się zlatywały gołębie, oczekując jakiej strawy, ale rozczarowane uchodziły, głośno gruchając. Te białe stada ruchliwych gołębi obudziły monarchę z zadumy — i zaczął się przyglądać igraszkom chłopca. Na koniec, nową myślą podniecony, rzecze:

— Hannibalu! Wiem, żeś mądry nad swe lata: tedy posłuchaj moich słów. W rękach kalifa są losy plemion całych, w jego rękach są również losy wielu ludzi, z którymi się styka, i tych, którzy się z nimi stykają. Ale nie jest on panem losu jednostek, które by sobie jakimś trafem nieokreślonym wybrał. Tym właśnie twórcą przeznaczeń chcę być, chcę zrozumieć tajemnicę losów. I owóz na widok twej igraszki — słuchaj, jaka myśl przyszła mi do głowy. Wiem, że jesteś doskonały kaligraf. Tedy zamiast pustych słów, napiszesz na jedwabnych papierkach tajemnicze wróżby i wyroki, a gdy staniemy po tej stronie balkonu, co zwrócona jest ku miastu — obwołamy wśród ludu, że im kalif rzuci losy, a komu los się uśmiechnie, komu zaś klęskę przyniesie — to się bez chyby<sup>93</sup> wypełni. Czyś zrozumiał moje słowa?

<sup>88</sup>czyli — czy z partykułą pytajną -li. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>babieniec — tu: harem. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>ciura — człowiek należący do służby w obozie wojskowym. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>drażnik — tu: pielgrzym. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>Iblis — przywódca zbuntowanych dzinnów, odpowiednik szatana. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>bez chyby — dziś popr.: niechybnie. [przypis edytorski]

— Zrozumiałem — odparło czarne dziecko i w uśmiech złożyło swe malinowe wargi. Gdyby Almanzor umiał być patrzeć, to by w oczach dziecka ujrzał swe własne przeznaczenie: była w nich jakoby czarna dziewczica piękności uwodnej, a której uśmiech był uśmiechem zagłady.

Kalif jednak nie spoglądał w oczy pacholęcia; zagłębiany w swą nudę, cieszył się już z góry widokiem rzeczy niespodziewanych, co się ujawnią z rozkazu wiatrem unoszonych losów.

Długie godziny przez wieczór cały pracowicie pisał Hannibal wyroki losów podług słów kalifa; nazajutrz dopiero można było rzecz wykonać.

Każda myśl, która się zrodziła w sercu Almanzora — budziła w nim wielkie zadowolenie — i natychmiast ją mu podsuwał, a Hannibal malował każde słowo na papierze barwy dwoistej, już to złotym, już to czerwonym. Papier złoty był dla niewiast, czerwony dla mężczyzn.

Sześćdziesiąt cztery kartki — jako jest liczba pól szachownicy — wypełniono w ten sposób, ale nie widział ani Almanzor, ani Hannibal — jak bezcielesna ręka wypełniła kartkę sześćdziesiątą piątą i zmieszała ją tajemniczo z ułożonymi poprzednio.

Owszem, śmiejąc się, w tym samym właśnie momencie prawił kalif: — Niechaj każdy będzie wyrokom posłuszny — i gdyby moje tu było przeznaczenie, poddam mu się bezwzględnie — na imię Allacha.

W oczach czarnego szatanięcia — rzekłbyś — śmiała się szydyczko niewidzialna wysłanniczka Iblisa.

Jakoż w południe, kiedy naród na pokrzepienie po trudach udaje się do domu — stanęły heroldy pod balkonem zamku królewskiego, zwróconym ku miastu — i wielkim głosem trąb zawezwali tłum, by słuchał słów monarchy.

Przystanęli wszyscy, a herold wołał:

— W imieniu Boga i proroka jego Mahometa! Wielki król Szirrawazy, król królów Almanzor, pan wschodu i zachodu — ogłasza. Na balkonie zwróconym ku miastu, w zamku swoim — stanie on teje godziny — i własną ręką rzuci narodowi, na jedwabiu złotym i czerwonym wypisane przeznaczenia. A ktokolwiek jaki wyrok ujmie — czyli zły, czyli dobry — temu los natychmiast się wypełni. Niechaj więc każdy pomodli się do swego geniusza<sup>94</sup>, aby ten mu dopomógł — i niech losy chwytą.

Tłumy ludu zebrały się przed zamkiem, kobiety i mężczyźni, starcy i dzieci, czarni i biali — czekając z zapartym oddechem tej rzeczy tajemniczej i nigdy dotąd niewidzianej w Szirrawazie.

W otoczeniu kilku dworzan zjawił się na balkonie Almanzor w szatach uroczystych; z nim czarne pacholę, trzymające w ręku siatkę, a w niej zwitki czerwone i złote.

Grzmącym okrzykiem tłumy powitany został kalif — chwilę, jakoby szóstą część godziny czekał, aż się tłum uspokoił — i wśród ciszy uroczystej natężonego wyczekiwania pomiędzy zgromadzoną ciżbę rzucił zwitki, rozwarzył siatkę, którą wziął był z rąk Hannibala.

Jak gołębie rzucają się na groch, tak się zbiegli ze wszech stron ludzie, walcząc o tajemnicę swych losów; bójki też niemilosierne były między nimi, ale kto już w ręku miał swe przeznaczenie, ten, choć pokaleczony i krwią obłany, bronił go, jak pies broni znalezionej kości.

Sama ta bójka niezmiernie bawiła króla i obiecywał sobie, że nieraz jeszcze to samo igrzysko<sup>95</sup> powtórzy — a gdy uciszyła się burza, rozkaz wydano, aby na czoło wystąpili ci, co losy uzyskali. Jakoż, przycisnąwszy się przez zwartą gromadę — stanęło u wrót pałacu sześćdziesiąt i pięć osób, każda ze zwitkiem w ręku, już to czerwonym, już złotym.

— Jakimże to sposobem sześćdziesiąt i pięć? Powinno być na dziś jeno sześćdziesiąt i cztery! Ileś pisał, Hannibalu?

— Sześćdziesiąt i cztery.

A jednak było osób sześćdziesiąt i pięć i każdy wybraniec losu okazał swój zwitek.

— Tajemnica jakaś w tym się kryje.

<sup>94</sup>geniusz — duch opiekuńczy. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>igrzysko (daw.) — zabawa. [przypis edytorski]

\*

Ustawwszy w porządku tych sześćdziesiąt i pięć osób, straż wpuszczała każdego po kolei. Ten zaś, który był wpuszczony, czyli<sup>96</sup> to pan w złotogłowie, czyli nędzarz w łachmanach, wprowadzony był przed oblicze królewskie z honorami, należnymi księciu krwi — i witany uroczysto.

Czarne pacholę odbierało zwitek i odczytywało kalifowi.

Pierwszy, który się zjawił, był to karzeł o twarzy bezkształtnej, koślawy, w nędznej sukni, żebrak i błazen uliczny. Odczytano jego los.

Niechaj będzie wielkim wezyrem<sup>97</sup> i niech zarządza moim królestwem.

Natychmiast dawny wezyr się usunął, a wszyscy ze czcią pokłonili się karłowi i włożono mu szaty bogate i do pałacu wezyra go zaprowadzono.

Drugi był młodzian z rodziny bogatej, który cały czas przepędzał jeno<sup>98</sup> w ucztowaniu a igraszkach; myślał tedy, jaka będzie w jego losach odmiana.

Wyprawić mu ucztę, aby jadła i napoju było w bród, a śpiew i taniec niech go uwesela.

I stało się tak, ale — zda się — była to jego uczta ostatnia, bo mu zbrzydło życie takie, odkąd los mu nic innego nie zgotował.

Trzeci przystąpił mędrzec, znany w mieście, jeden z najlepszych lekarzy, umiłowany przez całą ludność stolicy; przypadkiem znalazł się w tłumie i, mimochcąc, podniósł czerwony zwitek jedwabiu.

Wygnać go z granic państwa i nigdy nie puścić z powrotem.

I natychmiast był wygnany, a choć naród go oplakiwał, wyrokom losów stać się musiało zadość.

Połamany żebrak się zjawił, a los jego był:

Dać mu za żonę najpiękniejszą pannę.

Zaraz też za nim baba, nie mniej szpetna, znalazła taki wyrok:

Wejdzie do haremu jako małżonka monarchy.

Uradowała się baba niemało — i natychmiast ją do haremu wprowadzono.

Los wielkiego dygnitarza:

Wybatożyć; dwadzieścia pięć uderzeń.

Los biednego stolarza:

Obciąć mu ręce i nogi.

Los innego:

Niech wypije szklankę wody.

Tak też się stało — i umierający z głodu nędzarz nic więcej nie dostał od przeznaczeń, a właśnie bogaczowi pewnemu, który sypiał na srebrze i złocie — wyrok zapadł taki:

Ze skarbca królewskiego wypłacić mu sto tysięcy dukatów.

Innemu wypadło:

Niechaj będzie na pal wbity.

I natychmiast, jako los nieubłagany kazał, był wbity na pal, a innemu los powiada:

<sup>96</sup>czyli — czy z partykułą wzmocniającą -li. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>wezyr — dostojnik państwowy w krajach muzułmańskich. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

Zaszyć go w worek i strącić w morze z wysokości wieży.

Oto los inny:

Jeżeliś nędzarz, bogactwem będziesz obsypany; jeżeli bogacz — wszystkie skarby odebrane ci będą.

I tak najbogatszy kupiec w mieście Abdul-Said został w jednej chwili nędzarzem.

Młody rycerz Sulejman — dostał cztery konie z pustyni arabskiej, ubogi flecista Al-farnabbi — zyskał bogatą wieś w okolicach rzeki Eufratu.

Pyszny ze swego rodu i bogactwa Tardliman znalazł takie słowa:

W klatce go posadzić i na rynku wystawić.

Dziewczyna, słodka jak marzenie, gazeli podobna, a śpiewna jako słowik, co dzwoni w gęstwinie róż majowych, taki los wyczytała:

Oddać ją żołnierzom ku zabawie.

Tłum ze zgrozą widział, jako powleczono do obozu tego zapłakanego anioła, gdzie się miały nad nim pastwić ciury.

Igrzysko wielce bawiło kalifa. Widział w nim splot kapryśnych a nieubłaganych rzutów losu — i zdawało mu się, że istotnie życie jest zupełnie tak samo kapryśne i nieubłagane, jak ta gra szalona i bezlitośna. Bo też — co prawda! w ciągu paru godzin, jeżeli los tu i owdzie uśmiechnął się do ludzi życzliwie, ileż przyniósł on nieszczęścia, jakie dopełnił szaleństwa, niesprawiedliwości, jak poprzeczwał stanowiska, wartości, pragnienia, pojęcia...

Taki sam obraz mamy w życiu: tylko tu nie idzie to wszystko tak prędko, przygotowuje się stopniowo, niewidzialnie, moment po momencie, rok po roku — i nie widzimy związku rzeczy krańcowych, jak nie dostrzegamy piasku, sypiącego się ze szczytu góry, aż dopiero ten runie jednorazowo.

Gdybyśmy nasze losy oglądali tylko w ich ostatecznym wyniku — mielibyśmy zawsze niemal wrażenie jakby trzęsienia ziemi. A może — może każdy z tych ludzi — wydobywał los taki właśnie, jakiego nieświadomie pożądał w najtajniejszej głębi swego serca: może ten na pal wbity śnił o tym bezwiednie, jak i ten, którego w worku strącono do wody; może ten karzeł istotnie marzył o tym, że będzie wezyrem, a ta koślawa baba, że wejdzie do haremu kalifa! I oto jak się te nieprzytomne marzenia ziściły w nieprzytomnym losie.

W każdym razie los jest szalenie złośliwy i nie ma w sobie konsekwencji. Cóż by na to wszystko powiedział ów indyjski mędrzec, który tu w Szirrawazie był parę lat temu i pouczał kalifa podług swojej wiary o *karmie*, czyli o związku koniecznym zjawisk życia ludzkiego.

Zaiste, konieczności nie widzę tu żadnej: przypadek kieruje naszym życiem, o ile sam przypadek nie jest koniecznością.

Wszyscy już, którzy kartki mieli w ręku — przedstawili swe losy i było im wyplacono podług wyroku.

Jedna tylko pozostała osoba: sześćdziesiąta i piąta.

Była to rosla Murzynka, o twarzy dziwnie pięknej, tak że nie dorównywała jej żadna z dziewic arabskich, ani egipskich, ani greckich, ani syryjskich. A tak była czarna, że prawie niebieska. Skąpą czerwoną suknię miała na sobie, a w kształtach podobna była do tych bogiń pogańskich, które u nas spod starych ruin dawnych miast odkopują czasem pasterze lub Frankowie.

Sznur złotych blaszek świecił na jej szyi — niby gwiazdy na czarnym niebie. Gdybyś chciał wiedzieć, jak wygląda pożądanie, rozkosz, pokuta, grzech — dość ci było spojrzeć na nią, bo ona była tym wszystkim, a w mieście nikt jej nie znał; dopiero dziś — nie wiadomo jak i kiedy — pokazała się w Szirrawazie — i stała wpatrzona w króla swoim czarnym, bezdennym, tajemniczym okiem, że się zdawała jak tygrysica, która lada chwila w podskokach spadnie na swoją ofiarę.

Almanzor kiedy na nią spojrział, zadrżał od stóp do głów. W jednej chwili przyszło mu na myśl:

Los

— To jest moje przeznaczenie.

Jego, co od tak dawna nie zaglądał do swego haremu, bo już nie było niewiasty, która by umiała obudzić w jego żyłach żądzę upojenia — jego naraz opanowało szalone pragnienie pocałunków, aż mu w oczach stało się ciemno i nogi mu drżeć zaczęły. Błądł i czerwieniał na przemian, kiedy ta czarna kobieta miała się zbliżyć do niego — i, zda się, pragnął zniszczyć jedwabny złoty zwitek, jakby chcąc uprzędzić losy, bo gdyby w kartce stało na przykład, że ma być uduszoną, albo żołnierzom na pastwę albo komu bądź innemu za żonę przeznaczoną — kalif postanowił wyroki losu przełamać.

— Moją jest! — tak mówił do siebie, a ona kobiecym instynktem odgadywała jego marzenia — i w oczach jej jakiś dziwny szyderczy blask zamigotał, aż z czarnych stały się złote niby płomień.

— Niech przystąpi ostatnia z osób wybranych przez losy — mówił król Almanzor głosem drżącym i załamany w sobie.

A ta na swoich drobnych stopach — silna w biodrach i w łydce — szła jak posąg z czarnego żelaza wykuty, powoli a tak dumnie, jakby właśnie ona była monarchinią, a kalif jej niewolnikiem.

Zatrzymała się przed Almanzorem, a mały Hannibal wziął jej zwitek i, otwarszy, spojrzął na pismo.

— Wielki monarcho — rzekł — nie moja ręka pisała te słowa — i podał mu przeznaczenie.

Raz jeszcze zamroczyły się oczy kalifa. Drżał ze zdumienia, bo czuł, że jakaś potęga nieznana zbliża się ku niemu.

— To moje własne pismo — zawołał — choć nie pamiętam, abym cokolwiek był pisał.

— To jest kartka sześćdziesiąta piąta — rzekł Hannibal, a widząc błądność monarchy, zapytał, co mu się stało.

— Allach mnie ukarał, żem go wyzwał i kusił. Iblis pisał te słowa, pisał moją własną ręką. On mi zesłał tę nieznaną kobietę. Sam wywołałem swój los, utajoną swą myśl wypisałem bezwiednie.

Czytaj moje przeznaczenie.

Hannibal czytał:

Która podniesiesz tę kartę, przez dwadzieścia cztery godzin ucztować będziesz ze mną i wszystkim mi udzielisz rozkoszy. Potem zaś podasz mi kielich trucizny, działającej jak piorun. A przysięgam na imię Allacha, że wyrokom przeznaczęm będę posłuszny, jako ich niewolnik.

Almanzor.

— Czyś gotów, kalifie? — zapytała czarna kobieta głosem, co dzwonił jak metal — czyś gotów, o najśłodszy, przyjąć mnie w swoje ramiona? Albowiem kocham cię od dawna i dusza moja poprzez pustynie i lasy wyrwała się ku tobie, spragniona twoich pocałunków. Ale jeżeli ty, Almanzorze, nie kochasz mnie — odejdę i przeznaczęm swoich ani twoich nie wypełnię. Długie lata żyć będziesz albo długie lata umierać będziesz z tęsknoty za mną, pełny rozpaczliwej nudy, iżeś nie poznał Sulamity. Więc mi powiedz to słowo jedyne: czy kochasz?

— Kocham, kocham cię, Sulamito — pragnę cię i pożądam, albowiem tyś jest moim życiem i moją śmiercią. Niech się spełnią przeznaczenia.

I natychmiast przygotowano dla nich ucztę rozkoszną — a we dwadzieścia cztery godzin stało się wszystko, jak było zapisane.

Czarna kobieta zniknęła bez śladu.

## Rozaura

*Salon pani Zofii. Przy stolikach kilka pań. Piją herbatę. W sąsiednim pokoju kilku panów gra w karty.*

*Pani Jadwiga, rzuciwszy okiem na świeżo przyniesioną gazetę wieczorną, zawołała nagle:*

— Oto nowina!

— Co się stało? — pytająco zwróciły się do niej trzy inne damy.

P. JADWIGA: Rozaura wyszła za męża!

P. LAURA: Co mówisz? Trupia głowa znalazła wielbiciela! Ależ to perwersja!

P. EMILIA: I za kogóż wyszła?

P. JADWIGA: Nikt by się nie domyślił! Za Brzeszczota!...

P. LAURA: No, to po prostu koniec świata!

P. EMILIA: Taka poczwara!

P. LAURA: Bez nosa!

P. JADWIGA: I te czarno-czerwone plamy na całej twarzy!

P. EMILIA: I to czoło, jakby skóry pozbawione!

P. LAURA: Usta bez warg!

P. JADWIGA: Głowa prawie łysa!

P. EMILIA: Pokraka! Do trupa raczej podobna! Straszdyło na ptaki....

P. LAURA: Powiedz lepiej — straszdyło na smoki! Meduza by się jej ulękla...

P. ZOFIA *gospodyni domu, która dotąd milczała*: Najdziwniejsze jest dla mnie w tym wszystkim — nie to, że się Brzeszczot ożenił z Rozaurą, ale że się w ogóle ożenił!

P. JADWIGA: Bo i prawda! Taki nadmysłowy człowiek!

P. LAURA: Człowiek widmo!

P. EMILIA: Mag-czarnoksiężnik! Co też o nim nie opowiadają!

P. LAURA: Eh, wszyscy oni tacy sami!

P. JADWIGA: No, dobrze! Ale żeby się ożenić z taką Pastraną!

P. ZOFIA: Myślałam zawsze, że Brzeszczot stoi tak wysoko, że dla niego małżeństwo po prostu jest czymś nienaturalnym... A jednak...

P. JADWIGA: To coś czartowskiego!... Owszem — ja się wcale nie dziwię, że taki sługa diabła, jak Brzeszczot, ożenił się z takim koczokodanem.

P. LAURA: Już jeżeli miał się żenić, to dlaczego nie z p. Izabelą?

P. EMILIA: Albo z Karoliną?

P. JADWIGA: Albo z Wandą? *Widać, że każda z pań miała swoją kandydatkę.*

P. ZOFIA: Ależ ostatecznie, gdzie i kiedy to się stało? Przeczytaj.

P. JADWIGA: O, słuchajcie... *czyta* Dnia 15 maja 19... w kościele Santa Maria del Fiore we Florencji odbyły się zaślubiny p. Wawrzyńca Brzeszczota z p. Rozaurą Białogórką.

P. LAURA *klaszcząc w ręce*: Szczęść Boże młodej i dobranej parze!

P. JADWIGA: A przy tym skąd ta Rozaura? Przecież ona była po prostu Rozalia — i nic więcej...

P. EMILIA: Podobno ją Cyganka tak nazwała przy spotkaniu — i odtąd Rózia przemieniła się na Rozaurę.

P. ZOFIA: A jednak, choć tak poczwarna, Rozalia miała tak piękne czarno-stalowe oczy, że pociągała ku sobie...

P. LAURA: Jakichś obłąkańców...

P. ZOFIA: Owszem, znam chłopców, którzy o niej marzyli...

P. EMILIA: Co za czasy! Tyle ładnych panien osiada na łodzie — a taka...

P. JADWIGA: Żeby przynajmniej była bogata... Ale przecież to nawet sukni porządnej nie miało...

P. LAURA: Pamiętasz, jak to mała Stefcia, kiedy zobaczyła Rozalię po raz pierwszy — wpadła w konwulsje...

P. EMILIA: Może p. Wawrzyniec lubi konwulsje — spazmy — epilepsję — opętania...

P. JADWIGA: Pewnie — pokumany z diabłem... A mnie się zdaje, że i ona z piekła rodem...

P. ZOFIA: No, przecież serce miała zawsze bardzo dobre... Była tylko niezmiernie smutna...

P. EMILIA: Czegóż się miała weselić?

P. ZOFIA: Ale diabelskiego nie było w niej nic...

P. EMILIA: Wyjąwszy buzi...



Jeden z panów tymczasem wstał od zielonego stolika i wszedł do salonu, gdzie były zebrane panie.

— O, pan Kasper! — zawołała p. Jadwiga. — Przecież pan był niedawno we Florencji. Czy pan widział tam Brzeszczota?

— Widywałem się z nim bardzo często...

— Razem z jego ubóstwianą — z jego Pawianą — Orangutaną?

— Nie rozumiem, o kim pani mówi?

— Proszę, niech pan przeczyta wiadomość z Florencji...

P. KASPER *przeczytawszy*: Ach, to bardzo szczęśliwie! Będzie cudowna para!

P. LAURA: Cha, cha, cha! Zawsze z pana żartowniś!

P. KASPER: Nie rozumiem zupełnie...

P. LAURA: Cudowna para! On, rzeczywiście, mężczyzna piękny, co się zowie! Ale ona! Toż to z przeproszeniem mała, wiedźma kosmata, wcielenie brzydoty...

P. KASPER: Widać, że jej panie nie znają...

P. EMILIA: Ale owszem, byliśmy razem na pensji. Znałyśmy ją od dzieciństwa... Była niegłupia, ładnie grała na fortepianie, ale z twarzy była podobna do trupiej głowy...

P. JADWIGA: Toteż nazywaliśmy ją trupią głową.

P. KASPER: Nie pojmuję! Widywałem ją przez parę tygodni — i jeżeli się usunął od jej towarzystwa, to dlatego właśnie, że była *za piękna*! Lękałem się o siebie. Toż to cud nad cudy — toż to niebianka! Zdaje mi się nawet, że nie powinna była zostać niczyją, aby wszyscy mogli ją czcić jak boginię... Lorenzo, tj. Wawrzyniec, bo takeśmy go nazywali we Florencji — jedyny mógł sobie pozwolić na taki krok, bo on jeden z niewielu na ziemi zdobył sobie jakieś moce nadludzkie... Chętnie przyznaję mu wyższość nad sobą — i nad wielu innymi.. Powiedziałbym, że bardzo wiele jest w nim z Boga...

Kobiety zaczęły naraz oddychać przyspieszonym falowaniem piersi, jakby to wspomnienie o Brzeszczocie trafiało każdą w jakąś wrażliwą strunę.

P. LAURA: Ale ona!

P. KASPER: Ona? Oto jej fotografia.

To mówiąc, p. Kasper wyjął z pugilaresu<sup>99</sup> podobiznę osoby, o której mówiono, tak zwany „portret salonowy” — i wręczył ją zebranych paniom. Te — jak krogulce — rzuciły się na fotografię — i po prostu wyrywały ją sobie z rąk do rąk.

Widok tego portretu wywołał okrzyk zachwytu.

— Ach, ach, ach!

Nic innego nie umiały powiedzieć te panie — aż ich krzyk ściągnął do salonu grających w karty panów. Co się stało? — pytali zaciekawieni.

Istotnie z portretu wyglądała na nich twarz tak nieprawdopodobnej piękności, że, jak to mówi się w bajkach: ani słowo nie wypowie, ani pióro nie opisze... Żaden z posągów greckich, żaden z portretów Leonarda ani Tycjana, ani Palmy starszego, ani Mantegni nie sięgał tej wyżyny... Wenus z Milo mogłaby u niej być kucharką... Jeżeli piękność ma granicę — to jej granicą ostateczną, najwyższą, nikomu z ludzi już niedostępną była osoba, której słabe odbicie oglądały te panie, nie bez pewnego uczucia — powiedzmy otwarcie — zazdrości. Jednakże zachwyty przygluszył to uczucie.

— Co za cudo!

— To sama Afrodyta<sup>100</sup>!

— To bogini bogiń!

— To anioł!

— To jakaś istota, co się na chwilę przedostała z nieba na ziemię!

— To nie ona! To nie Rozaura!

— To kto inny!

— Ktoś zupełnie niepodobny!

— A jednak — zauważyła p. Zofia.

P. LAURA: Co, a jednak?

P. ZOFIA: A jednak ona jest podobna...

P. EMILIA: Ależ to bluźnierstwo!

<sup>99</sup>pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>Afrodyta (mit. gr.) — bogini miłości. [przypis edytorski]

P. ZOFIA: Owszem... podobna.

P. JADWIGA: Co też ci do głowy przychodzi?

P. ZOFIA: Spójrzycie tylko: Rozaura miała twarz taką, jakby ją ktoś przypalił. Nos, powiedzmy, był zwęglony i w połowie ucięty; wargi tak wyżarte, że prawie ust nie mogła zamykać; broda jakby przecięta piłą do skrobienia ziemniaków, a te czarno-czerwone policzki — jakby kto z nich skórę wywędził jałowcem itd. — wszystko to pozwalało nam prawowicie nazywać ją trupią głową, bo istotnie była to głowa śmierci... A jeżeli dodamy prawie zupełny brak włosów na czaszce — i ten wyraz dziwnej starości na obliczu, które nigdy nie było młodym — to istotnie nie dziw, że czasami jej widok budził dreszcz trwogi. I gdyby nie jej płomieniste, błękitno-czarne tajemnicze oczy, to przecież jej oczodoły, wygryzione przed urodzeniem przez jakąś niepojętą truciznę — były to oczodoły śmierci, jak ją malują na obrazkach.

*Wszystkie panie razem.* No dobrze, ale tu...

P. ZOFIA: Tu? Mówię to wszystko, wiedziona przecuciem... Wyobraźcie sobie, że ten spalony nos został cudem uzupełniony i doprowadzony do należytej barwy; że podobnie wargi rozwinęły się należycie i kolorem pąsowym zajaśniały; że plamy na policzkach znikły pod wpływem jakiejś niewidzialnej rośliny alabastru i różowości; że czoło wyglądało swe szkaradne owrządzenia i zajaśniało białe i promienne, że jej oczy błyszczą w otoczeniu różowej kanwy powiek; że na ich pobrzeżu zakwitają złociste bogate rzęsy i że ubogie kępki jej włosów rozwinęły się w bujne puszcze itd. Cóż będzie? Oto właśnie wystąpi ta twarz cudowna i archanielska — jaką mamy na tej fotografii...

P. JADWIGA: Przypuszczenie śmiało!... Co pan myśli, panie Kasprze?...

P. KASPER: Nic nie wiem — i nic nie mogę powiedzieć. Ale z tego, co Panie mówią, wynikałoby, że p. Rozaura, gdyż to nikt inny być nie może — wyglądała dawniej inaczej niż dzisiaj. Ja ją poznałem dopiero przed kilku miesiącami; nie wiem, jaką była przedtem. Byłby to ciekawy fakt metamorfozy. Rozaura ukazała się we Florencji nagle, razem z Brzeszczotem — i zjawiała się już w kształcie najdoskonalszej piękności, jaką tylko wyobraźnia ludzka mogłaby wymarzyć. Nie wydaje mi się jednak rzeczą niepodobną<sup>101</sup> sprawdzić tę kwestię, gdyż, o ile mi wiadomo, Wawrzyniec ma za miesiąc najdalej być tu w naszym mieście.

P. ZOFIA: Panie Kasprze, na miłość Boga, niech pan śledzi ich przyjazd — i skoro tylko ją pan zobaczy, niech pan ją do mnie sprowadzi...

---

*W półtora miesiąca później. Ten sam salon — te same panie. Nadto nowa osoba, Rozaura Brzeszczotowa, kobieta niepospolitej piękności: przypomina nieco Beatrix Cenci z obrazu Guido Reniego, w podobny czarny kostium przybrana, ale jeszcze dziesięćkroć piękniejsza. Po krótkich powitaniach, pocałunkach, zapytaniach, Rozaura jedna przemawia. Historia jej tak jest dziwna, że słuchaczki gotowe ją uznać za bajkę, ale, choćby nawet ta powieść była nieprawdziwa, wzdychają zazdrośnie, a pani Laura od czasu do czasu po cichutku szepce sama do siebie: Psiakrew!*

ROZAURA: Moje drogie przyjaciółki, jeżeli wolno kobiecie powiedzieć o samej sobie: jestem piękna! — to przede wszystkim wolno to mnie, bo przez dwadzieścia cztery lata życia byłam tak poczwarna, że nienawidziłam sama siebie. Niezglobiona melancholia trawiła mą duszę. Nikt nigdy nie zrozumie, jaki ból mnie przenikał, gdy pomyślałam o swej ohydzie zewnętrznej. Zapewne, istnieje piękność duchowa i pracowałam nad sobą, aby ją rozwinąć w sobie i aby tą pięknnością wyczarować swoją brzydotę fizyczną. Ale takie przeświecenie ciała anielstwem nigdy nie osiągnie choćby już nie *maksimum*, ale pewnej miary znośnej... I dlaczegóż, pytam, duchowa piękność ma się mieścić w takich ramach okropnych? Nieraz nad tym myślałam, czym zasłużyłam sobie na to przekleństwo, jakie grzechy popełniłam, czy w tym żywocie, czy w innych — i dopiero Lorenzo wyjaśnił mi tę tajemnicę... Lorenzo — nie śmiem po prostu wypowiedzieć o nim tych trywialnych słów: mój mąż... Istotnie — raz jeszcze powiem, jeżeli... Jeżeli wolno kobiecie powiedzieć, że jej mąż jest człowiekiem wyjątkowym, jedynym, zjawiskowym — to chyba ja mogę to powiedzieć o Wawrzyńcu... Bo to już nie człowiek, to istota wyższa niż człowiek

Odrodzenie, Mąż

<sup>101</sup>niepodobny (daw.) — niemożliwy. [przypis edytorski]

— i po prostu trwoga mnie czasem ogarnia i dziw niesłychany, że Lorenzo mną się zajął... On mnie stworzył i kocha mnie jako własne swe dzieło, twór swego geniuszu: on mnie wskrzesił i spoza mgły czterechset lat na nowo z grobu mnie wydobył...

To, co wam opowiem — zapewne wyda się wam rzeczą niewiarogodną, historią z tysiąca i jednej nocy, ale porównawszy moją postać dzisiejszą z tym, coście dawniej widzieli — odgadnięcie łatwo, że musiało się stać ze mną coś, co tę przemianę wywołało... Po prostu musiał stać się cud... Inaczej tego nazwać nie mogę, choć Lorenzo nie uznaje cudu i mówi, że każdy mógłby cuda czynić, gdyby opanował pewne tajemnicze siły czasu i przestrzeni. Oczywiście ledwo jeden na miliony zdolen jest to uczynić i takim właśnie był Lorenzo. Jaką pracą, jaką ascezą, jaką intuicją doszedł on do tej potęgi — trudno mi to opowiedzieć, gdyż to przerasta siłę mego rozumienia, a i to dodam jeszcze z nie-małą żalnością, że Lorenzo dla odrodzenia mojej osoby całą swoją nadpotęgę poświęcił, więcej nawet, poświęcił swoją własną nieśmiertelność — i że dziś już zatracił swoją moc cudotwórczą. Ze mną wykonał on cud tak naruszający prawa, nie tylko przyrodzone, ale i nadprzyrodzone, że wszystką swoją magię wyczerpał i stał się podobny do większości ludzi pod względem swego stosunku do codziennych praw natury: nie mówię tu oczywiście ani o jego sercu, ani o jego umyśle ani też talencie, bo co do tego pozostał, jak był, wyjątkowym i jedynym.

Czary, Ofiara

W każdym razie miał on potęgę tajemniczą w krainie wiony, przenikającej niewidzialnie materię ziemską. My żyjemy w mroku trójwymiarowej cielesności, ale tuż obok nas, w nas, koło nas, leży byt odmienny, który trzeba widzieć, słyszeć, odczuwać. To widzenie, słyszenie, czucie leży na innej płaszczyźnie tej samej ziemi (a pewnie i na innych światach, które w tej chwili nas nie obchodzą), gdzie krążymy. Czas i przestrzeń inaczej tam się wobec nas układa, albo raczej my stosujemy się inaczej do czasu i przestrzeni. Czas u nas to potęga bezwzględna, której nic nie przemoże<sup>102</sup>; czas w tej dziedzinie, której nie mogę dać imienia, to siła, która się nieraz rozciąga w nieskończoność, sprowadza się do jednej chwili, przerzuca się w jutro i wczoraj — stosownie do woli. Wszystko to wam powiadam, abyście zrozumiały moją nadzwyczajną historię, a i to jeszcze dodam (tak mówi Lorenzo), że istota ludzka nigdy się nie zaczyna i nigdy się nie kończy; że każdy z nas był już nieraz na ziemi i nieraz jeszcze będzie w coraz innej postaci.

On to mi właśnie odkrył moją tajemnicę: ja byłam już niegdyś na ziemi — byłam już czterysta lat temu — i odtąd błądziłam po bezmiarach, aby się na nowo urodzić. Gdzie byłam? Byłam we Florencji — i miałam imię Rozaura, to samo imię, którym mnie kiedyś powitała Cyganka... Wiecie, ta Cyganka, co mi wróżyła, że za życia będę w niebie... Tak mi dziwnie brzmiały te wróżby, ale zachowałam sobie imię Rozaura... Nazywałam się Montalboni i należałam do najszlachetniejszych rodzin tego miasta... Żyłam za czasów Koźmy Medyceusza — i słynęłam z tak nadzwyczajnej piękności, że aż stałam się przeraźliwą klątwą dla całego miasta... Jak niegdyś Ifigenię<sup>103</sup> bogowie wybrali na ofiarę ognia i skazali na śmierć, przeto że była piękną, tak i mnie patrycjusze Florencji skazali na śmierć za życia, na życie w grobowcu — za moją zbrodnię piękności...

Ale zbyt się śpieszę. Muszę wam naprzód powiedzieć, jak się to stało, żem poznała Wawrzyńca. Ramy rzeczywistości zawsze są trywialne: jechałam koleją żelazną do Brześcia Litewskiego. W przedziale siedziałam sama jedna, gdyż na mój widok każdy podróżny uciekał i wybierał sobie inny wagon.

Dopiero wraz z ostatnim dzwonkiem wszedł do mego przedziału człowiek nieznamy, człowiek o twarzy tak pociągającej i miłej, o oczach, które miały w sobie taką bezdenną głębię, że na ich widok dusza moja zaczęła śpiewać jakąś cudowną melodię, nigdy dotąd jeszcze nie słyszaną na ziemi. Wiecie, że czasami komponowałam utwory muzyczne, ale tym razem moja muzyka wewnętrzna przerosła wszystko, cokolwiek ludzki duch wypieścił... W Edenie tylko dźwięczy taka muzyka — i byłam w tym momencie chwilowo tak szczęśliwa, jak nigdy. Ale skoro tylko nieznamy wszedł do wagonu, opuściłam na twarz gęsty czarny welon — może trochę za późno. Widział mnie — i siedziałam pełna wstydu, że nie mogę mu twarzy pokazać... Przenikała mnie trwoga... On jakby czuł tę muzykę anielską, która grała we mnie, przyglądał mi się przez chwilę poprzez czarne

<sup>102</sup>przemóc (daw.) — pokonać. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>Ifigenia (mit. gr.) — córka Agamemnona i Klitajmestry, ofiarowana przez ojca, by zapewnić powodzenie wyprawy przeciw Troi. [przypis edytorski]

zasłony — i tak mi powiada:

— Pani jest potwornie brzydka!

— Proszę bardzo — rzekłam oburzona, bo choć o tym wiedziałam, nie lubiłam tego rodzaju uwag.

Zauważyłam jednak, że w głosie podróżnego było takie wzruszenie, jakby miał dla mnie nadzwyczajne współczucie. Po czym dodał:

— Czy pani zgodziłaby się podnieść welon?

Właściwie nie chciałam tego zrobić, ale w jego żądaniu był jakiś hipnotyzm i nie mogłam mu odmówić; posłusznie welon podniosłam i, pełna żalości w sobie, pozwoliłam mu patrzeć na swoją potworność. On długo — długo przyglądał mi się w milczeniu, a we mnie — rzekłbyś — topniały jakieś odwieczne lody — coś tak kołysało się we mnie, coś tak płakało, śpiewało... on mi rzekł:

— Ale pani mogłaby być bardzo piękna...

Spojrzałam na niego zdziwiona. Serce mi biło jak młotem, oczy zabłyśły ogniem. Chciałam się uśmiechnąć, ale się lękałam, że to będzie uśmiech poczwary.

— Oczy ma pani bardzo piękne... Ja widziałem niegdyś te oczy...

Zdumienie moje rosło. Nie znałam go zupełnie. Pierwszy raz oglądałam jego osobę.

— Tak — mówił podróżny — to było bardzo dawno... Czteryście lat temu.

Zrobiło mi się zimno z trwogi. Jakiś obląkany — jeszcze mnie zabije! A może to i lepiej!

— Pani ma na imię Rozaaura!...

— Właściwie nie. Ale tak mnie raz nazwała jedna Cyganka...

— Cyganka się nie omyliła. Pani jest Rozaaura. W nazwisku pani jest Góra — jest Białość...

— Tak. Nazywam się Białogórska.

— Montalboni. Tak, to była pani. Najpiękniejsza kobieta na ziemi... Pani mnie nie pamięta?

— Ach, nie pamiętam... nie znam pana...

— A przecież ja tak panią kochałem... Obląkania dostałem przez panią... A potem wtrącono cię do więzienia.

— Mnie? Ależ ja nigdy nie byłem w więzieniu.

— Ferdynand Medyceusz skazał cię na dożywotnie więzienie, na moglię za życia... Nałożono ci trupią maskę. Tak — i ta właśnie maska trupia dziś, przy twym nowym narodzeniu — wystąpiła na zewnątrz — i zasłania prawdziwą twoją twarz tak, że nie widać twej utajonej piękności... Maskę ją wyżarła...

— Co za osobliwe żarty... Wyznaję, że się lękam pana... Takie okropne rzeczy pan opowiada...

— To nie są żarty... Brzmi to może dziwnie, ale jest prawdą z innej płaszczyzny... Jeżeli się pani zgodzi, cofniemy się w czasie do szesnastego stulecia; staniemy we Florencji i tam na nowo rozpoczniemy rewizję procesu Rozaury Montalboni. — Musimy pani przywrócić jej dawną piękność...

Byłam ciągle pełna drżenia, a jednak jakaś niepojęta nadzieja budziła się we mnie.

— Takie dziwne i niewiarogodne mówi pan rzeczy, że chyba tylko pragnienie wiary w cud, utajone we mnie, wiarę mi nakazuje. Nie rozumiem, jak by się to stać mogło, co pan mówi, a jednak choć to pozornie rzecz nikła — brzydota cielesna, przecież wyznam, trawi mnie pragnienie piękności — i gdyby ktokolwiek cud ten sprawił, to bym...

— W tamtym naszym dawnym żywocie kochałem panią aż do oblędu, aż do bluźnierstwa. Bóg cię ukarał, żeś przyszła na świat w postaci okropnej. Zdjęta będzie z ciebie ta kłtawa, jeżeli ukochasz tego, którego niegdyś wtrąciłaś w nieszczęście...

— Ukocham, kocham go już, zda się!

— Ukochasz malarza Wawrzyńca Frescotti, który całą kaplicę wymalował nieprzytomnymi postaciami podobnymi tobie, tj. Rozaurze Montalboni. Jego Madonny, święte Magdaleny, święte Cecylie, chóry aniołów — wszystkie miały twarz Rozaury, bo on ciebie jedną widział na ziemi.

Byłam wzruszona tak jak nigdy. Drżałam na całym ciele i tak mówiłam do nieznanego:

— Panie, ktokolwiek jesteś, dzięki ci składam, bo pierwszy jesteś, który do mnie po ludzku przemawiasz, który mi takie cudowne opowiadasz rzeczy. Chociaż trwoga jest we mnie — chociaż nie wszystkie twoje słowa rozumiem, chociaż może zuchwałstwem jest z mojej strony marzyć o jakimkolwiek uczuciu: mam do pana bezgraniczną ufność; czyń, co uważasz za właściwe, a ja wszędzie pójdę za tobą, jako twoja poddana — a jeżeli cię kiedy w dawnym żywocie obraziła, to przebac mi, bo z całej duszy tego żałuję...

Było mi bardzo gorąco, bo wybrałam się w futrze. Jak wiecie, marzec w tym roku był u nas bardzo śnieżny i mroźny; tymczasem naraz — sądziłam, że to skutkiem wzruszenia — tak mi się zrobiło gorąco, że musiałam zdjąć futro; okno otworzyłam w wagonie: świeżym zefirem powiało od runiejących pól i świeżą zielenią pokrytych lasów; dziwne kwiaty ujrzałam na drzewach przydrożnych i na dziwnej budowy domkach: migdały i glicynie... Zapach słodki unosił się w powietrzu, a w pobliżu widać było wysokie ściany z kamienia: góry czerniejące i siniejące na bliskim widnokręgu. Zdumiona spoglądałam na to wszystko i na szafirowe, czyste, bezchmurne niebo...

— Co to jest? Przecie to nie Litwa!

— Nie, my jesteśmy we Włoszech!...

— Jak to? We Włoszech?

— Tak. Zbliżamy się do Florencji.

Istotnie: musiałam się pomylić — i siadłam do innego pociągu. Wkrótce pociąg się zatrzymał — i słyszałam głosy konduktorów:

— Firenze<sup>104</sup>! Firenze!

Wyszłam z Wawrzyńcem — i już od tej chwili poddałam się jego woli. Zarzuciłam na twarz czarną zasłonę — i tylko przez krótki czas podziwiałam cuda Florencji, bośmy się śpieszyli, to jest on się śpieszył na przedmieście Certosa pod Florencją — a ja oczywiście za nim szłam bez woli, posłuszna jego myślom, oczekując rzeczy nieprawdopodobnych.

Był tam na przedmieściu mały, śliczny domek w ogrodzie, pełnym świeżych wiosennych kwiatów i zapachów.

Tam zaprowadził mnie Lorenzo (bo tak odtąd nazywałam swego wybawcę) — i niedługo już oglądałam ten nowy kraj, w którym się niespodzianie znalazłam — i wkrótce głęboko usnęłam czy też przesłam w jakiś stan osobliwy, który zewnątrz mógł być do snu podobny, ale który może w istocie snem nie był.

Nie tyle wzruszenia, może aż nazbyt mocne, spowodowały ten sen, ile raczej osobliwe czarnoczerwone wino, które Lorenzo wydobył ze swej torby podróźnej — i dał mi go wypić szklankę. Byłże to sen? Byłże to śmierć? Czy też stan wyższy od śmierci? A może nie był to ani sen ani śmierć — ale szczególny stan istoty ludzkiej, która zerwała ze siebie więzy czasu i przestrzeni — i w najwyższej swobodzie krąży w nich, łącząc wczoraj i jutro, rozdzierając tajemnice praw natury, przetwarzając to, czego już nawet sam Bóg nigdy nie czyni, przetwarzając niecofnioną przeszłość. Lorenzo powiada, że cała przeszłość ziemi żyje w przestworzach, jakby obraz realny; że kto by umiał stanąć w odpowiednim punkcie nieskończoności i kto by miał należycie zbrojne oko — ten by widział naocznie rozwijającą się wstecz bez końca przeszłość świata, która w niej trwa wiekiście.

Lorenzo zdobył sobie tę potęgę, że umiał wznieść się w tę nieskończoność i umiał nie tylko *zobaczyć* tę minioną przeszłość, ale *zejść* pomiędzy tych ludzi i te czasy, o których opanowaniu myślał. O, nie swym fizycznym ciałem mógł to uczynić, ale wioną nieśmiertelną, którą może tym wysiłkiem na zatracenie skazywał.

Tam uniósł mnie ze sobą Lorenzo, wydobywszy ze mnie wszystką moją nadcielesność, aby drogą tej jazdy w nieskończoność stanąć we Florencji XVI wieku. Com widziała w tym stanie — rzecz zda się niepojęta, a przecież tak realna, że mi się ta moja dawna historia — historia Rozaury Montalboni przedziwnie splata z moją historią dzisiejszą — i sama nie wiem, gdzie się kończy wiek XVI, a gdzie zaczyna dzień dzisiejszy. Przecie to było tak niedawno, trzy-cztery miesiące temu...

Znalazłam się w okresie Medyceuszów florenckich. Panował właśnie Koźma I. Było wtedy we Florencji niemało pięknych kobiet, które uwiecznili malarze i opiewali poeci. Ale wolno mi o osobie nieżywej, o osobie sprzed lat czterechset powiedzieć: ja — Rozaura Montalboni, byłam najpiękniejsza ze wszystkich... Niestety, nad moją pięknnością ciążyła

<sup>104</sup>Firenze (wł.) — Florencja. [przypis edytorski]

jakaś klątwa. Moja piękność stała się źródłem nieszczęść całego kraju.

Gdziekolwiek się pokazałam — obłąkany bóg miłości prowadził za mną szeregi rozkochanych, którzy opuszczali żony i dzieci, okradali rodziców i skarb państwa, popełniali zabójstwa z zazdrości i dla zdobycia skarbów, które mi u nóg chcieli złożyć; tysiące pojedynków wśród młodzieży, tysiące samobójstw wywoływały moje uśmiechy, moje spojrzenia, moje jedno słowo: tak albo nie!

Toteż jeżeli jedna połowa ludności florenckiej ubóstwiała mnie bez granic, druga połowa: rodzice, co rozpaczali nad grobem synów; żony i kochanki, opuszczone przez mężów i miłośników; dzieci, pozbawione ojców — wszystko to przeklinało mnie straszliwie. — Na sąd Rozaurę! Na sąd!

Trzykrotnie byłam oskarżona przed sądem, że spowodowałam zabójstwo — i raz nawet wyrok na mnie wydano, abym była stawiona pod pręgierzem, napiętnowana gorącym żelazem za zbrodnię piękności i na zawsze wygnana z Florencji.

Ale kat nie miał odwagi wypalić znaku hańby na moim ramieniu; przeciwnie, gorąco ucałował to miejsce, które miało świadczyć o moim wyświeceniu. Głowę mu ścięto — ale nikt już się po nim nie chciał podjąć tego dzieła...

Koźma Medyceusz wezwał mnie do siebie — i wszystkie zbrodnie mi przebaczył: był to starzec ku mogile już idący, cały pobożnym sprawom oddany i pobłażliwy na ludzkie słabości. Wybudował on nową kaplicę pod Signorią — i zamierzał ją przyozdobić malowidłami, gdy nagle przeniósł się na łono wieczności.

Nastąpił po nim syn jego, młody Ferdynand, który odznaczał się niezmierną surowością. On to postanowił wykończyć kaplicę, rozpoczętą przez ojca i — sprowadził młodego malarza, Lorenzo Frescota, przyjaciela swego, aby freskami pokrył wnętrze świątyni.

Stało się, że wkrótce po przybyciu do Florencji młody Frescota, młodzieniec zresztą dziwnie piękny i pełny niepodległości ducha, zobaczył na ulicy mnie, Rozaurę Montalboni — i nastąpiło to, co musiało nastąpić. Lorenzo od tej chwili nikogo prócz Rozaury nie widział na ziemi — i twarz jej zamieszkała w jego źrenicy na zawsze — iż się nigdy nie mógł z nią rozstać. — Co do mnie — to, wyznaję, że ze wszystkich ludzi, którzy uśmiechali się do mnie i do których ja się uśmiechałam — ten jeden mnie najbardziej zaciekawiał, gdyż było w nim coś tajemniczego, coś, co budziło we mnie trwogę i wzruszenie. Ale byłam wtedy nazbyt rozkochana sama w sobie — i bawiło mnie tylko, że jeszcze jeden szaleje za mną...

Lorenzo tymczasem malował wnętrze kościoła. Przez parę dni z rzędu nie spotykałam się z nim na ulicy, pod kolumnadą Ufficiów. Rzeczywiście tak się zapamiętał, że przez trzy dni, trzy noce, zamknąwszy kaplicę na wszystkie klucze, nie jadł i nie pił — i nie opuszczał swej pracowni; na chwilę nawet nie wyszedł, by odetchnąć świeżym powietrzem.

Niespokojny książę Ferdynand przemocą kazał otworzyć wrota świątyni: z obłądnym okiem, nieprzytomny zupełnie i nieświadomy rzeczywistości, krążył dokoła Lorenzo i przyglądał się swemu dziełu, które wykończył był w całości.

Było to dzieło niewątpliwie piękne, ale pobożnym nazwać go niepodobna.

Były tam Madonny, św. Magdaleny, św. Agnieszki, św. Barbary; były tam gromady aniołów — a wszystko miało jedną i tę samą twarz Rozaury Montalboni — moją twarz, taką samą, jaką tu widzicie teraz przed sobą.

Lorenzo, oprócz swych malowideł, nie widział nic i nikogo. Zmysły mu się pomieszały.

Oczywiście, wszystkie te dzieła traktowane były jako bluźnierstwo i obraza boska.

Książę Ferdynand kazał zniszczyć freski, kościół na nowo poświęcić i zamknąć, aby służba boża odbywać się w nim nie mogła.

Pomiędzy ludem pobożnym wieść ta wywołała straszne wzburzenie.

— Na śmierć Rozaurę! Zglądzić ją na wieki!

Jakoż wytoczono mi proces o piękność i wszystkie klęski wynikające z tej zbrodni.

Ale teraz nikt mi już nie przebaczył, nikt się nie ulitował nade mną.

Sędziowie wydali na mnie wyrok taki: Masz po wszystkie czasy, żelazną trupa maską osłoniętą — przebywać w ciemnicy, aby nikt już nigdy oblicza twego nie widział — i z jego winy nie popełnił zbrodni ani też nie wpadł w szaleństwo...

I nałożono mi na twarz okropną maskę żelazną, a ja czułam, jak mi się w duszę wpija każda śruba i każdy gwóźdź po kolei; zdawało mi się, że trumną jestem sama sobie. Do

Maska

końca moich dni miałam żyć w tej masce — strącona w głuche podziemia... Tu muszę wam powiedzieć, że jest różnica pomiędzy historią rzeczywistą Rozaury florenckiej, tak jak ją opisują kronikarze, a moją historią obecną, którą kierował poniekąd świadomie mój dzisiejszy mąż Wawrzyniec Brzeszczot, odrodzony Lorenzo Frescoti, jak ja jestem odrodzoną Rozaurą Montalboni.

Rozaura Montalboni siedziała w tej ciemnicy lat 28; wyszła dopiero spod maski, kiedy po śmierci Ferdynanda wstąpił na tron Koźma II Medyceusz, który z powodu swej koronacji wypuścił z więzienia skazańców. Żelazo skórę mi przepaliło i wyżarło: trupia maska ułożyła mi oblicze w postać trupiej głowy — tak, że na mój widok sędziowie pomdleli, a małe dzieci uciekały przede mną, jak wobec zmary.

Z tą straszliwą maską trupią urodziłam się powtórnie za naszych czasów; kiedy mnie ujrzał Lorenzo, postanowił natychmiast uczynić — jak mówił — korektywę przeszłości.

Ów obłąkany Lorenzo stał się dzisiejszym moim Wawrzyncem, którego wszystkie męczarnie dawne, ześrodkowane i przeduchowione — przemieniły się w nadzwyczajną potęgę, w moc panowania nad czasem i przestrzenią.

On to — znalazł się tajemniczo w jedność z obłąkanym, a dziś jasnowidzącym malarzem — i zjawił się u mnie — w ciemnicy, jako mój wybawca.

Kiedy wyrok był już wydany, kiedy mnie do więzienia wtrącono, kiedy rozmyślałam, że już nigdy z tego mroku nie wyjdę, oto usłyszałam kroki ciche, drzwi się otworzyły i stanął przede mną mój malarz obłąkany, ten sam, ale inny; był to bowiem Lorenzo, który się stał odrodzonym Wawrzyncem — jak ja miałam półsensną świadomość, że już jestem czym innym, niżli byłam jeszcze dzisiaj rano.

W oczach Lorenza była niezwykła energia, półboskie wyłonienie sił utajonych człowieka, władnych nad wszelkim przejawem materii.

Zerwał moją maskę — ujął mnie w ramiona — i unióś — przeniknąwszy bezpośrednio ściany więzienia... Czulałam, że płynę w powietrzu, czulałam, że tracę wagę, objętość, cielesność; toczyłam się po jakiejś linii spiralnej w niewiadomych regionach bytu, w promienistej ciemności; znikalam powoli sama sobie, wsiąkałam w majaki czasu, aby się z nich wydobyć powtórnie, aż opadłam zemdlna i bezsilna.

Obudziłam się. Przy moim łóżku stał Wawrzyniec i przyglądał mi się uważnie. Trzymał rękę na moim pulsie. Byłam jeszcze niezupełnie przytomna — i nie wiedziałam, czy to dalszy ciąg tej dziwnej historii (ach, jakże się lękałam pościgu sług sądowych księcia Ferdynanda!) — czy też nowa sprawa; czy jeszcze jestem w XVI wieku, czy też w naszych czasach.

Zapytałam o to Wawrzyńca. Uspokoił mnie: wypłynęliśmy po linii przełamania konieczności czasu — z dawnej Florencji do nowej — i już nam zbiry Medyceuszów żadnej krzywdy uczynić nie mogą.

Teraz dopiero — pół jeszcze dawna Rozaura, pół nowa — przyglądać się zaczęłam Wawrzyńcowi i teraz dopiero zrozumiałam, dlaczego wobec jego postaci cała moja istota grać zaczęła jakąś melodię, pełną drgań wieczności... Bo to był ten, którego powinnam była kochać wówczas, a który teraz stanął wobec mnie, jako Orfeusz, jako nieśmiertelny, który dla mnie poświęcił swoją nieśmiertelność... Bo, istotnie, owa przemoc, jakiej użył był Lorenzo, aby przełamać prawa codzienne, aby zgwałcić kolejność czasu i opanować przeszłość, aby ją w dziś przetopić: wszystko to, mówię, nie odbyło się dla niego bezkarnie.

Najdoskonalszy człowiek nie stanie się wszechmocnym. Wszystka potęga magiczna opuściła go na zawsze; już nie jest tym mocarzem i władcą krain nadprzyrodzonych, jakim był dotychczas; utracił na zawsze moc odrodzeń, utracił nieśmiertelność — podobnie jak i ja, ale o mnie tu nie idzie; docześnie, co prawda, ale tak szczerze wynagrodzona zostałam za utratę nieśmiertelności, że, wyznam — za nic bym jej nie oddała. Powiadacie, że piękność — to rzecz błaha, a ja mówię, że to skarb, to boskość: bom długo wycierpiała z powodu brzydoty. Prawda, że kiedyś była ową panią florencką — cierpiałam z powodu piękności; ale bo też coś pogańskiego było w tej mojej piękności, coś szatańskiego... W ostatnim momencie, kiedyś siedziałam w więzieniu, zanim Brzeszczot mnie wyzwolił — rozmyślałam o tym i błagałam Boga, aby moja piękność, zamiast klątwą, mogła się stać błogosławieństwem. Dziś już nie wywołuję klęsk i śmierci dokoła; przeciwnie — szczęście roztaczam, a do kogo się uśmiechnę — ten do sił ducha powraca, ten zmartwychwstaje...

Piękność moja, choć na wieczną zagładę skazana po śmierci, choć się już nigdy-nigdy nie odrodzi powtórnie — teraz świeci jak słońce i wszystkich do życia podnieca...

Ale on! On zatracił swoje nadczłowieczeństwo — bo takiemu, jak on, ani na chwilę jedną nie wolno ulec namiętności ludzkiej. A przecież on jej uległ: pokochał mnie jak zwykły śmiertelnik — i wszystko dla mnie poświęcił. Stał się człowiekiem, jak my wszyscy — ten, który był półbogiem. Już nie jest magiem, już nie mógłby nawet drugi raz powtórzyć takiej jazdy w przeszłość: i gdybym ja przypadkiem powróciła do dawnej formy (np. przez niewierność) — to już on nie byłby w stanie mnie odrodzić.

Ale ja nie byłabym już w stanie być mu niewierną, a z drogiej strony wyznam szczerze, wolę go tak jak jest dziś, bardziej człowiek, niż bóg... Stał zbyt wysoko nade mną — i nigdy nawet nie mogłam mieć dla niego uczucia litości...

Ale wpływ jego na mnie jest wielki: przez niego stałam się niezwykłą artystką: for-  
tepiam jest mi niewolnikiem, posłusznym najmniejszemu drgnieniu moich uczuć.

Lorenzo taką mi nieskończoną melodię w sercu rozkołysał, że chwilami czuję się boginią, w której cały świat tonów jest ześrodkowany...

On zaś stał się tym, czym był Lorenzo Frescotti, malarzem, który maluje Rozaure Montalboni — i w dalszym ciągu prowadzi tę pracę, którą rozpoczął czterysta lat temu... Tylko bluźnierstwo zniknęło... Cały jego geniusz magiczny przeszedł w sztukę malarską.

Sztuka

## Lenora

Od dwóch dni Konrad stale powracał do Akademii Sztuk Pięknych w Wenecji — i ciągle się zatrzymywał czas dłuższy przed jednym i tym samym obrazem. Płótno czarowało go w sposób magnetyczny — i chociaż go nęciły dzieła innych mistrzów, może nawet większych, niż autor obrazu, co go przykuwało, to jednak Konrad powracał wciąż do swego Lorenza Veneziana, malarza z XIV w., prymitywa bardzo naiwnego, który jednakże zapanował nad duszą czymś... czymś tajemniczym, czego nie mógł sobie Konrad wytłumaczyć... Na widok tego obrazu kołysało go jakieś wzruszenie, rozkoszne i rzewne, bardzo bliskie i bardzo własne...

Dotychczas jednak nie rozwiązał zagadki: dlaczego na widok tego obrazu roją mu się zaraz w duszy jakieś sny z dziecinnych lat, dlaczego mu się ukazuje zaraz jakaś twarz niewyraźna, ale nie obca, woniejąca kwiatem świętości, dlaczego serce mu bije tak mocno, jakby wobec jakiejś rzeczy przeczuwanej a niespodziewanej?...

Płótno — właściwie tryptyk — wyobrażał z prawej i lewej strony kilku świętych, jak św. Jana Chrzciciela, św. Mikołaja i innych.

Konrada jednak interesowała przede wszystkim część środkowa tryptyku, w której promieniała Madonna. Ależ niejedna Madonna była w tej sali: większość obrazów właśnie w barwach czerwonych, złotych i niebieskich — rozwijała kult Bogarodzicy.

Ale nad duszą Konrada zapanowała Madonna Lorenza Veneziana. Obraz przedstawiał Pozdrowienie anielskie. Madonna w koronie i przejrysto-powietrznej bladozłotej aureoli, o nadziemskim obliczu, rysów delikatnych, pociągłych, mistycznych, jakich zapomnieli mistrze odrodzenia — Madonna, na wskroś dziewicza, niemal dziewczęca — siedzi na tronie, przyodziana szatą błękitną, złotymi gwiazdy haftowaną, jako prawdziwa *Regina coeli*<sup>105</sup>: przed nią stoi anioł złotoskrzydły, z lekka nachylony: płaszcz ma błękitny z zieloną podszewką; lewą ręką płaszcz podtrzymuje, a prawą podniósł do góry, złożony palce i tylko dwa wystawiwszy...

Najbardziej tajemniczy szczegół tego malowidła były to ręce Madonny; dłonie na krzyż złożone, o palcach blado-różowych, podłużnych, cieniejących ku dołowi, niemal przezroczystych, prześwieconych słońcem, prawie niematerialnych, zakończonych łagodnym szeregami różowo-promiennych, księżycowatych paznokci.

Przyglądał się przede wszystkim tym mistycznym, niby z eteru splecionym, bezcielesnym palcom — i właśnie, kiedy jego pamięć najenergiczniej pracowała — uczył naraz<sup>106</sup> jakiś obcy fluid w swej istocie; uczył, że nie myśli już sam, ale że ktoś mu pomaga w myśleniu. Lekki, słodki dreszcz wstrząsnął nim całym, kiedy nareszcie zagadkę rozwiązał

<sup>105</sup>*Regina coeli* (łac.) — królowa niebios. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]



i sformułował:

— Ach Boże! Toż takie same ręce ma Ostrobramska Madonna.

I w tej samej chwili, kiedy to pomyślał — rytmicznie niemal w takt jego własnych słów brzmiały, usłyszał poza sobą głos, dźwięczny i melodyjny, a który był niby echem jego myśli.

— Ach Boże! Toż takie same ręce ma nasza Matka Boska Ostrobramska.

Osoba, która mówiła te słowa po polsku, śpiewając przy tym z białoruska, dodała jeszcze:

— Nieprawdaż, mammo?

— *C'est bien vrai, Lénore*<sup>107</sup> — odrzekła towarzysząca jej starsza dama, przyglądając się obrazowi przez szkiełka na złotym łańcuszku.

Konrad się odwrócił. Przed obrazem stały dwie panie, obie ubrane czarno, w żałobie, starsza dama z młodą panną, osobą niezwyklej urody, a która w pierwszej chwili wydała się Konradowi podobną do anioła z tegoż obrazu. Głos jej miał w sobie, bądź jak bądź — jakąś melodię anielską.

Oczy miała szaro-niebieskie, jak jeziora witebskie, powłóczyste, zamyślonie w sobie i zapatrzone w głębie.

Panna nie była starsza nad 22–23 lata: wybujała i wiotka, ale zbudowana mocno i sprężyste; biodra miała należycie uwydatnione, a piersi takie, jakie miałyby Wenus Anadiomene, nieco starsza niż ją rzeźbią zazwyczaj. Robiła wrażenie istoty bogatej zarówno cielesnie, jak i duchowo. Twarz była biała, spokojna, twarz marzycielki tkliwej i skłonnej do rozmyślań.

Konrad bez wątpienia przeczuł obecność jej osoby, zanim jeszcze usłyszał jej głos — i nieświadomie a mimo woli wszedł z nią w komunikację duchową — i głównie go zastanowił fakt (czyżby przypadek bez znaczenia?), że kiedy sam sobie szeptał formułę ostateczną co do obrazu Veneziana, ona literalnie prawie te same słowa wypowiedziała głośno.

Spojrzał na dwie damy i do młodszej rzekł po polsku:

— Toż samo powiedziałem sam sobie w tej chwili. Zda mi się, jakby pani te moją myśl przeczuła, jakby pani mi ją podsunęła, panno Lenoro.

Ona zaś, jakby dla niej te słowa nie były czymś niespodziewanym, odparła natychmiast:

— Tak samo mnie się wydawało... Czulaam, że ktoś koło mnie myśli tymi samymi słowami...

— A więc pani zawdzięczam, że odgadł tę tajemnicę, która mnie dręczy od paru dni, gdyż dopiero w chwili, gdy pani obecność mnie owionęła, wyjaśniłem sobie tajemnicę. Mam wrażenie, jakby istniała nieokreślona łączność pomiędzy panią a tym obrazem, pomiędzy mną a panią... Czuję, że mogłaby pani być osią żywota dla jakiejś duszy osamotnionej i zabłąkanej na ziemi. Dusza twoja, panno Lenoro (przepraszam panią za poufałość, ale tylko imię pani znam) — w jednej chwili jakby przeniknęła w moją duszę...

— *Mais c'est drôle ce que vous dites là, monsieur*<sup>108</sup>! — zawołała mama, o której obecności Konrad zdaje się całkiem zapomniał. — Rodaka miło spotkać na obczyźnie, ale pan tak obcesowo już się oświadcza, a my nawet nie wiemy, z kim mamy zaszczyt.

Konrad przepraszał za swoją śmiałość i za to, że naruszył niektóre formy światowe; ale wiedział, że Lenora nie gniewa się na niego; że pomiędzy nimi w jednej chwili nastąpiło porozumienie. Przedstawił się mamie: był technikiem, miał posadę w cukrowni na Ukrainie, wyjechał za urlopem, aby trochę odpocząć: za parę tygodni powraca do domu.

Pani N. była obywatelką z Mińszczyzny i obecnie zjechała do Wenecji na powrotnej drodze z Rzymu, dokąd odbyła pielgrzymkę, chcąc w świętym mieście pomodlić się za niedawno zmarłego męża, gdyż zapewniano ją, że to jest i w dobrym tonie i bardzo pomocne na smutek wdowieński. Lenora jej towarzyszyła.

<sup>107</sup>*C'est bien vrai, Lénore* (fr.) — to prawda, Lenoro. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*Mais c'est drôle ce que vous dites là, monsieur* (fr.) — ale to śmieszne, co pan tu mówi, proszę pana. [przypis edytorski]

— *C'est ma fille bien-aimée*<sup>109</sup> (mama lubiła niepotrzebnie parlować po francusku), *mais elle est si extraordinaire! On dirait une sonmambule*<sup>110</sup>!

— O już też mama robi mi opinię!... Pan może myśleć, że jestem obłąkana...

— Niech Bóg broni — zastrzegł się Konrad — ale od pierwszej chwili, zanim jeszcze pani się odezwała, zanim się odwróciłem, zanim panią zobaczyłem — odczułem koło siebie atmosferę, która zapewne wynikała z pani fluidu, a która świadczy, że w pani tkwi utajona jakaś istota nadmaterialna, źródło jakiejś nieznannej potęgi...

— Proszę bardzo, żeby pan mojej córce takich rzeczy nie mówił. Ona i tak jest nerwowa, a jeżeli pan się zbliża „w zamiarach”, to niech się pan zachowuje po ludzku. Przy tym wszystko to, co pan mówi, jest bezbożne — i nie wiem, czy pan nie jest jaki heretyk albo farmazon<sup>111</sup>...

Pierwszy raz w życiu przyszło Konradowi na myśl, że można z panną rozmawiać „w zamiarach”. Ponieważ panna bardzo mu się podobała, nie widział nawet w tym wyrażeniu nic nieodpowiedniego.

Wędrowcy nasi, pożegnawszy obraz Veneziana — w niedługim czasie przejrzeni inne sale Akademii — i wyszli na plac, gdzie przede wszystkim u straganiarza kupili w dwóch egzemplarzach barwną kopię tegoż tryptyku; po czym wzięli gondolę i popłynęli w stronę arsenału.

Mama, uzbroiwszy oczy w szkiełka na złotym łańcuszku, przyglądała się pałacom i kościołom na prawym i lewym brzegu kanału; Konrad oddał się kontemplacji panny Lenory, która go od pierwszej chwili bardzo zajęła.

To szczególne spotkanie jednej myśli, poprzedzone dreszczem specyficznym — stało się dla niego źródłem czarownych marzeń i wrażeń. I Lenora w jednej chwili uległa podobnym uczuciom. Zdawało się jej, nie wiadomo dlaczego, że od dawna doskonale zna Konrada — i czuła się z nim jakby stara znajoma, pełna wiary i zaufania. Konrad, co musimy objaśnić dla czytelnika, zajmował się od długich lat sztuką hipnotyzmu; zwłaszcza sugestia wzrokowa, poddawanie obrazów dowolnej treści i charakteru — była jego ulubioną dziedziną doświadczeń: doszedł pod tym względem do wprawy niepospolitej — i prawie każda jednostka, czy to bardzo wrażliwa i podatna na wpływy magnetyzera, czy też najzupełniej oporna — poddawała się prędzej czy później jego wpływowi, jako posłuszne medium.

Znany był w swoim czasie fakt, że kiedy przybył na Ukrainę (tam właśnie, gdzie stała cukrownia Konrada) książę Z., słynny ze swoich polowań na lwy w Afryce środkowej, i przypadkowo zapoznał się z Konradem, o którego „czarnoksięstwo” niemało był słyszał: ironicznie go poprosił, aby na jego rozkaz zjawiono się w parku stado lwów. Park w dobrach księcia Z. był olbrzymich rozmiarów: podobno koło dziesięciu włók<sup>112</sup> obejmował, a książę hodował w nim jelenie i losie.

Konrad swoim głębokim, czarnym, przenikającym okiem — chwilę popatrzył w oczy księcia — i ten niezadługo potem ujrzał wychodzącego z puszczy groźnego lwa: za nim wyszły dwa inne — i jeszcze dwa — i coraz więcej — jeden za drugim albo gromadkami w szeregu; szły całe stada przerażających bestii, wprost na księcia, aż się zbliżyły do niego o ćwierć kilometra, błyskając ognistym ślepiem, bijąc w zady ogonami i otwierając szeroko swe czerwone, białymi kłami zbrojne paszcze. Książę — mówiąc prawdę — pierwszy raz w życiu zbladł, nie tyle z trwogi, ile ze zdumienia... Naraz widzenie przysło: lwy zniknęły. Tak potężna była siła sugestyjna Konrada, ale umiał on podobne zjawy na odległość nawet wywoływać. I kiedy książę nocą udał się na spoczynek — nagle ujrzał w swej sypialni — stojące przy łóżku dwa lwy, groźnie zapatrzone w niego i gotowe do skoku. I to widzenie nagle znikło; była to kara za drwiny.

Tu jednak — wobec Lenory, Konrad po raz pierwszy znalazł się w takim położeniu, że nie wiedział dokładnie, czy to on oddziaływa na Lenorę, czy też ona na niego: czy to ona jest medium, czy też on ulega jej potędze magnetycznej. Bo poza wszystkim innym przylączył się tu inny sentyment, który dotychczas w życiu Konrada grał rolę drugorzędną

<sup>109</sup> *C'est ma fille bien-aimée* (fr.) — to moja ukochana córka. [przypis edytorski]

<sup>110</sup> *mais elle est si extraordinaire! On dirait une sonmambule* (fr.) — ale ona jest nadzwyczajna. Można powiedzieć, że lunatyczka. [przypis edytorski]

<sup>111</sup> *farmazon* — zniekształc. fr. *franc-mason*, tj. wolnomularz. [przypis edytorski]

<sup>112</sup> *włóka* — daw. miara powierzchni gruntu. [przypis edytorski]

— miłość.

To było jasne: on kochał Lenorę, Lenora jego kochała... I ta miłość zakwitła w nich obojgu, zanim jeszcze się zobaczyli, zanim przemówili do siebie. Fluid tego uczucia krążył już po powietrzu — tam w galerii sztuki — przed obrazem Lorenza Veneziana — zanim jeszcze oboje wiedzieli o swoim istnieniu: dreszcz, jaki w pewnej chwili przeszedł oboje, był momentem zwiastowania i krystalizacji tej miłości.

I poczuli od razu i jednocześnie, że w tej miłości jest coś, czego nie zwycięży ani czas, ani przestrzeń; że będą zawsze i wszędzie ze sobą, choćby byli na dwóch krańcach ziemi.

Rozkosz obcowania była dla nich w tym momencie jakby kołysaniem się na falach nieskończoności — tak, iż wszystko, co ich otaczało, wydawało się im rzeczą bezwzględnie małą, prawie że samym niebytem. Świat się dla nich zaczynał i kończył na nich dwojgu. Przenikali się wzajem, jedno stawało się drugim, przestawało być sobą, wcielało się wzajemnie...

Po dwóch tygodniach zjednoczenie ich dusz było całkowite. Lenora z rozkoszą i ufnością poddawała się mocy duchowej Konrada — i ostatecznie to zjednoczenie przybrało tony barw jego duszy.

— Dobrze mi tak — dobrze mi z tobą! — zdawała się mówić Lenora, upojona, niepompna niczego, prócz tych krain marzenia, do których ją wprowadził Konrad.

Powrócili razem, ale w Warszawie musieli się pożegnać. Lenora z matką pojechały w Mińskie, Konrad na Ukrainę.

Mama, jako osoba praktyczna, natychmiast po zapoznaniu się z Konradem — napisała do pewnej ciotki, mądrej i wszechwiedzącej, aby ta dowiedziała się o Konradzie: kto, co, gdzie, jak, ile itd.

Referencje miała doskonałe, a że panna była zakochana, młodzieniec przystojny i wielkich zalet — więc, gdy nadeszła chwila, że Konrad się oświadczył o Lenorę pani matce, ta pobłogosławiła ich uroczystie, dając im jednocześnie niemało rad pełnych zdrowego rozsądku — i postanowiła, że skoro tylko żałoba się skończy, pojadą do Rzymu i tu, w samej bazylice, zawarty będzie związek Lenory z Konradem.

Konrad był skrupowany pracą w fabryce, zapowiedział jednak, że skoro tylko będzie mógł, przyjedzie do nich na wieś. Jakoż był parę razy, zawsze tylko na dwa-trzy dni — i natychmiast musiał powracać. Każdy taki przyjazd był dla obojga młodych źródłem nowego szczęścia i nowych marzeń.

Tymczasem nadszedł luty r. 1905. W połowie lipca Konrad, jako chorąży zapasu<sup>113</sup> — wezwany został pod broń. W ciągu tygodnia miał się stawić w pułku, który natychmiast wyruszał do Mandżurii.

Oczywiście Konrad skorzystał z czasu, aby pożegnać rodzinę oraz narzeczoną.

U krewnych w sąsiedztwie fabryki pobawił dzień jeden — i wyruszył w Mińskie.

Blisko dwie godziny drogi konnej dzieliło go od stacji. Konrad był już w ubraniu wojskowym, pełny myśli ponurych i złowróżbnych... Sosnowe lasy, wzdłuż traktu idące, szumiały mu głucho, jakby wszystkie skargi świata w nich się splątały, a złociejące łany zboża kołysały się pólśenne i rozżalone.

Na skrócie drogi, koło krzyża, gromada kawek nagle uleciała w górę, z głośnym krakaniem, jakby przerażona czymś nieznanym.

Było już niedaleko N., dokąd udawał się nasz chorąży, wezwany na wojnę. Dwie, trzy wiorsty najwyżej dzieliły go od dworu. Tu mur z kamieni płaskich, wapnem połączonych, na przestrzeni kilku morgów — otaczał cmentarz miejscowy. Skromne drewniane lub metalowe krzyże, lampki i wieńce, figury świętych pańskich — w otoczeniu wierzb i brzoź, w głogach i czeremchach — widać było z drogi, ponad niewysoki mur wystające. Ubogie to były groby wieśniacze, a wśród nich bardziej wytworny, żelazną sztachetą oddzielony, grobowiec rodziny N. Była tu mała kaplica, na której fasadzie — pod szczytem — ujrzał Konrad — świeżo zapewne pomieszczony, szkłem osłonięty barwny obraz.

Była to Madonna Lorenza Veneziana.

Obok kaplicy groby z marmurów kieleckich albo z granitów fińskich — postacie aniołów, z brązu kute lub wyciosane z kamienia.

<sup>113</sup>chorąży zapasu — dziś: chorąży rezerwy. [przypis edytorski]

Natarczywie ten grobowiec przyglądał się Konradowi, który mimo woli powiedział sobie:

— Tu będzie moja ostatnia siedziba...

Po chwili zaś dodał:

— A może i nie!

I w tej samej chwili przecząco zakolysały się gałęzie sosen nad grobowcem, jakby mówiły również: A może i nie!

W oczach Konrada zamigotały dalekie a nieznane krajobrazy Mandżurii, które wyobrażał sobie podług opisów i opowiadań... W każdym razie miał wrażenie, jakby udawał się w próżnię...

Tak, może nie będzie spoczywał w jednym grobie z Lenorą.

Wkrótce potem szeroką aleją wjechał na dziedziniec dworski i stanął pod gankiem.

Lenora czekała na niego — milcząca i smutna. Co można powiedzieć człowiekowi, jadącemu na taką obojętną wojnę? Lenora milczała: ona już tyle dni i nocy przepłakała i przemarzyła boleśnie nad tym wyjazdem Konrada, że tylko milcząc rzuciła mu się w ramiona i całowała go, jak sierota, która utraciła rodziców.

Mama była tak wzruszona, że nie mogła się od łez powstrzymać — i zdaje się nie widziała dla Konrada innego ratunku, jak zaprosić go na obiad, złożony z dań wyborowych i rozmaitych, pod specjalnym jej dozorem przygotowanych; chciała, ażeby Konrad przed tą śmiertelną wyprawą zjadł smacznie i obficie — i pilnowała go nieustannie.

Konrad jednak był ze wszystkich najspokojniejszy. Wierzył, że nic mu złego się nie stanie, i nawet żartował, zapewniając przyszłą teściową, że dzięki swoim praktykom magnetycznym, które matka Lenory uważała za coś diabelskiego, potrafi zażegnać wszystkie kule i potrafi zatrzymać dostęp śmierci do siebie.

Wszyscy koniec końców uwierzyli w tę moc Konrada — i Lenora nawet się uspokoiła, choć jej serce biło trwogą, że jednak Konrad znajdzie się w Bóg wie jakich niebezpieczeństwach, w kraju dalekim, nieznanym, w pustyni, wśród ludów obcych, dzikich, rozpalonych walką — —

A jeżeli będzie ranny — a jeżeli będzie głodny, stęskniony, samotny — kto go dopilnuje, kto go nakarmi, kto go pocieszy? kto go ucałuje? Kiedy wróci i czy wróci?

Po obiedzie Konrad z Lenorą poszli do ogrodu — i tu, choć Lenora dotychczas starała się wszystką siłą ducha utrzymać, to jednak nie mogła już dłużej wytrwać w tym stanie — i rozplakała się bezsilna.

— Czy nie zginiesz? Czy powrócisz?

To była oczywiście główna jej troska wobec tego groźnego zjawiska, które bezwładną ludzką wolę kierowało w stronę konieczności zimnej i nieubłaganej.

— O Boże, spraw, aby Konrad powrócił!

— Lenoro — mówił do niej on, pełny najwyższego spokoju, i spoglądał na nią, raczej w samą treść jej źrenic i jej duszy — ufaj mi, że stanie się wszystko, jak tego los zażąda. Jestem czasem fatalistą — wierzę, że co bądź się stanie, będziemy się musieli ze sobą zobaczyć. Idę w niewiadomą otchłań, na nieznane pole żywota. Tam działa grzmiały, gromy huczą, krew płynie strumieniami. Tam z gardzieli Fudżijamy płynie ognista lawa; gromady złotolicych duchów, rozkwitając w słońcu chwały wschodzącej, wyruszyły na srebrne równiny północy i nową epokę dziejów zaczynają. Kule ślepe, szalone świszczą dokoła wśród pól gaolanu; wśród tego ognia dusza moja przepali się choć trochę płomieniem krateru japońskiego — i uzyska moc nową, jakiej dotąd nie miała. Czyli wrócę, czy nie wrócę — nie wiem, ale czuwać nade mną będzie pamięć wieczna tego spotkania naszego pod obrazem Lorenza Veneziana. Te białe-różowe, przejrzyste, bezcielesne ręce Madonny będą odpędzać ode mnie miecze i kule nieprzyjaciela. Za mną pójdzie pamięć twoich źrenic, twoich uśmiechów, twego głosu — i wśród tej posoki krwi czerwonej i szerniałej pamięć twoja będzie mi tarczą, która wśród wycia kartaczów i jęku rannych stanie mi się ochroną i osłoną.

— A gdy dotknie ciebie rana, gdy ci tryśnie krew czerwona, kto nad tobą czuwać będzie? Obca ręka cię osłoni, pielęgnować będzie ciebie! Ja — ci będę zbyt daleka, ja ci będę niepotrzebna. Gdybym była uskrzydłonym ptakiem, co po chmurach lata — poleciałabym za tobą, by nad tobą czuwać ciągle. Poleciałabym na owe pola zimne i dalekie, aby rany twe przewiązać, aby krew ci zatamować, aby jadło twoje warzyć, by ci puchar

dać leczniczy. Ach, a jeśli zginiesz w bitwie, od japońskich kul<sup>114</sup> przebity, cóż uczynię na tej ziemi, ja sierota beznadziejna! Nawet gdybym na twym grobie we łzach chciała się pomodlić, nie znalazłabym w pustyni twojej mogiły niewiadomej! Chcesz, to posłę w świat za tobą — swoje oczy, szare ptaki — abym ciągle była z tobą, była w tobie i przy tobie. Byś je widział nieustannie, jak ja widzę twoje oczy, twe ogniste czarne oczy, co czuwają wciąż nade mną.

— Twoje oczy są mi gwiazdą, co mnie będzie wiodła w dale do tych pustyni zabajkałskich, gdzie śmierć blada dziś tańczy — i chorowód<sup>115</sup> swój prowadząc, morzem krwi rozweselona, żywot kosi za żywotem. Tam ty jednak będziesz dla mnie osią marzeń mych i czynów. Dusza moja za tą gwiazdą będzie krążyć nieustannie, jak słońce obraca się za ognistą słońca tarczą. Pamięć twoja w sercu moim moc rozpali niewzruszoną; żadna strzała mnie nie zrani, żadna kula nie przebije. Moc mam z ciebie tajemniczą: niechaj walka huczy wkoło, niech grzmia działa i szimozy<sup>116</sup>, jam jest wszędzie nietykalny. A choćby mnie grób pochłonił, choćbym runął gdzie zabity, to przełamie grobów ciemność i na świat się wydobędę — i tu stanę pod twym oknem i wśród nocnej ciszy mroku wielkim głosem twoje imię wołać będę, o Lenoro! Wierz mi, słuchaj mnie, Lenoro — w tym momencie ostatecznym, ty jedyna w mojej myśli będziesz żyła, o Lenoro! i jeżeli zginę — zginę z twym imieniem, o Lenoro!

Rzuciła mu się w ramiona — i płakała gorąco; płakała razem gorzko i słodko nad nim i nad sobą. Zebrała bukiet róż i głogów, stokrotek i niezapominajek — i dała mu tę wiązanekę, którą on przycisnął do serca, jako drogą pamiątkę: w zapachu tych kwiatów był zapach jej rąk, jej łez i jej duszy.

Po dwóch dniach opuścić musiał ten dom, w którym połowę swej istoty pozostawił. — Obiecał pisać — i rzeczywiście przez dłuższy czas, co parę dni, co tydzień pisał do niej z drogi, z Charbina, z Mukdenu, z Laojanu... Potem listy były rzadsze, czasami przychodziło po dwa-trzy jednocześnie. Na koniec ustały zupełnie: może zginął w bitwie — może gdzieś krąży po okolicach pozbawionych komunikacji — może gdzieś przepadł bez wieści w tych pustyniach...

Lenora z matką uważnie czytały gazety — i te wieści o klęskach nieustannych, połączonych ze śmiercią tylu ludzi — robiły na nich wrażenie nad wyraz bolesne, gdyż w każdym rannym i zabitym przeczynały Konrada. Była też specjalna gazeta, w której wyliczano imiona i nazwiska wszystkich rannych, zabitych i przepadłych, co bądź zbiegli, bądź dostali się do niewoli.

Ale dotychczas, do połowy października — nazwiska Konrada w tych spisach nie widziały.

Była cicha noc październikowa; chłodno już było, ale w powietrzu panowało milczenie bez poszumy; niebo też błękitniło się czyste i jasne — i tysiące gwiazd promieniało na bezchmurnym niebie.

Matka Lenory udała się na spoczynek, a samotna kochanka Konrada rozmyślała wciąż o nieobecny — i pomimo wszelkie dobre znaki, albo raczej brak złych<sup>117</sup> wieści — na sercu jej leżał ciągle wielki dręczący ciężar najczarniejszych przypuszczeń.

Stara Maciejowa, dawna niańka Lenory, czuwała z nią razem i układała pannie kabałę<sup>118</sup>. Zapewniała ona też, że można by, zrobiwszy świecę z żyły dziś zmarłego nieboszczyka — sprowadzić czarem Konrada aż pod ten dom, a właśnie wczoraj pod wieczór pochowano na cmentarzu nieznanego włóczęgę — i gdyby tylko kto się odważył grób odkopać i wyjąć z trupa żyłę... to Konrad, choćby był nie wiedzieć jak daleko — musi przyjść — i pokłon oddać. Ale panna Lenora i słyszeć nie chciała o takiej praktyce.

Maciejowa ułożyła karty na stole. Była tam i długa walka — i dalekie wody i lasy i pustynie. Kule (dziesięć trefl) świstały dokoła, ale omijały dotąd kierowego króla, który był od nich zawsze daleko; czuwała zawsze nad nim, niby to blisko a niby to dala —

<sup>114</sup>od japońskich kul — dziś popr.: przez japońskie kule. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>chorowód — dziś popr.: korowód. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>szimoza — materiał wybuchowy stosowany przez marynarkę japońską na początku XX w. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>pomimo wszelkie dobre znaki, albo raczej brak złych — dziś popr.: pomimo wszelkich dobrych znaków, albo raczej braku złych. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>kabała — tu: wróżba z kart. [przypis edytorski]

blondynka (dama kierowa), która rycerzowi przynosi szczęście... jest krew (as karo), ale jest też powrót (siedem trefl); chociaż ranny (dziesięć pik) — niewątpliwie przybędzie (siedem kier).

Słowem karta przynosi same dobre wróżby. Choć Lenora doskonale rozumiała całą niedorzeczność tej gry, to jednak mimo woli uspokajała się pod wpływem słów niańki.

Maciejowa powiedziała jej dobranoc — i odeszła. Lenora, gdy została sama, niedługo czas pozostawała w spokoju, zbudzonym pocieszającą kabałą.

Mimo woli twarz jej przybrała wyraz smutku; jakby daleki, obcy poświst jęczącego wichru usłyszała w uszach, w samej muszli swego ucha; ciężar, który nigdy nie spadał z jej serca, zaczął ją daleko mocniej uciskać; ręce naraz jej zlodowaciały, a w piersi ją<sup>119</sup> ją szarpać niepokój najboleśniejszych przeczuć.

Powoli zaczęła się rozbierać; wyjrzała przez okno. Księżyc na pół rozdęty świecił na czystym niebie wśród chorowodu migotliwych słońc i gwiazd. Z sąsiedniej puszczy dochodziły głuche i nieprzerwane jęki i wycia, spoza lasu słychać było gwałtowne ujadanie psów, oszczekujących swoje wizje upiorne. — Naraz te głuche wycia puszczy i te szczekania psów umilkły niby na rozkaz jakiejś woli nieznanej. Cisza stała się w powietrzu głucha i uroczysta i tylko chwilami nietoperz szerokim ruchem kołowym przeleciał powietrze albo sowa gdzieś huknęła, ukryta na wysokiej topoli.

Zapatrzona w tę ciszę nocną — Lenora, zda się, pragnęła sięgnąć okiem aż do Mandżurii...

Była już na pół rozebrana, gdy naraz bardzo blisko domu — niby na gościńcu, usłyszała wielki krzyk:

— Lenoro!

Otworzyła okno. Był to krzyk rozpaczy.

— Lenoro!

To głos Konrada. On tu gdzieś jest w pobliżu... Jakim sposobem, dlaczego — nad tym nie miała czasu się zastanowić. Wyskoczyła oknem do ogrodu — i, narzuciwszy na siebie jakąś chustę, wybiegła natychmiast na gościniec, bo krzyk ten jeszcze się powtórzył. Pod sztachetami ogrodu leżały, przykucnięte i wystraszone, dwa czarne tęgie kundlo-brytany, przeznaczone do straży nocnej koło dworu; skamlały żałośnie, jakby zatrwożone niewidzialną, zbliżającą się tu zmorą.

— Konradzie! — wołała Lenora — idę, idę do ciebie! Gdzie jesteś?...

Była już na gościńcu — okiem osłupiałym patrzyła w błękitny mrok nocy, który nagle szarzał i biał.

Nie wiadomo jak, Lenora znalazła się na wzgórzu, którego dotąd nigdy nie widziała w okolicy; wzgórze, raczej przesmyk — było na prawo zarosłe gęstą wysoką trawą, raczej trzcina; na lewo była ścieżka... na tej ścieżce ujrzała Konrada: w oficerskim ubraniu przesuwał się konno w towarzystwie kilku kozaków — gdy naraz z gęstej wysokiej trawy wypłynęła trzykroć liczniejsza grupa żołnierzy, w których Lenora, przypomniawszy sobie różne obrazki, poznała Japończyków. Oficer japoński szedł wprost na Konrada i próżno Lenora chciała swą ręką odzębnić niebezpieczeństwo. Konrad był już sam, gdyż żołnierze jego padli od kul nieprzyjacielskich, zabici, nim jeszcze Japończycy ukazali się ze swego ukrycia w trzcinach gaolanu.

I Konrad upadł ostatni obok swych szeregowców. Lenora nie słyszała wystrzałów, ale widziała dym prochu i kule w powietrzu latające. I w chwili, kiedy Konrad upadł, Lenora nad jego głową ujrzała cudowną Madonnę Lorenza Veneziana, która go błogosławiła swymi słoneczno-różanymi palcami.

— Konradzie! — zawołała Lenora, niemiejąc z trwogi i rozpaczy.

Naraz pole gaolanowe i wojownicy japońscy zniknęli.

Na nowo noc zapanowała.

Konrad pozostał sam. Przez mgnienie jeszcze promieniało nad nim widziadło Madonny, ale wnet się rozwiało i we mgle przygasło.

Konrad chwilę jedną leżał na ziemi, ale natychmiast powstał — i, milcząc, zbliżył się do Lenory, patrząc na nią tajemniczo, tym samym okiem, którym niegdyś patrzył na nią przy pożegnaniu...

<sup>119</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

Nie mówił nic — i Lenora spostrzegła na jego szyi dwie czerwone strugi krwi, toczące się z dwóch ran, zadanych kulami Japończyków. Jednakże w oczach Konrada był jakiś nakaz — jakaś wola... Istotnie, szedł on w stronę cmentarza — Lenora oparła się o jego ramię i szła za nim, niepomna niczego: ani tej nocy chłodnej i milczącej, ani domu, który opuściła, ani dziwu tych zjawisk, co ją otaczały... Wszystko to wydało się jej tak jasne i zrozumiałe, że ani na chwilę nie zapytała siebie, co to znaczy — i czy to prawda — i czy to podobieństwo<sup>120</sup>.

Szła smagana wietrzykiem niezbyt surowym, ale chłodnym, październikowym; szła, oparta o ramię Konrada albo raczej jego podpierając, ufna, że nic jej złego stać się nie może...

On ją prowadził gościńcem — w dal od domu matki — a szli tak szybko, że w niecałe minut piętnaście byli u wrót cmentarza — minęli świeżą mogiłę włóczęgi — i ruszyli do tych grobowisk rodzinnych, które Konrad oglądał zawsze, nim stanął w domu narzeczonej.

Wrota cmentarza szczególnym trafem były niezamknięte... Stanęli nareszcie u celu wyprawy, ale w ostatniej chwili nieszczęsna Lenora spostrzegła naraz, że Konrada przy niej nie ma...

Zniknął nie wiadomo jak i kiedy...

I upadła bezsilna, wyczerpana, nieprzytomna u nogi swego ojca...

Nazajutrz rano stróż cmentarny znalazł ją omdłą, prawie sukien pozbawioną — koło grobu. Zawezwawszy pomocy, kożuchami ją nakrył — i odwiózł do domu, gdzie matka z przerażeniem dowiedziała się o zniknięciu córki...

Długie miesiące Lenora, między życiem a śmiercią, leżała w gorączce.

W jakie pół roku po tym zdarzeniu przybyła wieść oficjalna o śmierci Konrada. Przeznaczony do służby wywiadowczej, zginął w walce z podobnym oddziałem japońskim. Zginął tej samej właśnie nocy, kiedy Lenora, widzeniami opętana, poszła na cmentarz za cieniem — i tam upadła zemdlona. Ostatnie słowo zabitego był to głośny krzyk: Lenora!

## *Memorial doktora Czang-Fu-Li*

Paryż, w r. 2652

Wyprawa naukowa do szczególnej części świata, zwanej Europą, dokąd wysłany zostałem przez czcigodną Akademię Nauk w Pekinie — dała rezultaty tak nieoczekiwane, że gdyby się okazały prawdą fantastyczne teorie uczonego Lapończyka dra Teene Weene, byłby to po prostu przewrót zarówno w nauce geologii, jak i historii.

To zaś, co mi tu pokazywali niektórzy uczeni lapońscy, zresztą wszystko byli wychowawcy naszych chińskich uniwersytetów — wydaje się chwilami rzeczywistością; w istocie jednak jest to szczególna igraszka natury, która lubi naśladować dzieła rąk ludzkich i ludzi osobliwie wzrok i umysł człowieka.

Wy, którzy przebywacie w mirtowych i migdałowych gajach Władystoku (mówiąc dawnym imieniem) czyli Lan-ding-stongu, wy, którzy oddychacie czarowną wonią syberyjskich cytryn i pomarańcz, ani się domyślcie, jak straszne czyni wrażenie pobyt w Europie, pokrytej niemal w całości wiekuiwym śniegiem i lodem. Nie sądzę, aby jakkolwiek rasa ludzka mogła tu przebywać, z wyjątkiem może Lapończyków, Samojedów i Kamczadałów, którzy podobno niegdyś mieszkali w północnej części naszego kraju, w Kamczatce, i dopiero w wieku XXII, w czasie wielkiej wędrówki narodów, opuścili Syberię — i przenieśli się do Europy wraz z reniferami.

Jest to niewątpliwie legienda, oparta na starożytnej baśni o Atlantydzie, a rozpuścił ją wraz z wielu innymi uczony Lapończyk dr. Teene Weene.

Bądź jak bądź cechą szczególną Europy jest wielkie upowszechnienie renifera, który ma w sobie podobieństwo do naszych jeleni, ale tu służy tak jak u nas koń i wół; owóż chimeryczny dr. Teene Weene, chociaż kończył studia w Pekinie, twierdzi, że za czasów swego pobytu na Syberii — znalazł wśród wykopalisk kości reniferów i zapewnia, że niegdyś na Syberii żyły renifery i że klimat tego kraju był równie surowy, jak klimat Europy.

<sup>120</sup> *podobieństwo* (daw.) — coś możliwego. [przypis edytorski]

Dzieło dra Teene Weene pt. *Epoki lodowe naszej planety* wywołało niemałe wrażenie, gdyż jest to rzeczywiście niebywałe *curiosum* w dziejach nauki, zwłaszcza niektórzy młodzi Chińczycy — (jak wiadomo młodzież łatwo się entuzjazmuje) — przyjęli to dzieło z wielkim zapalem, gdyż paradoks i ekscentryczność zawsze znajdują wielbicieli.

P. Teene Weene, opierając się, jak mówi, na długoletnich badaniach geo- i hydrologicznych z jednej strony, z drugiej na rozkopaliskach czynionych w swej lodowatej ojczyźnie Frankolaponii, a zwłaszcza w tej osobliwej śnieżno-wzgórzystej pustyni, która się zowie Pustynią Paryską — odkrył, jak zapewnia, rzeczy nadzwyczajne, które z naszego stanowiska bajką śmiało nazwać można.

Twierdzi on mianowicie, że jeszcze siedemset lat temu, tj. w pierwszej połowie XX w. Europa miała klimat bardzo łagodny, że np. w Kampanii rzymskiej kwitły migdały, cytryny i eukaliptusy, jak u nas we Władystoku; że podobno Rzym stanowił niegdyś potężne imperium, że Rzymianie stworzyli prawo (!?), że Paryż (ta lodowata pustynia) był stolicą wielkiej Republiki i że tu jeszcze w XVIII wieku ogłoszoną została tzw. *Deklaracja prawa człowieka*.

Tak mówi dr. Teene Weene, ale każdy Chińczyk doskonale wie, że istotnym źródłem wszelkich pojęć prawnych na świecie były i będą zawsze Chiny; że tu po raz pierwszy w XX wieku ogłoszono zasadnicze idee wyzwolenia człowieka i tu również powstała pierwsza na globie Republika.

Nie będę zresztą polemizował z tak śmiesznymi twierdzeniami, jak te, które ogłasza p. Teene Weene. Jeszcze osobliwsze rzeczy opowiada nam on o samej przemianie klimatu w Europie i na Syberii — i zapewnia, że przyczyną tego zjawiska był sam człowiek, który rozzuchwalił się nadmiernie i zamierzył kulę ziemską przetrworzyć, nie obliczywszy przed tym wszystkich możliwości.

Jak to powszechnie wiadomo, Rzym znajduje się na tym samym równoleżniku geograficznym, co Władystok. Rodzi się więc niepokojące pytanie: dlaczego Rzym jest tak lodowcami pokryty, bezludny i nieurodzajny, gdy Władystok ma klimat do tyła<sup>121</sup> gorący, że można tam hodować pomarańcze, a nawet daktyle się udają? Oczywiście klimat decyduje o możliwości lub niemożliwości kultury; jakąż kulturę mogą mieć Lapończycy lub Samojedzi, mieszkając w krainie tak zimnej i bezpłodnej jak pustynia Paryża lub lodowiska Rzymu? Odpowiedź prosta — bardzo ubogą i nędzną. Zresztą od jakich stu lat szerzy się tu cywilizacja chińska, naturalnie w sposób miarkowany<sup>122</sup> klimatem.

Tajemnica owej rzekomej przemiany klimatu Europy i Syberii wynika — jak mówi dr. Teene Weene — stąd, że w początkach XX w. przekopano w Ameryce Środkowej wielki kanał Carraba, który do dziś istnieje i Chinom niemałe oddaje usługi: skraca nam bowiem drogę do Afryki, zamieszkaną przez dość cywilizowane ludy Blankonegrów; jak wiadomo północ i zachód Afryki stanowi naszą kolonię, gdy południe i wschód opanowali Japończycy.

Europa miała niegdyś w pewnej odległości od swych brzegów prąd gorący, zwany Golsztrem: siedł on od Zatoki Meksykańskiej ku Norwegii, ogrzewając w ten sposób całą Europę zachodnio-północną, gdy południową ogrzewały wiatry afrykańskie.

Lapończycy, Samojedzi i inne plemiona mieszkają na najdalszej północy, tam gdzie jeszcze mógł swobodnie żyć renifer.

W innych krajach przebywały wymarłe narody, jak Anglicy, Niemcy, Francuzi, Włosi itd. Potomkowie tych ludów, zimnem przepędzeni, wywędrowali do Afryki i Ameryki. Są to ludy szczególnej barwy mleczno-kawowej, choć nasz ekscentryczny Lapończyk twierdzi, że byli oni niegdyś bielsi nawet od nas, Chińczyków (!!).

Podobno byli bardzo cywilizowani. Dr. Teene Weene znalazł nawet (nie śmiejcie się!) w wykopaliskach Paryża przedmioty zamrożone, które, po roztażaniu, okazały się książkami (tak!). Zdawałoby się nadto, że ci bajeczni mieszkańcy Europy mieli alfabet, znali druk i nawet pisali książki!

Ot, co znaczy myślenie przez analogię. Co do alfabetu, to rzecz szczególna — jest to nasz własny chiński alfabet, którym piszę ten list i którym nasze książki się drukują, wynaleziony w XX w.

<sup>121</sup>do tyła (daw.) — do takiego stopnia. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>miarkowany — ograniczony. [przypis edytorski]



Ze zwykłą u obłąkanych konsekwencją mówi dr. T. W., że poznał język wymarłych Paryżan; jest on rzeczywiście podobny do języka niektórych grup Blankonegrów afrykańskich, ale nieco odmienny, jakby czystszy i bogatszy. Sądę po prostu, że dr. T. W., któremu niepodobna zaprzeczyć bogatej wyobraźni, musiał z języka Blankonegrów *singo-wać*, że tak powiem, swój rzekomo z mogiły wykopany język wymarłych Paryżan. Jest to język zapewne rodowodu mongolskiego; istotnie, po mongolsku np. „zakochany” zowie się *amurai*, po parysku *amoureux*. O ile więc taki język rzeczywiście istniał, należałoby go zaliczyć do grupy języków mongolskich.

Ale wróćmy do sprawy najważniejszej. Przekopanie kanału Carraba wywołało jeden skutek niespodziewany i nieprzewidziany przez budowniczych tego — jak mówiono niegdyś — arcydzieła sztuki inżynierskiej.

Oto mianowicie gorąca woda prądu meksykańsko-norweskiego zaczęła się przelewać z Oceanu Atlantyckiego w głąbie Oceanu Spokojnego — z początku w niewielkich ilościach, po tym zaś w coraz większych — tak że po upływie stu lat — mniej więcej w roku 2050 Gólfstrzem europejski zniknął zupełnie i, można rzec, zlodowaciał. Krainy niegdyś ciepłe, jak Irlandia, Anglia, Skandynawia, Niemcy itd., pozbawione fal prądu gorącego — zaczęły stygnąć stopniowo, oziębiać się i lodowacieć, aż zamarły całkowicie i stały się siedliskiem wiecznych śniegów i lodów; później nieco Iberia, Francja, Włochy — ogrzewane czas jakiś tchnieniem wiatrów afrykańskich — również uległy mroźnym prądom Atlantyku i również zastygły i zlodowaciały.

Nawet Afryka się oziębiła.

Północ Europy stała się zgoła niezamieszkalną dla człowieka; białe niedźwiedzie tam marzną.

Toteż mieszkańcy północnej i środkowej Europy uciekli do Afryki. Urusy przeważnie osiedlili się w Chinach, gdy Włosi i Hiszpanie popłynęli do Ameryki Południowej.

W roku 2150 Europa stała się bezludną; pozostali jedynie Lapończycy i tym podobne ludy czudzkie, dla których jednak klimat północy stał się zbyt surowy. Konie i bydło, których kości podobno tysiącami znajdują się w Europie, powymierały ze szczętem — i jedynym zwierzęciem stał się tu renifer, którego cmentarzyska — jak twierdzi dr. T. W. — spotykają się na Syberii.

Lapończycy wyemigrowali z dalekiej północy i zasiedlili Francję, Włochy i Hiszpanię, gdzie przez sześć tygodni w roku trwa okres cieplejszy, tak że lody nieco tają, a miejscami nawet uboga zielona trawa spod ziemi wygląda.

Stolicą Frankolaponii jest Paryż, leżący w pełnej dziwacznych wzgórz Pustyni Paryskiej, gdzie znajdują się osobliwe fenomeny, a zwłaszcza wysoka na trzysta metrów góra zwana Eifel, cała lodem pokryta, formy stożkowej; w porze zwykłej wygląda jak olbrzymi soplel kryształ lodowego, rzecz w takich rozmiarach nigdzie nie widziana; jednak w cieplejsze dni, kiedy lód zewnątrz taje — widać poprzez jego szkło przezroczyste jakby wiązania metalowe, żelazne, dziwne — można by powiedzieć — matematycznie obliczonego układu.

Zjawisko to — przez naszą Akademię Nauk w Pekinie, jedyną instytucję powołaną do badania i określania takich tajemnic — dotychczas wyjaśnione nie zostało. Oczywiście to, co mówi p. Teene Weene, że ta góra lodowata jest dziełem rąk ludzkich i że jest to po prostu wieża, zbudowana przez dawnych mieszkańców Neolaponii — jest to fantazja, jak wiele innych u tego uczonego, na najmniejszą wiarę nie zasługująca.

Z drugiej strony twierdzi dr. T. W., że dawniej Syberia właśnie miała klimat tak surowy, jak dziś Europa, a nawet surowszy, a to dzięki zimnym prądom, płynącym z bieguna północnego. Owóż w ciągu XXI w. wszystka gorąca woda Gólfstrzem europejskiego poprzez kanał Carraba przelała się z brzegów Atlantyku przez Ocean Spokojny ku brzegom Syberii — i powoli zmieniła jej klimat tak, że na początku XXII w. Władystok miał klimat dawnej Italii, a Rzym stał się tym, czym niegdyś był Władystok.

Na Kamczatce kwitną dziś migdały i oliwy; w ziemi Jakuckiej trzy razy do roku bywają żniwa, a pomarańcze i wino znad Bajkału słyną na całym świecie.

Na Syberii były niegdyś renifery, ale te lub wymarły jak konie w Europie lub opuściły gorące kraje sybirskie wraz z tymi plemionami, które je hodowały, a które bez reniferów żyć nie mogą. Ludy te — Jakuci, Tunguzi, Magury, Kamczadały i inne — przeniosły się do zamarzłej Europy i z początku mieszkały w północnej Rosji i północnej Szwecji,

a potem również wywędrowały do Nowej Laponii, Nowej Samojedii i innych krain na południu tej lodowatej krainy.

Tak mniej więcej przedstawia się hipoteza uczonego Lapończyka — niewątpliwie bardzo śmiała, a która ma wszystkie cechy fantasmagorii.

Uczony ten twierdzi, że w miesiącu lipcu i sierpniu, kiedy lody z lekka topnieją — okazuje się, że owe rzekome wzgórza Pustyni Paryskiej, to bynajmniej nie wzgórza, ale ręką ludzką budowane gmachy, w ruinie leżące; niektórzy znajdują tam cegły, wyroby ze szkła, metalu, drzewa i inne skamieniałości. Podobno Paryż był niegdyś miastem nie mniejszym od Pekinu.

Jak niepowstrzymaną jest siła rozpędowa raz pchniętej w ruch wyobraźni — tego dowodzi najzabawniejsze ze wszystkich twierdzeń szanownego mędrca lapońskiego, które tu podam na zakończenie. Z owych rzekomych książek, pisanych wymarłym językiem paryskim, wyczytał on, że ten naród w połowie XX w. był właśnie w przededniu realizacji największej reformy, jaka była od początku świata: w przededniu rozwiązania kwestii socjalnej. Że właśnie kiedy zaczęło się budowanie podstaw tej wielkiej przemiany społecznej — ziemia w Europie nagle zaczęła marznąć, temperatura średnia roczna zaczęła opadać (do 3, a nawet 2 stopni Celsjusza) — i wszelka inicjatywa w tej doniosłej sprawie została sparaliżowana.

Tu już dr. T. W. doszedł do ostatecznych krańców fantastyczności. Jakaż idea narodzić się może w takim klimacie? Zresztą, czyż mogli owi bajeczni Paryżanie pomyśleć nawet o możliwości rozwiązania tej sprawy, gdy my, Chińczycy, przy naszym klimacie, naszym stopniu oświaty, naszym rozwoju przemysłu i naszym nagromadzeniu ludności dotychczas nie rozwiązyaliśmy jeszcze tej kwestii — i pomimo reform z r. 2437, 2531 i 2580 — znajdujemy się ledwie u jej progu. Oczywiście bowiem, ta bolesna walka, jaka trwa od początku historii między klasą zamożną a klasą ubogą — domaga się rozwiązania i będzie kiedyś rozwiązana, jeżeli nie za naszych czasów — to w XXVIII albo choćby w XXX stuleciu. Ale nie owa Atlantyda legendarna ją rozwiąże, jeno nasza wielka ojczyzna, Republika Niebieska, Chiny — rzeczywista kolebka wszelkiego postępu ludzkiego i wszelkich idei wolnościowych.

Historia

## Rebus

Dnia 15 sierpnia zginął skrytobójczo, zabity we własnym mieszkaniu w Warszawie, Jan Sędziak, technik, w okolicznościach tajemniczych i niepojętych.

O zbrodnię oskarżony został nasz przyjaciel, Fulgenty Trzon, najspokojniejszy z ludzi, jakich znałem, sąsiad mój bliski, gdyż mieszkaliśmy naprzeciwko siebie, na tej samej wąskiej, zacisznej, dalekiej od środka miasta ulicy. Mieszkaliśmy, że tak powiem, okno w okno i, siedząc każdy u siebie w pokoju, mogliśmy spokojnie palić fajki i rozmawiać ze sobą, nie wysilając głosu. Z naszego mieszkania widać było, jak w latarce, wszystko co się działo u Trzona, i *vice versa*<sup>123</sup>; dla dyskrecji też zaprowadziliśmy w oknach wielkie story<sup>124</sup>.

Otóż ten najspokojniejszy człowiek został oskarżony o zbrodnię. Sprawa jednak była nader powikłana: bo jeżeli z jednej strony sąd miał znaczną liczbę dowodów przeciw Fulgentemu, to z drugiej i on miał zupełnie wystarczające fakta przeciw oskarżeniu. Sędzia śledczy po prostu tracił głowę: bo jeżeli z jednej strony stwierdzono *alibi* Trzona, co poświadczył ja, pan Mirecki, komersant<sup>125</sup>, doktor Lędźwiłł, dalej mój służący i stróż mego domu, to znowu stróż domu Sędziaka, jego służba oraz brat stryjeczny ofiary, a jego współmieszkaniec, za pomocą dowodów niezaprzeczonych stwierdzili, że właśnie Trzon był u nich.

Istotnie, w mieszkaniu Sędziaka znaleziono kapelusz Fulgentego, jego laskę, *porte-cigare*<sup>126</sup>, paczkę rozsypanych na ziemi biletów wizytowych z imieniem i nazwiskiem

<sup>123</sup>*vice versa* (łac.) — na odwrót. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>*story* — zasłony. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>*komersant* (z ros.) — handlowiec. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>*porte-cigare* (fr.) — cygarniczka. [przypis edytorski]

„Fulgenty Trzon”, na koniec sztylet, ten sam sztylet, który oskarżony wczoraj nam pokazywał. Dowody straszne i wprost druzgoczące.

Najsurowszym jednak *corpus delicti*<sup>127</sup> przeciw naszemu pocziwemu partnerowi szachów i winta<sup>128</sup> było parę słów, które ten napisał na ćwiartce papieru na biurku, w kancelarii Sędziaka, przy czym podpisał się i wyraźnie podał swój adres; słowa były dziwaczne i, rzecz szczególnie: zrozumialsze dla nas niż np. dla sędziego śledczego. Ostatecznie były to wprost pogrożki pod adresem ofiary. Ale znów stawało się niepojętym, jakim sposobem Trzon mógł pisać atramentem fioletowym, gdy tu w całym domu był tylko atrament czarny, czerwony i zielony.

Ręka jednak bezwarunkowo zdradzała Trzona — i gdy sędzia zapytał oskarżonego, kto pisał te słowa, ten, poblądlszy, rzekł jednak bez wahania: „Ja! Nie pamiętam, jak i kiedy, ale ja!”

I znów sędziemu wydało się szczególnym, w jakim celu Trzon sam się oskarżał, ale ostatecznie różne bywają stany psychiczne zabójców. Również do fatalnych rezultatów doprowadziły badania daktyloskopijne: na szkle, na papierze, na biurku, na metalowych prętach łóżka nieboszczyka — wszędzie był ten dowód nieomylny: znaki palców Fulgentego. My, świadkowie, po prostu niemieliśmy ze strachu i zdumienia — i chwilami zaczęliśmy sami wątpić o prawdziwości naszych świadectw. Atrament fioletowy był to mój własny atrament, zapewne jedyny egzemplarz w Warszawie, przysłany mi z Norwegii przez mego przyjaciela; butelka firmy Andersen & C. zawierała płyn o specjalnym złotym odcieniu i łatwo było poznać ten atrament; istotnie Trzon pisał u mnie jakiś rebus czy zagadkę, gdyż pocziwiec lubił się zabawiać tym sportem. A nawet, rzecz zdumiewająca, niektóre słowa z tych szarad były w tajemniczej epistole, którą znaleziono na biurku denata.

Oto dziwaczne słowa i znaki, w których Trzon przyznał własne pismo.

a a c k s s w  
Zły... §§ ska|cze|wan... DA... Wanda  
...23...  
§§§ cze|ka|wan... DA...

Nędzniku, wydarłeś mi szczęście, ale — jakem zaprzysiągł — nie minęła cię zemsta.  
Fulgenty Trzon  
(adres)

15 sierpnia!

Wczorajszego wieczora Fulgenty był u mnie, graliśmy w winta, zresztą niefortunnie, bo Fulgenty był wczoraj bardzo gadatliwy; pod wpływem wina burgundzkiego zapewne, opowiadał nam swoją historię miłosną; był chwilami bardzo podniecony, potem na jakie dziesięć minut omdlał; był zupełnie nieprzytomny. Gdy zaś wrócił do siebie, rozmawialiśmy — po krótkim odpoczynku — dalej o różnych przedmiotach. O godzinie pierwszej po północy goście moi rozeszli się do domów, doktor z Mireckim odprowadzili Fulgentego do bramy, sami zadzwonili i stróż domu Trzona jest świadkiem, że od tej chwili jego spokojny lokator nie wychodził na miasto.

Zabójstwo dokonane zostało mniej więcej między godziną 11 min. 17 a godziną 11 min. 27 przed północą. Niepojęte! Doktor, który czuwał nad Fulgentym w czasie jego omdlenia i śledził je z zegarkiem w rękę — zanotował sobie tę samą godzinę i minutę.

Więc jakże? Z jednej strony oczywista, że Fulgenty nie popełnił zbrodni, a z drugiej niemniej widoczne, że tę zbrodnię popełnił.

Sędzia śledczy był przygnębiony: z jego badań wynikało, że absolutnie nikt inny, prócz Fulgentego, nie mógł popełnić tej zbrodni; z naszych znów świadectw niemniej realnie wynikało, że Fulgenty absolutnie nie mógł popełnić tej zbrodni.

Ale i my sami byliśmy zachwiani i przerażeni. Ten sztylet właśnie wczoraj pokazywał nam Fulgenty: słowa wypisane na papierze Sędziaka *moim* fioletowym atramentem —

<sup>127</sup>*corpus delicti* (łac.) — dowód rzeczowy potwierdzający dokonanie przestępstwa. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>*wint* — daw. gra karciana. [przypis edytorski]

były to mniej więcej te same słowa, które oskarżony mówił u mnie jakimś szczególnym głosem, a i to przypominam sobie, że, gdyśmy się żegnali, Fulgenty nie mógł znaleźć ani kapelusza, ani laski; cygarnica też mu zginęła.

Słowem staliśmy wobec zjawiska przewyższającego rozum ludzki.

---

Fulgenty Trzon był starym kawalerem i pracował w administracji fabryki żelaza pod firmą: Jules Durand & C-o. Moje zblizenie z Fulgentym trwało od lat kilku, było ono nieco przypadkowe, ale zmieniło się w stosunek bardzo zażyły. Spotykaliśmy się dłuższy czas w pewnej cukierni, gdzie grywaliśmy w szachy. Ponieważ pewnego razu i mnie, i jemu zabrakło partnera, przedstawiłem mu się i zawarliśmy znajomość, a potem jako bliscy sąsiedzi widywaliśmy się niemal ciągle; łączyło nas jeszcze starokawalerstwo i nawet pewne koleżeństwo zawodowe, gdyż ja byłem rysownikiem u N., inżyniera, który znajdował się w stałym stosunku z fabryką Jules Durand & C-o.

Latem, w towarzystwie kilku innych przyjaciół, urządzaliśmy w święta wycieczki zamiejskie, a w zimie chodziliśmy razem do teatru, na koncerty — albo też zbieraliśmy się u siebie na winta.

Z innych osób bywał u mnie profesor Tarło, doktor Lędźwiłł, pan Mirecki, komersant, i inni.

Dnia 15 sierpnia zebrali się ci panowie u mnie; profesor Tarło wyszedł bardzo wczesnie, gdyż miał jakieś posiedzenie; pozostało nas czterech. Oczywiście był i Fulgenty. Szymonowi kazałem sprowadzić z piwnicy dwie butelki doskonałego wina burgundzkiego; przyrządziłem też niezłą wieszczkę, gdyż Szymon był zdolnym kuchmistrem.

Graliśmy w winta, który dziś jakoś kleił się nieszczególnie; ja, co prawda, byłem zawsze graczem lichym. Mirecki grał średnio. Lędźwiłł był mistrzem nad mistrze w tej sztuce, a wcale<sup>129</sup> dobrym winciarzem był Fulgenty.

Tymczasem ten był dzisiaj szczególnie zamyślony; najlepszą grę marnował, aż go doktor posyłał do wszystkich diabłów. Więc raz miał niby szlemik w pikach; licytując, powiedział na piki doktora od razu dwa piki; okazało się, że ma tylko trzeciego waleta: leżeli bez jednej. Doktor huczał jak organ, ale Fulgenty był niepoprawny. Miał szlem bez atu, wskutek roztargnienia nie dał przejścia partnerowi — i przepadł bez ośmiu.

Pomimo gniewu doktora, Fulgenty uśmiechał się dobrodusznie, jakby zajęty był zupełnie innymi sprawami. Miewał on takie zagapienia, do czego nawykliśmy, przypisując je natchnieniu szczególnego rodzaju: Fulgenty bowiem układał szarady, zagadki, rebusy, co uważał za bardzo wysoką sztukę; że nas to czasami bawiło wybornie, nikt nie drwił z tej niewinnej manii naszego przyjaciela.

W momentach zagapienia jego oczy blado-niebieskie, zazwyczaj nieco rozpierzchłe — były wyjątkowo rozwiane, prawie wodnisto-powietrzne. Fulgenty nie był piękny; rysy miał dość nieprawidłowe, tak szczególnie złożone, jakby jeden od drugiego uciekał, i to był normalny stan jego fizjonomii; chwilami jednak w momentach bardzo rzadkich i przemijających — wszystkie rozpierzchłe rysy łączyły się w jedną, skondensowaną całość, pełną niesłychanej energii; miał w sobie coś rozkazującego i był w takich chwilach piękny. Ale taka kondensacja wiązała się u niego z pewnym osłupieniem, niejako bezwładem myśli i woli; był to po prostu jakby ciężec psychiczny, zeszywnienie jaźni, połączone z chwilową utratą mowy.

Po niejakiem czasie (zazwyczaj po 10-15 minutach) wracał do przytomności, wyczerpany, znużony — a przy tym usposobiony lirycznie i sentymentalnie, skłonny do wyznań i zwierzeń, opowiadał wtedy o swoich rodzicach, o swoich latach dziecińczych, o jakiejś pannie Wandzie, w której się kochał — „jedyny raz w życiu”.

I dziś, pod wpływem wina, a może też i innych — nieznanym nam czynników — Fulgenty dziwnie się rozmarzył — i coraz większe bąki strzelał w wincie.

— Ależ pan gra, jak cap! Cóż do licha? Pewno panu jakieś szarady i rebusy w głowie siedzą... i już pan nie rozróżnia asa od siódemki!

— I jakby pan zgadł — odrzekł najspokojniej w świecie Fulgenty — wymyśliłem nadzwyczajne zagadki.

— No to mów — wtrąciłem, przewidując, że wint dziś się nie uda.

---

<sup>129</sup>wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

— Dobrze, ale daj-no atramentu, to wam napiszę całą rzecz.

Zaraz podałem mu przybory do pisania, on zaś — patrząc swoim wodnistym okiem dokoła i blade się uśmiechając — mówił do nas.

— Słuchajcie szarady. *Pierwsze jest i drugie trzecie* ma twarz, ten, co się naraz ujrzy *pierwsze drugie trzecie*.

Ale nikt nie mógł odgadnąć tej niesłychanej enigmy<sup>130</sup>.

— No, gadaj od razu, Fulgenty, co to znaczy, bo tu nikt nie jest taki mądry.

— Otóż to — z dumą rzekł Trzon. — Więc wam powiem: *Zły jest i siną* ma twarz (z gniewu) ten, co się naraz ujrzy z *hysiną*.

— Brawo, brawo! — wołaliśmy wszyscy, a zwłaszcza Szymon, który był wielbicielem zagadek Fulgentego.

— Ale to nie wszystko. Jeszcze drugą wymyśliłem zagadkę. Masz tu jedenaście liter: *a, a, a, c, e, k, n, s, s, w, z*; ułóż z tego imię rzeki w Ameryce. Potem odrzuć jedną literę — i ułóż nazwę kwiatka. No, kto odpowie?

— Nikt. Sam odpowiadaj.

— Dobrze, otóż rzeka zowie się *Saskaczewan*, a jeżeli odrzucisz *w* — pozostanie dzieśnię liter i z nich się zrobi *Sasanecka*.

— Cudownie! — wołał doktor — że też panu, panie Fulgenty, przychodzą do głowy takie mądre historie!

— Ba, ba! — mówił ten jakby w tryumfie i pisał na papierze: *Saskaczewan... skacze wan...* (tu coś mruczał, jakby *skacze wanda* — zaśmiał się cichym kocim śmiechem)... *kacze... czeka... czeka... wan... wanda... czeka wanda...* (zamyślił się nagle). Cha, cha, cha! przypomniałem sobie, jaki nadzwyczajny rebus kiedyś ułożyłem... Opowiem wam o tym... Ale to jeszcze muszę wam pokazać, bo właśnie dziś odebrałem z naprawy ten nóż, stary pugiński, który kupiłem dawno, dawno temu... Dziś właśnie mija dwadzieścia trzy lata z górą...

To mówiąc, wyjął z płaszcza, koło drzwi wiszącego na wieszadle — dość duży nóż z doskonałej stali angielskiej, z rękojeścią rogową, porysowaną w ornamenta i litery tureckie, używane wśród Serbów mahometan. Nóż był w mocno poblakłej pochwie z czerwonego safianu, oczywiście niemało lat liczącej; ostrze jednak było świeżo nawecowane<sup>131</sup>, błyszczało świetnie i przedmioty odbijały się w nim jak w lustrze.

Podziwiliśmy nóż, po czym oddaliśmy go Fulgentemu, który go z powrotem włożył do płaszcza.

— Ze dwa tygodnie temu, przeglądając stare rupiecie, znalazłem ten nóż w biurku, głęboko ukryty, i przypomniałem sobie dawne lata... — Po czym dodał ciszej: — stara historia... — I jeszcze ciszej, prawie szeptem: — *czeka Wanda...*

Naraz Fulgenty zamilkł. Oczy jego stały się ognisto niebieskie, rysy twarzy ześrodkowały się niby w posągu marmurowym. Z tym wyrazem niezłomnej energii i potężnej woli — Fulgenty nagle skołowaciał, zeszywniał, nieprzytomny runął na ziemię. Doktor za najważniejsze uważał puścić mu krew. Po dziesięciu-jedenastu minutach dopiero (była godzina 11 min. 28) zemdlony obudził się. Brom i szklanka wody selcerskiej z cytryną postawiły go na nogi.

Długi czas jeszcze był jakby nieswój — wreszcie przyszedł do siebie — i wpadł w nadzwyczajny zapał oratorski; mówił zaś tak, jakby to był dalszy ciąg jakiegoś opowiadania poprzedniego.

— Więc ten młody człowiek zjawił się nagle u panny Wandy... i chociaż nie odznaczał się niczym, ale powiem wam, że od pierwszej chwili poczułem do niego antypatię. Nie sądzę, aby Wanda miała dla niego więcej życzliwości niż dla mnie, ale był to zuchwalec, po prostu wszelkich delikatnych uczuć pozbawiony; gdy ja byłem dyskretny, pełny czci religijnej dla mojej pani, on nie miał dla niej, czułem to wyraźnie, najmniejszego szacunku; gdy ja milczałem, tłumiąc w sercu te wszystkie święte słowa, którymi dla niej przepoilem się do głębi, on gadał wciąż, jak opętany, niesłychane głupstwa. Wanda śmiała się z niego oczywiście, jako z błazna, gdy ten plótł swoje trzy po trzy. W mojej obecności zachowywała się zupełnie inaczej: poważnie i milcząco, gdyż mówiłem z nią niewiele; głównie się

<sup>130</sup>*enigma* — zagadka. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*nawecowany* — wyostrzony, wypolerowany. [przypis edytorski]

opierałem na kontemplacji wewnętrznej. Jednakże tamten mnie niepokoił: był to skończony technik i dochody miał większe niż ja; nie pozwoliłbym sobie nigdy podejrzewać Wandę o interesowność, a jednakże, być może, stąd właśnie wypływała jego pewność siebie. Nie uważałem go za rywala poważnego, ale coś mnie przeciw niemu burzyło. Bądź jak bądź, moje uczucie — moje przysięgi — jej obietnice... Co prawda, przysięg jej nie składałem, nawet nigdy jej nie powiedziałem, że ją kocham, ale po cóż to było mówić, gdy ona doskonale o tym wiedziała. Prawdziwa miłość obędzie się bez słów; owszem, każde słowo profanuje głębszą uczuciowość. Powiedziała mi wszystko, obiecała mi wszystko bez słów — i tylko umyślnie, dla przyzwoitości, jako dobrze wychowana panna, udawała wobec mnie zimną i obojętną. Teraz jednakże, gdy ten przeklęty młody człowiek się pokazał, w stosunkach naszych nastąpiła jakaś nieuchwytna zmiana. Postanowiłem dwie rzeczy: że na koniec miłość swoją opowiem Wandzie i że tamtego unicestwię... To was dziwi, bo żaden z was zapewne nigdy nie kochał w takim milczeniu i takim nabożeństwie — i tak głęboko, jak ja. Pomyślałem sobie, że go zgładzę, jako wcielenie trywialności, która mi szczęście chce zburzyć... Właściwie, sam nie wiem dlaczego... Miał on dla mnie jakiś dziwny uśmiech, ironiczny i przykry... Tak, tak — właśnie ten uśmiech, przy którym szczyrzył swoje białe zęby — ten uśmiech chciałem unicestwić... A teraz druga sprawa: jak powiedzieć Wandzie, że ją kocham. Nie chciałem i nie mogłem w banalnych i brutalnych słowach wyrazić całej głębi mego uczucia. Gdyby to można było za pomocą sugestii magnetycznej obudzić w niej rozumienie stanu mego. Ale każde słowo — bezpośrednie, nagie — obrażałoby zarówno mnie, jak i ją. Chciałem jej to wypowiedzieć w sposób tajemniczy i delikatny. I oto, co wymyśliłem. Znałem jednego poetę, co nawet do „Kurieria Świątecznego” pisywał — i tak mu powiadam: — napisz mi wiersz nie długi, ale taki, co by wyrażał, jak kocham pewną damę — i wiem o jej uczuciu dla mnie, ale ona wobec mnie zawsze udaje zimną i obojętną. Napisz mi go tak, żeby go można było ułożyć w rebus; już ja ten rebus sam wyrysuję, bo chcę te swoje oświadczenia posłać jej w formie rebusu. Jeżeli serce jej jest dość przenikliwe i delikatne — odgadnie tajemnicę. Poeta, z przykrością muszę to wyznać, surowo ocenił moją metodę; powiedział, że kobiecie trzeba zawsze mówić wszystko prosto z mostu i brutalnie; kobieta — twierdził — lubi przemoc. Ale, oczywiście, nie chciałem go słuchać. Poeta długi czas się mozolił, bo to trzeba było, żeby był i wiersz czuły i trudny rebus. Na koniec jednak zrobił tę rzecz bardzo dowcipnie.

O, patrzcie! (tu Fulgenty zaczął rysować), jaki to był rebus. Naprzód mamy tu *jeże*, potem idzie *Lilit* — pierwsza żona Adama, pół-diablica z węzowym ogonem; *oś*; małe *c*; drzewko *iwa*; małe *t*; rysunek krowy z dodatkiem *langue française*<sup>132</sup>, to znaczy *vache* czyli *wasz*; potem szlachcic starej daty, co miało znaczyć *Lach*; następnie wulkan ziejący ogniem — *Etna*; potem *TY* z uwagą *deutsche sprache*<sup>133</sup>, to jest *du*; znów rysunek wyobrażający fort albo szaniec; znów słowo wysoki z dopisem *english language*<sup>134</sup>, to znaczy *high* czyli *hajt* — i *kochasz* z uwagą *lingua latina*<sup>135</sup>, to jest *amas*; dalej było duże *K*, ułożone z *lo*; moneta hiszpańska 5 pesetas czyli *duros*; rysunek „szczura”, co *na Litwie* mówią *pac*; dalej obraz astronomiczny *zaćmienie*; małe *z*; na koniec kufel piwa, w którym widać *mus*, ale ten *mus* składa się z małych *a*. Taki był rebus — i tak, w sposób delikatny a wyraźny — powiedziałem jej, że ją kocham.

— Co prawda, rzecz nie bardzo zrozumiała.

— Enigmatyczna! naturalnie. Lecz wyjaśnię wam bliżej. Czytajmy naprzód znaki, a potem kombinację znaków. *Jeże-Lilit-oś-c-iwa-t-vache-Lach-Etna-du-szaniec-hajt-amas-ka z lo-duros-pac-zaćmienie-z-mus z a*. Jeszcze nie rozumiecie? Więc uważajcie, wiersz był taki:

Jeżeli litościwa twa szlachetna dusza,  
Niechaj ta maska z lodu rozpaczać mnie nie zmusza.

Kobieta z sercem powinna była całą tajemnicę tego rebusu odgadnąć.

<sup>132</sup>*langue française* (fr.) — język francuski. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>*deutsche sprache* (niem.) — język niemiecki. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*english language* (ang.) — język angielski. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>*lingua latina* (łac.) — język łaciński. [przypis edytorski]

— Podpisałeś się?  
 — Niech Bóg broni. List był bezimienny, a ja czekałem zwiastowania.  
 — Nie można powiedzieć, żeby to był najlepszy sposób oświadczenia miłości.  
 — Obawiam się też, że Wanda nie rozumiała delikatności mojego sposobu. Była to niewątpliwie dusza wyjątkowa, z tysiąca wybrana, kobieta wyższa, dostojna, ale brakło jej tego subtelnego tonowania uczuć, które właśnie ja uprawiałem. Wierzyłem, że z biegiem czasu mógłbym ją wyszkolić w tym kierunku, jednakże losy postanowiły inaczej. Tego samego dnia, kiedy wysłałem jej pocztą miejską mój rebus, zapukał do mnie jakiś wędrowny kramarz, Bośniak, w barwnym turecko-serbskim kostiumie narodowym; sprzedawał on fezy<sup>136</sup>, chusty serbskie i macedońskie, kaftany, gąbki, pantofle i sztylety. Kupiłem sztylet, gdyż dawno marzyłem o takim przedmiocie — wiadomo już dlaczego. Trzy tygodnie temu z górą — przeglądając stare rupiecie — znalazłem nóż, głęboko ukryty w biurku... Widzieliście, sztuka dobra!... Otóż właśnie przypomniałem sobie naraż wszystkie marzenia o Wandzie, która na mój list nigdy nie odpisała; przypomniałem sobie też dziwną myśl o zabójstwie mego rywala. Nóż był zardzewiały, więc dałem go do wyostrenia... Patrzcie, toż to dziś 15 sierpnia. Właśnie dnia 15 sierpnia 187... roku, dwadzieścia trzy lata temu — Miałem dzień straszliwy. Doniesiono mi, że się odbył ślub Wandy z tamtym... Osnuł ją swoimi szatańskimi nićmi, duszę promienną opętał, a ja... Nawet mnie nie zawiadomili o ślubie... Wandy nie widziałem już odtąd nigdy. Ale jego spotkałem kilka razy i za każdym razem chciałem mu krzyknąć: „Nędzniku, wydarłeś mi szczęście, ale, jakem zaprzysiągł, nie minie cię zemsta!”. Sztylet nosiłem zawsze przy sobie. Za każdym razem chciałem go przebić, ale jakaś martwota wewnętrzna powstrzymywała mą rękę. I tak z dnia na dzień odkładałem zemstę — aż ostatecznie przeszło to i rozwiało się we mgłę; potem Wanda z mężem wyjechała gdzieś na prowincję, o nim zapomniałem, a może w istocie i o niej, choć tylko o niej jednej mogłem pamiętać. O czym-że więcej? Cierpiałem przez nią, ale nawet cierpiąc, błogosławiłem Wandę, boć ona była całą moją wartością wewnętrzną... Czymże byłbym bez niej?... A przecież od dnia jej ślubu — jestem nieżywy. Trzeba wam jeszcze wiedzieć, że Wanda w cztery lata po ślubie umarła: czytałem jej nekrolog w „Kurierze”. Odtąd wszystko się dla mnie skończyło.

— I nigdy się nie spotkałeś już z tamtym?

— Niech Bóg broni. Przestał mnie już zupełnie interesować, zwłaszcza po śmierci Wandy. Zerem był dla mnie. Czasem tylko we śnie pokazywał mi się, jak zmora. Ale nie wiem nawet, co się z nim dzieje. Eh, co gadać! Zmarnowałem życie.

Było już późno. Pożegnaliśmy się i przypominam sobie, że Fulgenty nie mógł znaleźć ani laski, ani kapelusza; musiałem pożyczyć mu własnych.

Nazajutrz koło południa po całym mieście gruchnęła sensacyjna wiadomość: Fulgenty Trzon zamordował Piotra Sędziaka; zamordował go koło wpół do jedenastej w nocy — i rano przed dziewiątą, jak to czasami bywa u zbrodniarzy, zjawił się na miejscu przestępstwa; krążył pod bramą domu ofiary. Natychmiastowo poznał go stróż, zarówno jak służba Sędziaka oraz jego bratanek. Oczywiście też go aresztowano. Zbrodniarz wypierał się swego czynu, ale wobec jawnych dowodów, jak sztylet, kapelusz, laska, pismo własnoręczne, tak się zmieszał, że jednym słowem nie był w stanie zaprzeczyć oskarżeniu i wpadł w całkowite odrętwienie. Z początku oskarżony twierdził, że nie wiedział wcale, jakoby Sędziak był w Warszawie; nie wiedział, że tu mieszka. Czy go znał? Znał, ale bardzo dawno. Czy miał z nim jaki spór? Miał, ale dwadzieścia trzy lata temu; spór w istocie zapomniany, zresztą nigdy się z nim nie spotykał. Jakiej natury był spór, o tym oskarżony nie chciał mówić absolutnie.

— Czy przyznaje, że to jego pismo?

— Przyznaje. Podpis wyraźny, ale pismo tak energiczne, jakby to pisał młodzieniec, nie człowiek pięćdziesięcioletni. Słowem, pisał to jakby inny Fulgenty Trzon, ale atrament świeży — wczorajszy.

Na karcie były naprzód jakieś niezrozumiałe zygzaki, a potem słowa, będące oczywistą groźbą przeciw zabitemu. Dość niejasne było to, że oskarżony tak dokładnie podał swoje nazwisko i adres.

<sup>136</sup>fez — męskie nakrycie głowy w krajach muzułmańskich. [przypis edytorski]

Również niejasnym było, jakim sposobem Fulgenty, pracownik akuratny, nagle pewnego ranka, zamiast pójść do biura — znalazł się w obcej dzielnicy miasta — pod jakimś obcym domem (ul. Wieloraka, nr 43), gdzie właściwie nie miał żadnej sprawy. Coś — jak mówił Fulgenty — ciągnęło go w tę stronę; czuł, że musi iść tam, a nie gdzie indziej. Dlaczego? nie wiadomo. Jakiś nakaz nieokreślony, jakaś wola nie własna; po prostu musiał. Trzy razy chciał zawrócić i trzy razy był znów na drodze ku temu domowi.

Słowem — o ile sędzia trzymał się świadectw zdrowego rozsądku oraz mieszkańców domu pod numerem 43 — wszystkie poszlaki były przeciw Fulgentemu. Jednakże z chwilą, gdy wystąpiliśmy my, świadkowie Fulgentego, wobec niewątpliwej uczciwości naszej — dowody przeciw oskarżonemu musiały runąć natychmiast. Od godziny 9 wieczorem do 1 po północy był u mnie; oddawaliśmy się zajęciom najpospolitszym; koło godz. 11 z kwadransem Fulgenty omdlał i był zupełnie nieprzytomny w tym samym czasie, w którym zabity został Sędziak. Potem czuł się nieco osłabiony, wreszcie od pierwszej w nocy do ósmej z rana znajdował się u siebie w domu i na chwilę się nie oddalił, o czym świadczy jego odźwierny, stróż i posługaczka.

Niewyjaśnione były fakta następujące: jakim sposobem sztylet, kapelusz i laska Fulgentego oraz jego bilety wizytowe znalazły się w mieszkaniu Sędziaka; jakim sposobem zabójca mógł pisać moim atramentem fioletowym, którego tu w kałamarzach nie było; jakim sposobem wypisały się tu zygzaki i słowa Fulgentego; jaka siła wreszcie sprowadziła Fulgentego pod dom Sędziaka.

— Rebus, rebus! — wołał zrozpaczony sędzia śledczy. — Chyba diabeł się tu wmieszał.

Powiedział to głosem tak poważnym i z takim przekonaniem, że nas mimowolny przeszedł dreszcz.

— Nikt inny, tylko diabeł przybrał postać oskarżonego — i on-to popełnił zbrodnię! A może jaka symulacja — dodał już bardziej fachowo.

Blisko miesiąc trwało śledztwo, które nie doprowadziło do żadnych wyników pozytywnych.

Tu nawiasowo zaznaczę, że niemal przypadkiem wpadł mi w rękę dokument, bardzo ciekawy, choć dla sprawy obecnej nie mający znaczenia. Oto na etażerce koło biurka denata, otworzywszy jakąś książkę (coś z technologii), natrafiłem na ćwiartkę papieru, na której był wyrysowany ten sam rebus, co to go nam wczoraj objaśniał Fulgenty. Był to jego „list” sprzed lat dwudziestu trzech. Niżej — pod malowanką — drobnym pismem kobiecym uwiecznione były następujące słowa: „To od tego barana!”

Nigdy oczywiście tego dokumentu, który dość osobliwie świadczył o jego ubóstwianej Wandzie, nie pokazałem Fulgentemu.

Po miesiącu z górą przyjaciel nasz został wypuszczony z więzienia dla braku dowodów, dostatecznie stwierdzających winę.

Witaliśmy go jak ocalonego z wirów morskich.

Był strasznie przygnębiony. Jego lekka szpakowatość stała się gęstą siwizną; oczy zaś nabrały wyrazu skupionego i wodnistość ich przemieniła się w czysty szafir, nie można powiedzieć — ożywiony, lecz nie pozbawiony mocy. Wychudł i chodził pochylony.

— O mało co obłądu nie dostałem — mówił. A toż ja o tym zabójstwie myślałem dwadzieścia parę lat temu — i w gruncie nie brałem tej myśli nigdy na serio. Potem zapomniałem o niej tak, jak tylko można o czymś zapomnieć. Nie wiedziałem wcale, że Sędziak przyjechał do Warszawy — i dopiero na śledztwie dowiedziałem się szczególnej rzeczy. Oto Sędziak przybył z prowincji tegoż dnia i o tejsze godzinie, kiedy ja znalazłem swój nóż bośniacki. Nóż był pordezwiąły, oddałem go do wyostrzenia i dopiero po paru tygodniach — i to dnia 15 sierpnia — odebrałem go z naprawy. Pamiętacie, że wam ten nóż pokazywał. Nie wiedziałem, że mi go *ten drugi* porwie i zabije nim Sędziaka.

— Co za *ten drugi*?

— No, ten, co zabił. Nie wiem, jak go nazwać. A przecież ja go widziałem.

— Jak to widziałeś?

— Widziałem — na chwilę. Był u mnie w więzieniu. Człowiek (a może nie człowiek), bardzo do mnie podobny, zjawił się u mnie i drwiąco patrzył się w moje oczy. Chciałem

Sobowtór



z nim porozmawiać, ale zniknął. Mówcie, co chcecie; ja wierzę, że jest jakiś drugi Fulgenty na świecie. Działa on poza mną i beze mnie, ale wykonywa moje czyny, te, których sam zapewne nigdy bym nie wykonał; zabiera mi kapelusze, laski i sztylety. W nim jest moja energia, moja pamięć, moja złowroga siła. To jest mój rebus. *On* to mnie zawiadomił, że Sędziak jest; *on* kazał mi sztylet wyostrzyć, *on* wyszedł ze mnie, kiedy byłem uśpiony; *on* zabił mego rywala. Kiedy we mnie i miłość dla Wandy i pragnienie zemsty dawno już zwietrzały, tamten był wiecznie świeży i wiecznie o tym pamiętał. Dlatego wszyscy mnie widzieli przy ul. Wielorakiej, bo to był *on*.

— A potem już go nie widziałeś?

— Nie widziałem — i nie chciałbym go zobaczyć, bo to moja zła wróżba.

---

Minęło parę miesięcy. Nadeszła wiosna roku następnego; nasze ostatnie posiedzenie domowe. Fulgenty się uspokoił.

Pewnego razu siedzieliśmy we dwóch — było to u mnie — i graliśmy w szachy; Fulgenty grał niefortunnie i dostał mata. Szymon przyniósł herbatę i rozmawialiśmy o różnych sprawach, gdy naraz, spojrzawszy w okno, w przeciwległym domu zobaczyliśmy w mieszkaniu Fulgentego zapaloną świecę.

— Patrz-no, ktoś tam jest u mnie.

Rzeczywiście, jakiś pan czarno ubrany — krążył po jego gabinecie.

— Kto to być może? Trzeba się dowiedzieć.

W kilka chwil potem byliśmy przed bramą domu Trzona. Koło furty stał stróż i ćmił fajkę.

— Wincenty, powiedzcie, kto to zachodził do mnie?

— A no, prócz pana dobrodzieja, nie widziałem nikogo.

— Co też wy mówicie? — niespokojnie odparł Fulgenty i szybko pobiegł na schody.

Ja za nim.

Otworzyła nam posługaczka Janowa.

— Kto tu przychodził? — zapytał ją nieco zdławionym głosem.

— Dyc<sup>137</sup> pan sam przychodził. Nikogo tu nie było.

Szybko wpadł do swego gabinetu. Nie było nikogo. I świeca się nie paliła. Musiał ulec jakiemuś złudzeniu.

Zapalił świecę i zaczął się rozglądać dokoła. Mimo woli spojrzął na biurko.

Na białym papierze — formy kancelaryjnej — znalazł, wypisane swoją własną ręką — następujące słowa:

15 sierpnia. Czeka Wanda. Fulg. Trz.

— Co to znaczy? 15 sierpnia! Czekajmy 15 sierpnia. Teraz mamy koniec marca. Za cztery i pół miesiąca. Urządę większe zebranie. Będzie dużo osób. Zobaczymy.

Czas mija szybko. Nadszedł dzień, właściwie wieczór 15 sierpnia. Zebrało się u Fulgentego liczne towarzystwo. Byłem oczywiście i ja. Opisywać ucztę nie będę, powiem tylko, że o godzinie dwunastej dał się słyszeć dzwonek i wszedł do sali człowiek jak dwie krople wody podobny do Fulgentego, ale jakby pewniejszy siebie. Nasz przyjaciel stał na środku pokoju. Ten drugi szedł ku niemu powoli, ale pewnym krokiem — i, zbliżywszy się, podał mu rękę.

— Czeka Wanda! — rzekł i w tej samej chwili zniknął, jakby zlewając się z Fulgenty, który na ziemię runął jak długi.

Pękło mu serce.

## Nowe mieszkanie

Historia, którą mi pan opowiada — mówił doktor — jest rzeczywiście tak dziwna, że niemal nieprawdopodobna. I gdyby pana nie znaleziono tam w tej szopie, na pustym podwórku... I pan istotnie nie wie, jakim sposobem pan się tam znalazł?

— Nie mam pojęcia...

---

<sup>137</sup>*dyc* (reg.) — przecież. [przypis edytorski]

— Jakieś działanie bezwiednych a nieznanymi sił duszy, rozszczępienie jaźni nad wyraz ciekawe i wyjątkowe. Nie mogę jeszcze się zorientować. Proszę mi powiedzieć tylko jedno: czy pan kiedy myślał o samobójstwie?

— O samobójstwie? Doktorze, wydobywasz ze mnie pamięć dawno minionych dni. Istotnie, byłem wtedy bardzo młody, blisko dziesięć lat temu, gdy mnie naraz dotknęły dwa wielkie nieszczęścia. W życiu moim nastąpiło załamanie. Miałem wtedy, pewnie pod wpływem rozpacz, jakąś głęboko utajoną, odruchową dążność do samobójstwa, a która objawiała mi się raczej we śnie, niż na jawie — i przy tym w sposób bardzo szczególny...

— Szczególny? Znow coś osobliwego?

— Być może. Miałem od czasu do czasu we śnie widzenie liczby. Nagle, nie wiadomo skąd i jak, ukazywała mi się w ognistych cyfrach liczba 33. Dlaczego 33 — nie wiem, ale, przez jakieś tajemnicze skojarzenie, wiedziałem, że ta liczba 33 znaczy dla mnie tyleż, co śmierć samobójcza. Z moich obserwacji wynika, że takie skojarzenia sensne mają zawsze charakter jakby półświadomego jasnowidzenia. Taki niepojęty łącznik istniał dla mnie zawsze między liczbą 33 a samobójstwem. Na jawie nigdy o tym nie myślałem, nie dlatego, żebym nadmiernie kochał życie, ale po prostu, że mi zawsze był wstrętny szereg tych rękoczynów, jakie są konieczne do aktu samobójstwa.

— I często się to powtarzało?

— Przez pewien czas dosyć często. Rozumiałem, że to wróżba śmierci, tymczasem minął rok 33, dochodzę czterdziestu lat, a jednak żyję, nie umarłem.

— Dziwne, dziwne! Być może w najgłębszej, roślinnej głębi pańskiej jaźni myśl ta przechowała się jako zasadnicza dźwignia pańskiej duszy.

— Tego nie wiem. W ogóle mam w sobie pewną dwoistość i moje życie sensne jest nader dziwne, zgoła odmienne od jawy: na jawie mam umysł trzeźwy, ścisły, żadnym rojeniom nie podatny. Sen wyprawia ze mną dziwy. Ścisłe biorąc, to ostatnie moje zdarzenie jest to również wynik tego fenomenu podwójności, który we mnie występuje, w sposób mnie samemu niezrozumiały. Jestem prawie zupełnie niemuzykalny, pozbawiony słuchu, najprostszego krakowiaka fałszuję. Tymczasem, jak to wiem od znajomych, po nocach, przez sen, śpiewam z nadzwyczajną siłą i harmonią wprost nadziemską. Na wsi u X., gdzie często bywałem, umyślnie usypiano mnie, aby posłuchać koncertu. Jest to szczególny objaw somnambulizmu słuchowego. Sąsiedzi moi na ogół byli ze mnie niezadowoleni, tylko pewna staruszka mówiła, że ten śpiew — to głos chórów anielskich, który wieści przynosi z nieba, i tylko ludzie dla<sup>138</sup> swych grzechów ich nie rozumieją, i że bezbożnie jest gniewać się na to śpiewanie. Większość jednak trzeźwo myślących obywateli naszej kamienicy traktowała sprawę tylko z tego stanowiska, że im spać przeszkadzam, a jeżeli chce mi się po nocach śpiewać, to mogę sobie sypiać w wielkiej operze. Pod ich to naciskiem gospodarz wymówił mi mieszkanie.

— I opuścił pan tę kamienicę?

— Właśnie pewnego ranka postanowiłem szukać nowego mieszkania. Byłem zaś w tak równym usposobieniu ducha, jak nigdy. Poprzedniego wieczora studiowałem kwestię mechanicznego równoważnika ciepła i rozmyślałem nad tym, jakby przy tej przemianie ciepła w ruch zaoszczędzić jak największą sumę ciepła, aby się nie rozpraszało. Sprawa, jak pan widzi, sucha, liczebna, lodowata, nie mająca żadnego związku ani z czwartym wymiarem, ani ze światem duchów.

Wstałem dość późno, koło dziesiątej, ale nie czułem w sobie najmniejszego śladu zmęczenia ani neurastenii<sup>139</sup>, która mnie gnębi czasami w godzinach rannych. Byłem owszem bardzo podniecony, pełny wewnętrznego uśmiechu, jakbym oczekiwał jakiegoś szczęśliwego zdarzenia.

Chwilowo tylko przygnębiła mnie żona listonosza, moja sąsiadka, która mi rano przynosiła kawę, a która była ze mnie bardzo niezadowolona.

— Znowu pan całą noc hałasy wyprawiał! A to wszystko przez to, że pan nie ma żony; bzik pan dostał i tyle. A ja panu dawałam dobrą radę. — Tu muszę wyjaśnić, że pani listonoszowa chciała mnie ożenić z pewną osobą, zamieszkałą w tym samym korytarzu.

<sup>138</sup>dla (daw.) — z powodu. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>neurastenia — nerwica, nadpobudliwość. [przypis edytorski]

— Pan kawaler, ona — panna, to się żeńcie! A dziewczucha porządna co się zowie, bez feleru. Z profesji jest kamizelczarka — zarabia 27 rubli miesięcznie — a za chłopami nic a nic nie lata. Dobra z niej będzie żona i diabła z pana wypędzi.

Ponieważ jednak nie miałem ochoty do tego małżeństwa — obie te niewiasty mnie znieawidziły — i podobno one to pierwsze poruszyły sprawę mego wygnania z czwartaka, gdzie mieszkałem.

Na chwilę to babskie gadanie w okropny sposób mnie złamało, ale wnet się ocknąłem. Znow było mi słonecznie, tęczowo i srebrno dokoła w moim szarym pokoju. Podobno, że owego dnia czas był chmurny, jałowy, niewyraźny. Ja tego nie widziałem — i owszem, nawet żebrak, którego spotkałem przy wyjściu z bramy na ulicę — wydawał mi się jakby odziany w płaszcz z promieni słonecznych.

Ulica nasza była to jedna z tych jałowych ulic warszawskich, które są pozbawione typu i charakteru, a jednak dziś wydała mi się naraz<sup>140</sup> barwna i świetlana.

Wyszedłem z domu z zamiarem poszukiwania lokalu — i postanowiłem udać się do jakiej piękniejszej a zacisznej dzielnicy. Ze zdumieniem jednak widziałem, że te strony, które opuszczałem, a które zazwyczaj wydawały mi się takie nieładne, dziś przybrały zupełnie nowy charakter i koloryt.

Nie pojmowałem zupełnie, skąd się wzięły te barwne i fantastycznie pobudowane kamienice, architektury zupełnie odrębnej, niby to pałace florenckie, niby świątynie indyjskie, im dalej szedłem, tym przepych budynków był wspanialszy i bardziej zdumiewający.

Nad miastem bezchmurne, cudownie szafirowe niebo, a w powietrzu słyszałem harmonijną muzykę dzwonów, jakby po całym mieście rozkołysanych, a z dźwiękiem muzyki łączył się chór ptaków śpiewających jakby pieśni anielskie — brzęk tysięcy unoszących się po powietrzu pszczoł i różnobarwnych muszek i komarów. Wszędzie też latały większe i mniejsze nieznane ptaki oraz ognisto-żółte i ognisto-srebrne motyle. Pomiedzy budynkami zieleniały liczne ogrody, pełne gęstych drzew i przedziwnych kwiatów, których dotychczas nigdy nie spotykałem. Upajające zapachy unosiły się dokoła, a w ogrodach stały posągi nieznanymi nigdy na ziemi bogów i aniołów.

Na koniec, gdy wyszedłem z labiryntu ulic bocznych na linię główną — rozwinęła się przed moim okiem nieskończona, w obie strony płynąca perspektywa. Był to szeroki, wielki bulwar, bogato zadrzewiony; szereg wspaniałych pałaców i świątyń o wysokich wieżach snuł się wzdłuż bulwaru. Na krańcu bulwaru od północy było wysokie wzgórze z olbrzymim na szczycie posągiem, który z daleka promieniał jak słońce, na południe widziałem fale szmaragdowego morza, a na nim płynące okręty. Na bulwarze barwy domów, drzew, posągów, świątyń harmonijnie zlewały się w łagodną otęcz, a promienie słońca, niemal dotykalne, snuły się po bruku, po ścianach i po twarzach przechodniów. Tłumy ludzi urodziwych, pełnych szczęścia i wesołości — krążyły po ulicy. Kobiety cudnej piękności, w szatach jakby wyśnionych, kroczyły lekko, zaledwie stopą dotykając ziemi.

Środkiem ulicy toczyły się pojazdy, zaprzężone w konie — rzekłbyś — skrzydlate.

Zdumienie moje rosło bezgranicznie. Skąd ja się tu wziąłem? — przecież to jakieś nowe, obce mi, nieznane miasto! Czy to sen — czy obłąd — czyli<sup>141</sup> baśń arabska? Przecierałem oczy, powtarzałem sobie różne formuły z mechaniki, aby sprawdzić swoją przytomność.

Nie — to nie sen — to rzeczywistość.

Właśnie spotkałem kilku znajomych — najbezcelniej ich zapytuję:

— Moi panowie, w jakim to mieście my jesteśmy?

— Cha, cha! Co za żarty, drogi panie! Niby to pan nie wie!

I pożegnali mnie ze śmiechem, a ja dopiero teraz zacząłem się zastanawiać. Przecież to był Lucjan i Michał, którzy umarli już trzy lata temu.

— Więc jakże?

Nie mogłem tego zrozumieć, a po chwili wydało mi się to rzeczą zupełnie prostą i naturalną.

Zacząłem się rozglądać wokoło i zobaczyłem na bulwarze dom, a na bramie kartkę błękitną. Dom był niewielki, dwupiętrowy, ale miał w sobie coś tak pociągającego, że mi

<sup>140</sup>naraz (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>czyli — czy z partykulą pytajną -li. [przypis edytorski]

naraz błysnęła myśl: gdyby to zamieszkać na zawsze!

Na kartce była wiadomość, że w tym domu jest pokój do wynajęcia. Ruszyłem tedy po schodach i znalazłem się przede drzwiami odpowiedniego lokalu.

Na drzwiach była przybita metalowa tabliczka, na której nie bez zdumienia odczytałem swoje własne imię i nazwisko. Choć byłem teraz przygotowany na najniemożliwsze rzeczy, wydało mi się jednak niezmiernie dziwnym, że mam wynająć mieszkanie u samego siebie. Stałem też przez chwilę w sieni, nie mając odwagi zadzwonić. Zwłaszcza zadrżałem, gdy usłyszałem w mieszkaniu pieśń jakby dawno znajomą.

— Co to znaczy? — mówiłem sam do siebie, ale razem wydawało mi się to wszystko zupełnie zgodne z przyrodzonym biegiem rzeczy.

Kiedym już przemógł wzruszenie, chciałem zadzwonić, ale naraz drzwi, jakby posłuszne mojej myśli, same się otwały.

Zatrzymałem się w przedpokoju i spojrzałem do saloniku obok. Były tam dwie kobiety; nie mogłem dostrzec ich twarzy, gdyż odwrócone były ode mnie — i, zdaje się, nie wiedziały o mojej wizycie. Starsza, siwowłosa pani, siedziała przy klawikordzie, gdy młodsza, jasno-złota blondyna, stała obok niej, śpiewając dziwnie pięknym głosem melodię, którą ta druga grała na instrumencie.

Melodią, którą grała starsza pani, była znana mi od dzieciństwa pieśń, ulubiona pieśń mojej matki, stara i zapomniana, bardzo naiwna i prosta, ale która mnie zawsze porusza do głębi, kiedy ją wspomnę.

Metalicznym, cudownym sopranem śpiewała młodsza osoba:

Spośród farysów<sup>142</sup> któż nie był gotów  
Piosnkę dla ciebie zanucić?  
Koń mój nie złąkły ni burz, ni grzmotów,  
Pośpieszał, by do cię wrócić.  
Pamiętasz piosnkę? Ona-ż zaginie,  
Którą dla ciebie nuciłem?  
Pamiętasz stepy, głucho pustynie,  
Przez które do cię śpieszyłem?  
Stepy piaszczyste, stepy szerokie!  
Serca farysów niezmiennie!

---

Nie byłem w możności dłużej wytrzymać. Naraz wybuchnąłem wielkim płaczem, co mi się nigdy nie zdarza. Obie kobiety przerwały śpiew i muzykę — i zwróciły się ku mnie.

— Henryk! — zawołały obie naraz, a ja takem się na nie patrzył, jakbym już od dawna czekał na to zjawienie.

Padłem na kolana i obie kobiety całowałem po rękach.

— Matko! Mario ukochana! Jakżem szczęśliwy, że was widzę raz jeszcze. Powiedzcie mi, jakże to się stało, że wy tu znowu jesteście? Słodko mi jest was widzieć, ale zaczynam nic nie rozumieć. Tyle lat, jakeście odeszły. Razem w jednym roku — i prawie jednego dnia — umarliście, a teraz znowu żyjecie — i znowu widzę was — i mogę z wami rozmawiać. Tylko trzeba was było znaleźć — i to tak niedaleko. Nie pojmuję tylko, jakem się tu do was dostał. Przecież dzisiaj rano byłem jeszcze tam. Niechajże się wam przyjrzyć! Tyle lat minęło od chwili, gdy was widział po raz ostatni. A tak pragnąłem umrzeć, kiedyście wy umarły; takem pragnął iść za wami! I sam błędziłem po ziemi jak umarły. Dzięki wam, żeście mnie tu wywołały, bo tylko przez waszą potęgę mogłem tu przeniknąć.

Tak mówiłem i przyglądałem się twarzom tych dwu najukochańszych istot: były takie, jak w chwili, gdy opuszczały ziemię, ale tak jakoś zblękitniały, tak zesrebrniały, jakby się zmieniły w postacie wiekuiste, a wszystkie ślady trosk ziemskich i nędz gorycze — zniknęły z ich oblicza, które jaśniało pogodą empiryjską<sup>143</sup>. Całe życie moje od kolebki do grobu jak w błyskawicy przesunęło się teraz przed moim okiem — i zaczynałem rozumieć istotne znaczenie każdego momentu. One to — te dwie kobiety — widma czy

<sup>142</sup>farys — arabski jeździec. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>empiryjski — charakterystyczny dla Empireum, tj. najwyższej sfery niebieskiej. [przypis edytorski]

anioły, opowiadały życie moje w sposób zgoła odmienny, niż mi się to zdawało dotychczas. Niepodobna<sup>144</sup> mi — choć doskonale pamiętam — rozmowy ich powtórzyć: była to raczej muzyka niż słowa, raczej śpiewanie; jakby ciągle w różnych wariacjach snuła się melodia starej pieśni o farysach.

W czarodziejskim byłem świecie; czas niby to płynął bez końca, a przecież stał w miejscu i była ciągle ta sama chwila. Zrozumiałem w końcu, że to kraina umarłych, bo choć sam bezwiednie ciągle o tym myślałem i mówiłem, ale nie mogłem zdać sobie sprawy ze stosunku mojego do tej nowej rzeczywistości. Rozumiałem, że to kraina umarłych, ale że ja jestem żywy i obie umarłe kobiety, moja matka i żona, którą po roku pożycia utraciłem, wiedziały, że ja nie umarłem, ale że jest żywy, a one nie żyją. Rozumiały też moją niższość wobec siebie, jak ja rozumiałem ich wyższość.

Bezwarunkowo stały one na bardziej świetlanym punkcie rozwoju ducha niż ja, grubomaterialna istota ziemską. Anielskość, którą miały już na ziemi, tu rozwinęła się w pełni.

Uderzało mnie tylko i mile zarazem, i przykro, że, przy całej różnicy, świat ten jest dziwnie podobny do naszego. W moim wyobrażeniu na tym świecie miały być jakieś w złotych mgławicach pływające wyspy, z eterów uplecione, gdzie żyją ludzie zgoła sobie niepodobni, w nadziemską, nadmaterialną przekształceni postaci. Tymczasem tu...

Oto zaś jak Maria rzecz mi tłumaczyła.

— Nie jeden jest świat, ale tysiące i właściwie człowiek żyje w różnych światach jednocześnie, ale zamknąć się musi w jednym, aby spełnić swoje przeznaczenie. Abyś mógł nas zobaczyć, musiałyśmy przyjąć postać oku twojemu dostępną, a wraz z nami zmieniło się i całe otoczenie. Dlatego zeszyliśmy o pewną ilość stopni niżej naszego punktu na kole bytu. Wy życie częstką bytu, a my całością. Nie sądz, że jesteśmy gdzie daleko. Przebywamy koło ciebie, w tobie samym. Przestrzeń istnieje tylko dla oka ziemskiego. Oko waszego ducha leży na wielkim kole nieskończoności, ale widzi tylko jeden stopień, raczej jedną jego minutę, jedną sekundę, a tych stopni jest — mówiąc po ziemsku — trzysta sześćdziesiąt. Teraz oblicz, ile minut, ile sekund. Otóż twoje oko przesunęło się o kilka stopni i zobaczyłeś świat nieco inaczej, niż on ci się zwykle przedstawia; ale w istocie swojej jest on jeszcze innym, niż go widzisz teraz, i my wyglądamy jeszcze inaczej, niż ci się teraz przedstawiamy, ale nie mógłbyś nas w tej istotnej formie zobaczyć. Rozumiesz?

Oczywiście, rozumiałem tę melodię doskonale i nie wiem, dlaczego dotychczas nie odgadł tak prostej rzeczy. Minął czas nieokreślony, gdy naraz zauważyłem jakby zmianę dokoła. Przejrzyste powietrze z wolna się zaczęło rozwiewać; świetlna, złoto-fioletowa mgła osnuła pokój, dźwięki fortepianu przygłuchły, jakby się oddalały coraz bardziej; szary półmrok otoczył wszystko, a postaci mojej matki i Marii przybrały charakter półcielesny, stały się naraz niby srebrno-błękitne, niby przezroczyste. Jeszcze widziałem ich oczy, a potem znikły zupełnie; pokój się rozszerzył w bezmiar, coraz bardziej popielaty, szary, czarny i zupełna ciemność mnie otoczyła. Początkowo rozmyślałem nad tym nowym zagadnieniem, a potem zapadłem w całkowitą nieświadomość. Ile czasu tak upłynęło — nie wiem, gdy naraz jakiś głos, owadzi raczej niż ludzki, szepnął mi w samo ucho:

— Zastanów się. Co robisz?

Głos ten mnie przebudził, otworzyłem oczy, a jednocześnie w uszach mi zabrzmiało dalekie, lecz wyraźne echo srebrnych dźwięków pieśni:

Stepy piaszczyste, stepy szerokie!  
Serca farysów niezmiennie!

Zacząłem się rozglądać wokoło. Dokoła mnie były ciemności, czułem tylko przejmując zimno. Wzrok mój powoli się przyzwyczajał do otoczenia. Była to, jakem się później przekonał, szopa czy stodoła. Leżały tu stosy węgla kamiennych, drzewa i siana.

Pod moimi nogami stał szeroki pień dębowego drzewa, który — zdaje się — służył za oparcie traczom przy piłowaniu. Ja zaś sam znajdowałem się jakby zawisły w powietrzu, nogami z lekka oparty o pień dębowy; na szyi zaś miałem stryczek dość gruby, umocowany na haku, i najwidoczniej miałem zamiar się powiesić.

<sup>144</sup>niepodobna (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

Tajemniczy głos półświadomej, roślinnej duszy mojej, która pierwsza oprzytomniała, obudził mnie i do życia powołał. Instynktowo zerwałem stryczek i zeskoczyłem na ziemię. Jakim sposobem znalazłem się w tej stodole — nie wiem. Gdzie się podziało to cudowne miasto, które widziałem tak niedawno, nie wiem. Całe to zdarzenie uważałbym za sen, gdyby nie namacalna rzeczywistość chwili obecnej, również tajemnicza, jak wszystko poprzednie. Byłem w pospolitej, codziennej, znanej mi Warszawie; tylko w obcym, nieznanym mi domu. Wybiegłem z szopy: na podwórzu było ciemno i tylko blask ulicznej latarni z lekka rozświecał te mroki.

Podwórze było obszerne i niezabudowane; właściwie był to pusty plac do sprzedania, trawą zieloną tu i owdzie porosły, pełny dołów i nierówności; w jednym miejscu było tam wielkie kwadratowe wgłębienie, bielejące wapnem.

Wyznaję, że ta próżnia i ciemność, w połączeniu z pamięcią ledwo co widzianych cudów, obudziła we mnie strach i grozę przerażającą. Uciekałem też w kierunku furtki na ulicę. Była to mało znana mi, pusta, szara, bez zabudowań prawie, ulica na krańcu miasta.

W obdartym i poplamionym ubraniu, znużony tak, jakbym zrobił pięć milionów mil drogi, powlokłem się i, wśród chmurnie wilgotnego wieczora wsiałem do dorożki i powróciłem do domu. Oto jest moja przygoda, która niewątpliwie świadczy o pewnym rozstroju. Co pan doktor o tym sądzi?

— Weźmiemy pana na hydroпатиę<sup>145</sup> — odrzekł doktor po namyśle.

---

<sup>145</sup>*hydropatia* — wodolecznictwo. [przypis edytorski]

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lange-w-czwartym-wymiarze>

Tekst opracowany na podstawie: Antoni Lange, *W czwartym wymiarze*. Opowiadania, Wydanie drugie, Spółka nakładowa "Książka" Kraków, Składy główne: Warszawa - G. Centnerszwer i Ska. Kraków, S.A. Krzyżanowski. - New York - The Polish Book Importing Co., [b.d.]

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okladka na podstawie: James Simkins@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0492-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).